

AZZERO

BIULETYN INFORMACYJNO-PROPAGANDOWY KW WARSZAWA



ISSN 1641-9359



www.kw.warszawa.pl

1(77)/2010
bezpłatny

Książka wyjść

Słowo Prezesa	2
Notatki z Kokshaal-Too	6
Kaukaskie Yin i Yang	12
Gawędy Softysa, czyli jak zostałem alpinistą	18
The Land of Oz	24
Blondynka w Alpach	30
Lato pełne śniegu	36
Moje przypadki biegowe cz. I. Triumf ducha	40
Tropami Ożziego	46
CA 71°N	52
Podsumowanie sezonu tatrzańskiego 2009	58
Topo: Łomnica	62
Gadanie do ściany	87
Podsumowanie sezonu sportowego 2009	88
Wspinaczkowa perła Słowenii	96
Jeśli nie miury to co?	100
Obóz letni KWW – Dolomity	106
Cola najlepiej smakuje pod Marmoladą	108
Inny Afganistan	112
Himalajów wizji kilka	120
Po-Słowie Po-Prezesa	124
Informacje ogólne	126



A/Zero – Biuletyn Informacyjno-Propagandowy K.W. Warszawa

Nr 1 (17)/2010

ISSN: 1641-9359

Wydawca: Klub Wysokogórski Warszawa

Redakcja: Joanna Cybulska, Marek Grądzki, Adam Latusek, Aleksandra Ogłóza, Magdalena Nowak, Artur Paszczak, Mariusz Wilanowski.

Skład: Klara Zerdzicka.

Kontakt z Redakcją: marysia029@o2.pl, a.paszczak@noart.pl

Do powstania numeru przyczynili się: Przemysław „Przemski” Falczyński, Jan Gondowicz, Paulina Janczar, Adam Latusek, Paulina Lis, Grzegorz „Gelo” Mróz, Wojciech „Rajczer” Ryczer, Paweł Strzelecki, Łukasz „Softys” Supergan, Bartłomiej Tofel, Marta Wawro, Piotr Wołski, Zuzanna Wójcińska, Mateusz Zabłocki.

W A/Zero piszemy o sportach nie zawsze bezpiecznych dla Waszego zdrowia i życia. Zespół redakcyjny nie ponosi żadnej odpowiedzialności za jakiegokolwiek wypadek powstałe podczas uprawiania przez czytelników sportów propagowanych na łamach A/Zero. Pamiętajcie, robicie to na własne ryzyko.

Redakcja A/Zero nie ponosi odpowiedzialności za treść reklam i tekstów zamieszczonych na łamach biuletynu. Kopiowanie materiałów w całości lub części tylko za pisemną zgodą redakcji A/Zero.

Okładka I i IV str.: Rafał „Dzidek” Stefanowski podczas wspinaczki w Ospie na Samsara 8a, Misja Pec, maj 2009. Fot. Wojtek „Rajczer” Ryczer.



Nasze Skały, nasze Tatry, nasza sprawa

Jest rok 2025. Średnia pensja w Polsce przekroczyła właśnie 3 tysiące euro, otwarto regionalne lotnisko w Krocycach, dzięki nowej autostradzie weekendowy wypad na Jurę ze Szczecina stał się faktem, przejazd szybką koleją z Krakowa do Zakopanego zajmuje 20 minut. Media informują, że obrońcy motyla niepospolitego doprowadzili do zamknięcia ostatniego ogródka wspinaczkowego, a prezydent parków narodowych wydał zakaz wspinaczki ostatnią ogólnodostępną drogą taternicką w Polsce. Austriacka gmina Hollental otwiera swoje przedstawicielstwo w Podlesicach, w którym można wykupić wspinaczkowe wakacje w Austrii.

Science fiction? Niezupełnie.

Podstawowe pytanie brzmi: czy wspinacze, amatorzy skałek, taternicy i narciarze wysokogórscy są w Polsce w defensywie? Niby wszystko wygląda po staremu. Jeździmy w skałki, wspinamy się na Mnichu, wycieczka skiturowa na Krzyżne też jest możliwa. Ale z drugiej strony skały w Tyńcu straciłyśmy bezpowrotnie, „oddaliśmy” chatkę na Włosiennicy, istnienie tatrzańskich taborów jest zagrożone, a życie narciarzy wysokogórskich uprzykrzają coraz to nowsze zakazy i obostrzenia. Zatem jesteśmy w defensywie czy nie? Niestety chyba jednak jesteśmy. Zakazy wspinania mogą objąć 130 z obecnych 170 popularnych miejsc wspinaczkowych. W Tatrach, mimo wielkich wysiłków i starań m.in. Komisji Tatrzańskiej PZA, też nie dzieje się najlepiej – rozmowy toczą się i toczą, a postępy są niewielkie, by nie powiedzieć, że nie ma ich wcale.

Co możemy zrobić?

Można podjąć strategię *do nothing* i przejść obok tego obojętnie zakładając, że jakoś to będzie. Można też zachować się bardziej odpowiedzialnie. Każdy zna powiedzenie, że partnera nie zostawia się w potrzebie, nawet gdy jest bryłą lodu. Czy nasze skały i Tatry zasługują na nasze partnerstwo, nasze zainteresowanie? Na pewno tak, bo czy długofalowo jest coś ważniejszego w naszej górskiej pasji niż swobodny dostęp do rejonów wspinaczkowych?

Zarząd klubu jednogłośnie decyzją wspomógł Inicjatywę Nasze Skały. Dodatkowo zbieraliśmy środki na klubowych spotkaniach i slajdach. Za to wszystko wielkie dzięki! Zachęcam jednak, aby nie pozostało to jednorazowym zrywem. Każda złotówka, każdy pomysł może zrobić różnicę. Jeśli masz pomysł, chcesz działać i pomóc, to infrastruktura klubowa stoi otworem. Jeśli masz mniej czasu, możesz opowiedzieć o akcji wspinaczkowym znajomym, budować świadomość i powagę tematu. Bo to w końcu NASZA SPRAWA.

Marcin Miotk



Dlaczego warto być członkiem KW Warszawa?

Jesteśmy klubem prawdziwie koleżeńskim i partnerskim, w którym znajdziesz ludzi dzielących Twoją pasję – góry i wspinaczkę. Znajdziesz kolegów i koleżanki na wspólne wyjazdy, otrzymasz pomoc w sprawach dotyczących Twoich zainteresowań. Poznasz doświadczonych wspinaczy i będziesz mógł się od nich uczyć.

W ramach naszej składki – jednej z najniższych w kraju – otrzymasz najbardziej atrakcyjny pakiet korzyści ze wszystkich polskich klubów:

- renomowany biuletyn A/Zero przysyłamy Ci pocztą do domu,
- otrzymasz zniżki nawet do 30% w prawie trzydziestu firmach i sklepach współpracujących z klubem, a także w schroniskach,
- będziesz miał możliwość zakupu tańszego sprzętu w ramach zbiorczych zakupów klubowych,
- uzyskasz możliwość nabycia klubowych gadżetów, a niektóre z nich otrzymasz bezpłatnie,
- będziesz mógł podzielić się z innymi klubowiczami swoimi zdjęciami i artykułami publikowanymi na naszej stronie internetowej, a także prowadzić tam swój osobisty wykaz przejęć,
- ...i wreszcie będziesz mógł opłacić składkę przelewem, a znaczek wyślemy Ci pocztą.
- Oferujemy dostęp do klubowej biblioteki oraz bazy przewodnikowej, dzięki czemu – gdziekolwiek się udajesz – uzyskasz potrzebne Ci informacje.
- Będziesz mógł uczestniczyć w klubowych imprezach, szczególnie w wyjazdach i obozach wspinaczkowych (letnich i zimowych), na których będziesz mógł udoskonalić lub poznać nowe dziedziny wspinaczki i jej techniki pod okiem najlepszych instruktorów.
- Posiadamy obszerną i w pełni wyposażoną (DVD, projektor multimedialny, ekran, wzmacniacz, kolumny) siedzibę klubową przy ul. Noakowskiego 10 m. 12.
- Będziesz mógł uczestniczyć bądź współorganizować pokazy slajdów i filmów w klubowej siedzibie – wystarczy, że zgłosisz chęć pokazania swoich materiałów.
- Uzyskasz możliwość tańszego korzystania z warszawskich ścian wspinaczkowych „Obozowa” oraz „Nowowiejska” (wtorek od godz. 20 tylko dla KWW i tylko za 10 zł).
- W środy i soboty będziesz mógł korzystać z klubowej bulderowni w lokalu klubowym (w godz. 16–22, opłata 5 zł za wejście). Jeżeli zaś wstąpisz do sekcji bulderowej – uzyskasz dostęp nielimitowany.
- Dzięki współpracy klubu ze szkołami wspinaczkowymi: „Alp Extreme”, „W Pionie”, „Planet Sports”, „Warszawska Szkoła Alpinizmu”, „Go Up”, „Pionowy Świat” – uzyskasz w nich 10% zniżki na wszelkie szkolenia.

A jeżeli będziesz tylko chciał – uzyskasz możliwość współtworzenia naszego klubu i pracy na rzecz środowiska górskiego i wspinaczkowego, ponieważ każdy z członków KWW może realizować w ramach niego swoje własne inicjatywy.



Orzeł KW - Nagroda Klubu Wysokogórskiego Warszawa za rok 2009

Zarząd KW Warszawa przyznał coroczne nagrody „Orzeł KWW” za wybitne i wyróżniające się osiągnięcia wśród klubowiczów.

Nominowani do nagrody byli:

GÓRY

- **Wojciech „Rajczer” Ryczer** – Kokszał-Tau, wyprawa eksploracyjna, Pik Plaza (4912) Z-K, D+, 600m, pierwsze przejście, Pik Granitsa (5370) *Nordic Walking*, AI5/5+, M4 z miejscem M5, 1000 m, 2 dni, pierwsze przejście, pierwsze wejście na szczyt. Eksploracja, odległy rejon, wysoka wartość sportowa. Partnerzy: Rafał Zajac i Michał Kasprowicz.
- **Marcin Książak** – Tatrzańskie przejścia solowe, letnie i zimowe, szczególnie letnia *Diretissima* Małego Kieźmarskiego i *Łapiński* na Kazalnicy zimą.
- **Kinga Baranowska** – Kangczendzonga (8586 m), klasyczna droga *Brytyjska*, pierwsza Polka na szczycie, 4-ta kobieta, szósty ośmiotysięcznik w karierze.
- **Tomasz Szpor** – Kazalnica, *Filar IX+*, trzecie przejście klasyczne (ze Sławkiem Sławateckim), świetny styl.

103

SKAŁY

- **Aleksander Romanowski** – za świetne występy w bulderowym pucharze Polski – 4 miejsce.
- **Jakub Ziółkowski** – za przejście 8c RP drogi *O Drakonian devil*.



W kategorii górskiej
nagrodę otrzymał
Wojciech Ryczer
za dobry wynik
w Kirgizji.



W kategorii skałkowej
zarząd przyznał nagrodę
**Aleksandrowi
Romanowskiemu**
za świetne wyniki
w tegorocznych
startach w zawodach
boulderowych.

Partner klubu – firma Salewa, ufundowała dla
laureatów nagrody w postaci sprzętu firmy Salewa
w wysokości 1500 złotych dla obu nagrodzonych.
Gratulujemy!



Inicjatywa
Środowisk Wspinaczkowych
"Nasze Skały"

dziękuję **KW Warszawa**
za wsparcie finansowe!



**dla członków klubu na cały asortyment*

-15%

**za okazaniem legitymacji członkowskiej, we wszystkich sklepach sieci
promocja nie dotyczy artykułów przecenionych.*



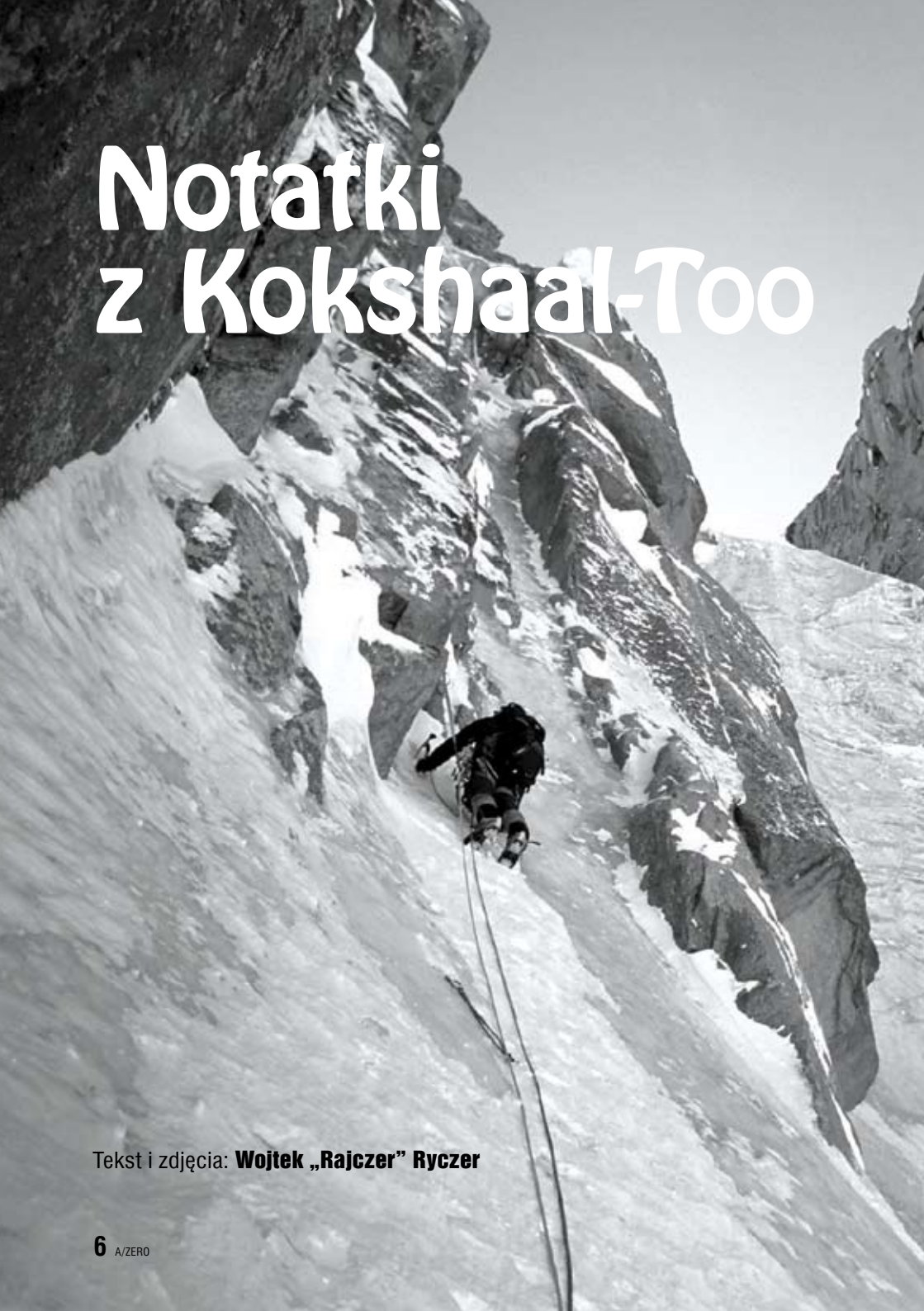
www.cerrotorre.pl

**CERRO
TORRE**



A/ZERO 5

Notatki z Kokshaal-Too



Tekst i zdjęcia: **Wojtek „Rajczer” Ryczer**

Przed akcją. Zmiana pogody. 25 sierpnia 2009. 22:30

Noc, dwa dni po upadku Michała. Piąty z siedemnastu dni pobytu w górach. Siedziemy z Waldorfem w namiocie bazowym, pośrodku pustkowia, wpatrując się w zapaloną świeczkę i wsłuchując w beznadziejne odgłosy padającego śniegu. Chmury zeszły nisko i odcięły nas od świata. Jesteśmy w dupie.

Zostawiliśmy kumpla. Dwadzieścia kilometrów i kilka dolin stąd. Samego w jednym namiocie – skromnym ABC – pośrodku skomplikowanej kamienistej moreny, ze skróconą nogą i jedzeniem na trzy dni. Niezdolnego do marszu. Dwa dni wcześniej, podczas pierwszego wyjścia do góry, przewrócił się pod ciężarem plecaka i skrzył kostkę. Nie może na niej stać. Nie wiemy czy będzie mógł zejść o własnych siłach. Pomocy nie będzie, z nikim nie mamy kontaktu – telefon satelitarny kilka godzin temu odmówił posłuszeństwa. Musimy polegać na zobowiązaniu naszego kierowcy Wiktora. Umówiliśmy się, że przyjedzie tu za dwanaście dni.

Michał znajduje się w miejscu, do którego szliśmy dwa dni. Wracaliśmy po kontuzji partnera sprawną dwójką z pustymi plecakami, w idealnej pogodzie przez dziesięć godzin. Zeszliśmy tu po resztę jedzenia i sprzętu. Dziś odpoczęliśmy, prażąc się w słońcu. Był to dzień połowicznego – jedynie fizycznego – relaksu. Przed nami ciężkie jebanie z worami mordercami, w miękkich butach o wodoodporności adidasów w co najmniej dwudziestu centymetrach świeżego śniegu – bo tyle napadało w ciągu kilku ostatnich godzin. Skorupy już wynieśliśmy. Zostały na górze. Pogoda była wyśmienita, a my w swej naiwności nie przewidzieliśmy czarnego scenariusza.

Założony wsłuchuję się po raz kolejny w komunikat *Only emergency calls are allowed*. Zastanawiam się co się stanie, gdy w razie konieczności poproszę

konsultantkę ze Stanów o śmigłowiec na pogranicze kirgisko-chińskie. Na dodatek to właśnie dziś mam drugą rocznicę ślubu. Po miesiącach studzenia małżeńskich relacji skoncentrowaniem na tatrzańskim i alpejskim przedwyprawowym rozwspinię nie mam możliwości wysłania choćby jednego SMSa. Zabraliśmy z Polski pół kilograma elektroniki, którą taszczymy tam i z powrotem, bez żadnego pożytku.

Kolejne wątpliwości budzi lokalizacja naszej bazy. Dojechalibyśmy samochodem tak daleko jak się dało. Miejsce, w którym się znaleźliśmy, określiła tak naprawdę ilość paliwa. Słoweńcy działający w naszej wymarzonej dolinie rok wcześniej rozbili się cztery godziny wyżej. Pół dnia marszu okupili nadłożeniem drogi samochodem, by ominąć bagna. Mieli również dwa pojazdy, przydatne w przypadku offroadowych nieprzyjemności. My, w celu „optymalizacji” kosztów, zrezygnowaliśmy jednogłośnie z dodatkowego samochodu, świadomie decydując się na gorsze położenie. Tak jesteśmy pół dnia w plecach, co przy wahadlowym taszczeniu wora przekłada się na dwa dni straty. Cóż, tu jesteśmy i tu mamy wrócić za niecałe dwa tygodnie. Krótko. Nie wiem czy będziemy w stanie coś zdziałać, nawet gdy stan nogi Michała umożliwi mu samodzielny powrót.

Uświadamiam sobie, że radość związana z eksploracją nowego miejsca ustąpiła miejsca ciągłemu niepokojom. Od samego początku nie było lekko. Ustalenie terminu ciągnęło się bezlitośnie. Negocjacje z agencją nie napawały entuzjazmem – nie byliśmy pewni czy będzie nas stać, czy przeszkody logistyczne pozwolą nam tu dotrzeć. Kolejne trudności spotkały nas w Biszkeku. Plecak zgubiony przez linie lotnicze skradł nam jakże cenne dwa dni. W końcu dotarliśmy w piękne i dzikie góry i... porażka goni porażkę. Jedyne, o czym marzę, to byśmy znaleźli się w bazie w komplecie.

Po akcji. Powrót. 5 września.

Z uczuciem zmęczenia oswajam się od dwóch tygodni.

Trzy dni temu stanąłem z Waldorfem na szczycie dziewiczej góry. Nie było widoków i łez radości. Wyczerpani po długim wspinaniu, cholernie zimnym biwaku i ciągnącej się w nieskończoność grani pragnęliśmy, podczas powrotu ze ściany, jednego: znaleźć się jak najszybciej na dole. Nie pomagały nam opad, pyłówki, dwudniowe zmęczenie. Mimo niedogodności sprawnie spłynęliśmy linią zjazdów. Zrobiliśmy porządną górską drogę. Do namiotu doszliśmy się drugiego dnia akcji, o północy.

Michał podleczył kostkę. Wystarczająco, by kuśtykać, ale niewystarczająco, by się wspinać. Dzielnie stawał czoła słabej sytuacji. Wspierał nas bazowo i mentalnie, częstując naszą

25 sierpnia 2009, 22:30. Sypie. Wieczór rozmyślań.
Fot.: Wojtek Ryczer.



czerstwą dwójkę dowcipem – niekiedy dość surrealistycznym, opowieściami o sąsiedniej dolinie, którą odwiedził, otwierających się szczelinach i lawinach, których niefrasobliwie doświadczył jako niezrealizowany zdobywca – samotny eksplorator.

Dziś drugi dzień zejścia na dół. Wracamy ‘do domu’. Wczorajszym celem, marzeniem Michała kiblującego od dwóch tygodni pośród kamieni i śniegów, było dotarcie do pierwszych traw. Nie udało się, doszliśmy do miejsca, w którym mieliśmy ABC. O siedemnastej, trzy godziny przed zmrokiem rozpadła się śnieg, odpuściliśmy...

Poranek był pogodny. Wstaliśmy późno. Pakowaliśmy się nieśpiesznie, kradnąc ostatnie chwile odpoczynku. Zwlekaliśmy... być może przeczuwaliśmy niekończącą się przygodę. Wyruszyliśmy przed południem i szliśmy osobno w półgodzinnych odstępach. Snulem się ostatni. Zmęczony towarzyszami, skoncentrowany na własnym kroku, osłabiony zagadkowymi dolegliwościami żołądka. Dużo fotografowałem, odpoczywałem co godzinę, by odetchnąć od ciężkiego wora stopującego na każdym, choćby najmniejszym podejściu. O trzynastej zaczął padać śnieg. Z początku niewinny później zamienił się w śnieżycę.

Mam wrażenie, że jestem w kompletnie innym miejscu. Dwa tygodnie temu maszerowaliśmy w skwarze, dziś podążamy w nieprzyjemnej zimowej scenerii.

Biel zmienia perspektywę. Przed trzema dniami, podczas śnieżnych męczarni na grani szczytowej, brak punktów odniesienia związany z chmurami i śnieżycą sprawił, że straciłem skalę. To, co miało być kilkunastometrowym wzniesieniem, okazywało się zaspą na trzy kroki. Tak naprawdę nie wiedzieliśmy, gdzie zmierzamy. Grań ciągnęła się kilkaset metrów na północ, z czego nie zdawaliśmy sobie sprawy, oglądając ją wyłącznie z południowej perspektywy. Nie byłem pewien, czy jestem na szczycie. Waldorf zachował przytomność, by lakonicznie oznajmić, z kilkudziesięciometrową zwłoką: „To tu jest szczyt”.



2 września 2009. Rafał „Waldorf” Zając maszeruje pod cel główny – Pik Granitsa. Fot.: Wojtek Ryczer.

Kolejny kłopot z orientacją miał miejsce kilka godzin później. W trakcie zejścia musieliśmy zabrać plecak ze sprzętem skalnym i biwakowym pozostawiony po wyjściu na grań. Ładne przedpołudnie nie wróżyło nadchodzącego załamania pogody, więc nie oznaczyliśmy miejsca w żaden szczególny sposób. Tymczasem śnieg zasypał ślady i... mieliśmy różne opinie odnośnie do dalszej drogi. Po chwili wahania podjęliśmy dobrą decyzję. Zjechaliliśmy wprost do plecaka.

Idę sam. Z tyłu zostawiłem morenę i kilka kilometrów kamienistego koryta uspiętej rzeki. Starannie wybieram najprostszą drogę. Chłopaki są z przodu, nie mamy kontaktu wzrokowego. O ich obecności świadczą jedynie częściowo pozawiewane ślady, które mijam od czasu do czasu. Punktem, do którego zmierzam, są zdecydowane dziesięć dni temu jedzenie i gaz na ostatni dzień zejścia. Skład zostawiliśmy u wylotu poprzecznej doliny, w którą skręcimy. Niestety, w nowej scenerii mam problemy z orientacją.

Włączam GPS, wynik zaskakuje. Znajduję się dziesięć metrów od depozytu.

Spotykamy się pięćdziesiąt metrów dalej. Michał i Waldorf czekają, schowani za wielkim głazem. Podczas chwili odpoczynku zastanawiamy się nad dalszym planem: z biwakiem czy non-stop? Trzy godziny do zachodu słońca, pięć więcej do celu. Jutrzejszy dzień chcemy przeznaczyć na odpoczynek i pakowanie – kierowca ma się pojawić kolejnego ranka... wygrywa opcja non-stop.

Dalszą część dnia będziemy iść razem. Zdajemy sobie sprawę, że rozdzielanie się na wieczór nie jest najlepszym pomysłem. Skręcamy w ujście doliny formujące głęboki wąwóz. Podążamy jego stromym brzegiem, ścieżką kóz, którą znaleźliśmy podczas wahadłowego transportu sprzętu. Jest wąziutka, budzi szacunek optymalnym poprowadzeniem między pagórkami i co najważniejsze – wyprowadzi nas na zwalisko kamieni, pozwalające na bezpieczne pokonanie kanionu. Sprawnie



3 września 2009. Około godz. 13. Śnieżycza. Waldorf na grani szczytowej Granitsy. Fot.: Wojtek Ryczer.

przechodzimy na jego drugą stronę. Skorzystanie z koziej ścieżki wybawiło nas z opresji, przekraczanie rzeki w górze doliny byłoby większym problemem.

5 września 2009. Podczas odysei. Fot.: Wojtek Ryczer.

Przestaje padać, chmury ustępują i przejaśnia się dopiero teraz, pod koniec dnia. Wystające spod śniegu końcówki traw połyskują w promieniach zachodzącego słońca. Miękkie barwy zachęcają do dalszej wędrówki... niestety na krótko. Po zmroku ponownie snujemy się w odstępach. I choć nikt z nas nie ma pary, to Waldorf prowadzi przez większość drogi, narzucając tempo. Jest dla mnie zbyt szybkie, co niemiłosiernie mnie wkurza. Po dniu marszu z bardzo ciężkim worem, dodatkowo osłabiony dolegliwościami żołądka, nie mam już sił.

Zmieniamy 'taktkę'. Michał idzie krok za mną, na zamek, pilnując odpoczynków i zagadując dla podniesienia nastroju. Porusza absurdalne tematy. Ledwo go słyszę, nie mam ochoty gadać, brakuje mi sił na odpowiedź. Przy kolejnym postoju zrzucam wór. Psychy siadła kompletnie. Czemu on musi być tak ciężki?! W furii częstuję plecak serią kopnięć, co wywołuje zdziwienie na twarzach towarzyszy.



Po kolejnych godzinach męczarni, wciąż przed północą, meldujemy się na płaskowyżu. Pokonaliśmy 400 metrów podejścia. Przed nami cztery godziny po względnie płaskim terenie, godzina zejścia do naszej doliny, potem rzeka i do upragnionego namiotu... nieubłagane konsekwencje żółwego tempa: 1,5 km/h. Na przystanku chowamy się przed wiatrem w cieniu samotnego highballa. Jest minus piętnaście stopni Celsjusza. Klimatyczna pełnia księżyca. Jasno prawie jak w dzień. Wiatr uciął, widoki kosmiczne. Gotujemy izostary w kubku jetboila, iluzorycznie rozgrzewając dłonie. Z ust Michała pada lekarskie pytanie:

- Jak się czujesz?
- Jest w porządku – odpowiadam.
- Mogę jeszcze długo iść, byle nie szybko i na płaskim.
- Jesteś pewien? – sprawdza. – Ludzie w ten sposób umierają z wyczerpania.
- W Alpach z Krzyśkiem i Marcinem wspinaliśmy się 15 godzin, kolejne 15 schodziliśmy – nie trafiliśmy do schroniska... Nie umrę. Mogę jeszcze długo iść... Byle nie za szybko.

Dotarli do namiotu o 3:30 nad ranem. W żółwym tempie 1,5 km/h.

W wyprawie wzięli udział Michał Kasprovicz (UKA), Rafał „Waldorf” Zając (KW Wrocław) i Wojtek „Rajczer” Ryczer (KWW/UKA).

Owocem wyjazdu są dwie nowe mikstowe drogi:

- Z-K (D+, 600 m) na Piku Plaza (4912 m n.p.m.)
- *Nordic Walking* (AI5/5+, M4 z miejscem M5, 1000 m, dwa dni) na północnej ścianie dziewiczego Piku Granitsa (5370 m n.p.m.)

Wyjazd został dofinansowany przez Polski Związek Alpinizmu, któremu serdecznie za to dziękujemy. Podziękowania kierujemy również do sponsorów – firm HiMountain, Kingston, Maw Telecom oraz Monkey's Grip. Dziękujemy także wszystkim osobom, które wsparły nas organizacyjnie i informacyjnie, zwłaszcza Paulowi Knottowi (New Zealand Alpine Club), kolegom z Sekcji Grotolazów Wrocław oraz Gosi Biczek.

6 września 2009. 2:39 nad ranem. Godzina do namiotu. Fot.: Wojtek Ryczer.



Kaukaskie Yin i Yang

Tekst: **Marta Wawro i Paulina Janczar**



Marta

Podróż pociągami była dość podniecająca. Byłam już na wschodzie, ale nie tak daleko. Spodziewałam się przygody. Dojechaliśmy do bazy w Nalcziku bez problemów. Zawsze słuchałam opowieści o tym, ilu to milicjantów i innych przedstawicieli władzy czepia się po drodze obcokrajowców i ile to kasy trzeba wywalić na łapówki. Nam nic takiego się nie przytrafiło. Po prostu dojechaliśmy.

Z Nalczika, jakimś rozwalającym się żukiem albo jego lokalną odmianą, ruszyliśmy pod górę drogą, która dopiero miała nią zostać. Tak nas wytrzesło, że raz prawie złamałam sobie kark, gdy przysnęłam i głowa, miotana na wybojach chciała spaść mi za plecy. Po zdającej się nie mieć końca podróży dotarliśmy do Bezingi.

Baza okazała się małym miasteczkiem, a nie większym biwakiem, którego się spodziewałam. Warunki były zupełnie w porządku. Odpowiednio ustawiając harmonogram dnia, dawało się codziennie wziąć ciepły prysznic. Jedzenie niczego sobie, choć po miesiącu można było zatęsknić za wieprzowiną.

Pierwszy spacer zrobiliśmy do Misses Kosz. Biwaku – blaszanej budki pod Misses Tau. Idzie się tam moreną wzdłuż lodowca Bezingi. Miejsce było magiczne. Przepiękna łąka i kwiaty. Tylu niezapominajek jednocześnie chyba nigdy nie widziałam. Drugim spacerem było Kółko Saratowa. Biegne ono jedną moreną do przełamania lodowca Mizirgi, potem przez lodowiec i wraca drugą moreną. Zupełnie w porządku.

Po lajtowej aklimatyzacji kompania stwierdziła, że czas na coś ambitniejszego. Ruszyliśmy do Dżangi Kosz. Masakra. Podejście dało mi w kość. Słuchanie muzyki z „Piratów z Karaibów” tylko na godzinkę było mnie w stanie podtrzymać na duchu, a ten „kitajski podchod” trwał prawie dziewięć godzin! Najgorsze było to, że za kilka dni mieliśmy tędy wracać.

Na miejscu mieliśmy zrobić dwa wyjścia. Na Pik Siemionowskiego i na Dychniausz.

Paulina przyłączyła się do moich wątpliwości, czy po tak krótkim rozzwinięciu i niezbyt długim ręście damy radę zrobić jeszcze Sellę, więc z niej zrezygnowaliśmy. Widoki z Austriackiego Biwaku były niesamowite. Świadomość, że znajduję się na takim odludziu też była jakoś ekscytująca. Teraz pozostało tylko wspinanie. Nienawidzę rano wstawać. W górach jeszcze jako tako mi wychodzi, ale górskie rano to nie to samo, co miejskie. Po śniadaniu ruszyliśmy na Siemionowskiego. Na podejściu myślałam, że puszcę pawia owsianką, którą ledwo udało mi się rano przełknąć. (Czy na tym polega aklimatyzacja?). Gdy na grani związaliśmy się linami, było nieco lepiej. Tempo wspinania z asekuracją siłą rzeczy jest nieco wolniejsze niż bez, więc miałam chwile wytchnienia. Widoki dodawały otuchy. Na pik nie doszliśmy, gdyż kilkadziesiąt metrów przed szczytem zgubiliśmy drogę. To znaczy byliśmy na niej, ale wydawało nam się, że nie wiemy gdzie jesteśmy. Szkoda, bo było już blisko. Wróciliśmy na biwak. Następnego dnia mieliśmy sobie zrobić rest. Było całkiem przyjemnie poza tym, że w trakcie gry w tysiąca załatwiliśmy na cacy palec Pauliny, miażdżąc go między kamieniami. Sądziłyśmy, że nic już z niego nie będzie, że trzeba będzie jechać do Nalczika w gips go wkładać. Na szczęście nie było tak



Girls Team po grze w tysiąca. Fot. Damian Graczyk.

Paulina i Damian w drodze na Pik Siemionowskiego. Nad lodowcem góruje Szchara. Fot. Marta Wawro.



Paulina i Damian w trakcie sesji promującej KW Warszawa.
Fot. Marta Wawro.

źle. Oczywiście na Dychniausz już nie poszliśmy. W drodze powrotnej prawie się popłakałam, a to przecież Paulina miała rozwalony palec.

Ustaliliśmy, że trzy dni restu nam wystarczy. Paulina ma jaja ze stali i cholernie odporną psychę. Ja chciałam jechać nad morze, natomiast ona już po jednym dniu zaczęła narzekać, że pogoda się popsuła i nie będzie można nigdzie wyjść. Zgodnie z planem po trzech dniach wyszliśmy z bazy z zamiarem wejścia na Pik Brno. Same. Cieszyłam się, że idziemy bez facetów. Bałam się tylko tego, że nikt nie odciąży naszych plecaków, pobierając ciężkie części wspólnego szpeju. Dla mnie jak zwykle podejście było upiorne. W głowie przekrzykiwały się myśli „Co ty tu robisz skoro ledwo dyszysz?“, „Dla takich cieniasów jak ty są drinki z palemką i leżaczek na plaży!“. Ten wewnętrzny dialog był dobijający. Na szczęście to tylko w mojej głowie, przecież DAŁAM RADE!

Nie zdążyliśmy dojść do biwaku przed zmierzchem, więc zanocowałyśmy niżej. Następnego dnia podeszłyśmy na właściwy biwak i odpoczywałyśmy. Półdniowy odpoczynek po dźwiganiu tak ciężkiego plecaka wydawał mi się zbyt krótki. Jak się później okazało, niesłusznie.

Na Brno weszliśmy za grupą instruktorów z Ukrainy. Cały szpej, który wzięliśmy w dro-

gę, na nic się nie przydał. Na tej górze potrzebne są tylko raki i kijki trekkingowe. Ludzie mówili nam, że to brzydka góra i mieli rację. Podejście na nią to jak wdrapywanie się na hałdę koksu. Na górze, co prawda, mogłam sobie pohasać chwilę po skałach. Był to przyjemny przerwany między podejściem a zejściem, poza tym nic ciekawego. Następnego dnia postanowiłyśmy wejść na Pik Kursantów. Miałam wątpliwości czy mam wystarczający zapas sił, ale zdecydowałam się, bo zazwyczaj organizm może wytrzymać więcej niż mu się wydaje.

Miałam rację, nie było tragedii. Paula w ładnym stylu pociągnęła pierwsze 150 m po lodzie, a mi prowadzenie wyciągów na grani sprawiło dużo przyjemności. Tak jak myślałam, fakt zdobycia Piku Kursantów naprawdę mnie ucieszył.

Tym razem wracało mi się zupełnie dobrze. Oczywiście bolały ramiona, kark, szyja, nogi, stopy... Palce miałam całe w odciskach. Mimo tego moją psychą podniosła się – było lepiej.

Po powrocie do bazy zaczęłyśmy przeliczać siły, czas i plany, które miałyśmy na początku. Z założonych szczytów został nam jeszcze Mały Ural. Dogadałyśmy się z Damianem i Denisem – poznanym na Piku Kursantów, że razem podejździemy do biwaku. Damian miał z nami wejść na Mały Ural, a potem z Denisem na Ukiu.

Byłam miło zaskoczona przemianą mojej psychy. Dużo lepiej mi się szło, choć podejście do Ciepłego Ugła jest strome i żmudne. Sceneria noclegu była bardzo teatralna. Nad biwakiem wisiał wielki pionowy lodowiec, Arbuz, który dodawał krajobrazowi dramatyzmu. Nie udało nam się zrealizować pierwotnych planów. Co prawda pierwszego dnia ruszyliśmy pod ścianę, ale zawróciliśmy, zanim mżawka prawie doszczętnie nas przemoczyła. Paulina i Damian czuli, że coś dziś nie mają czy to sprzęza, czy koncepcji na wchodzenie na górę. Wyjątkowo mi się dobrze podchodziło, choć o 4 nad ranem, gdy mnie budzili, miałam ochotę zrezygnować ze wszystkiego, spać do południa, a potem się obżerać. Uznaliśmy, że to nie jest dobry dzień na wspinanie.

Paulina na stanowisku. Droga na Pik Siemionowskiego. W chmurach Dżangitau. Fot. Marta Wawro. 

Wieczorem przyszedł do nas Denis. Niepewna pogoda, ciężko dawała się przewidzieć. Następnego dnia rano nadal straszyla chmurami. Chłopaki mieli iść na Ukiu. Denis jednak się wycofał. Kiedyś dostał tam dwa razy piorunem i od tamtej pory źle reaguje na burze. Ukiu to góra, która przyciąga wszystkie wyładowania, bo jest zbudowana w dużej przewodzie z rud żelaza. Zdecydowaliśmy pójść we czwórkę na Mały Ural. Ucieszyło nas to, bo inaczej pewnie nie udałoby się nam wejść na ten szczyt. Mieliśmy jedną linę na cztery osoby, więc albo chłopaki, albo dziewczyny, albo razem.

Wszystko było pięknie. Podejście już mieliśmy obcykane. Szło mi się równie dobrze, jak poprzednim razem. Nie wiedziałam tylko, co za piekło szykuje dla mnie Mały Ural. Najpierw pionowy niemalże śnieg i lód – niektórzy twierdzą, że to subiektywne odczucie. Ja z moim wewnętrznym dialogiem i w za dużych butach. Nie sądziłam, że w drodze powrotnej będzie gorzej. Mam nadzieję, że duża część negatywnych emocji, które mnie ogarnęły, wynikała z faktu, że po dojściu na grzą dosłałam okresu. (Po kiego grzyba kobietom

są okresy?!). Do turni szczytowej prowadził Denis. Tam postanowiłyśmy z Pauliną przejąć pałeczkę i dla odmiany powspinać się po skale, a nie po latających kamieniach albo przepadającym śniegu.

Schodziliśmy drogą podejścia, dookoła były ślady świeżych lawin i grzmiała burza. Roztrzęsiony Denis poganiał mnie, choć szybko iść już nie mogłam. Było mi gorąco, miałam wszystko głęboko gdzieś. Chciałam zjechać na dupie na dół, powstrzymywało mnie to, że najprawdopodobniej byłaby to ostatnia rzecz, jaką bym zrobiła, a mimo wszystko nie chciałam się żegnać ze światem. Szczęśliwie dotarliśmy do biwaku. Po ciepłej kolacji opadły z nas emocje.

Po zejściu mieliśmy już tylko odpoczywać i oczekiwać dnia wyjazdu. Jednak za namową organizatorów wzięliśmy udział w zawodach wspinaczkowych z okazji obchodów pięćdziesięciolecia bazy. Były dziwne. Trzecie miejsce, które zajęłam, również mnie zadziwiło, ale miło było dostać nagrodę po TAKIM miesiącu.

Powrót dłużał się tak samo jak przyjazd, ale z każdą godziną byłam bliżej swojego domku,



swojego łóżeczka i swojej łazienki. To додаło otuchy. Gorące powietrze wlewające się do przedziału każdą szparą, przypominało, że jeszcze jest lato.

Dobrze jest wyjechać w takie miejsce, ale miło też wrócić.



Paulina

Pewien mój znajomy, odpowiadając na pytanie dotyczące tego, w jakiej kolejności powinny w życiu wystąpić praca i wspinanie, zwrócił mi uwagę na nasilającą się z wiekiem tendencję do utraty entuzjazmu. Zgodnie z jego teorią im więcej mamy lat, tym w mniejszym stopniu przepełnia nas zachwyt dla każdego nowego dnia, zachodu słońca, góry, ściany czy nowo poznanego człowieka. I choć zdarzają się chlubne wyjątki, to jednak większości z nas nie udaje się uciec żelaznej konieczności tego procesu (dlatego *climb now, work later*). Mnie on chyba też dosięgnął. Oczywiście wszystko dzieje się powolutku, niezauważalnie – zaczyna się od tego, że nowo poznawane osoby obdarza się zwyczajnym ciepłym uśmiechem – zamiast super-ciepłym-i-mega-otwartym-uśmiechem-pełnym-ciekawości-drugiego-człowieka. Z czasem pojawia się rutynowy uśmiech „tak, tak, miło cię poznać”, który

z wolna przechodzi w zwyczajną obojętność dla wszelkich nowo przybyłych. Jasne, że obojętność jest skrajnym punktem na skali, do którego – mam nadzieję – większość z nas jednak nie dociera.

No właśnie, kiedy wyjeżdżałam w Kaukaz, takie delikatne „ja już naprawdę widziałam dużo i właściwie to chyba nic mnie nie ruszy” na dobre się we mnie zadowowiło. Trochę, co prawda, wynudziło się przez dwa i pół dnia w pociągu i poczuło się nieco niepewnie na dźwięk śpiewających szyn na zakręcie torów w Rostowie nad Donem. Ale właściwie jego pozycja była niezagrażona. Tak, aż do drogi z Nalczika do bazy w Bezingi. Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś jechał z prędkością od 40 do 60 km na godzinę po górskiej drodze, która w naszym kręgu kulturowym raczej uchodziłaby za przeznaczoną wyłącznie dla pieszych. Czegoś takiego jeszcze nie widziałam, ani nie odczułam – bardziej intensywnym wrażeniem było odczuwanie – jak żyję. Ucieszyłam się ze spotkania ze srogą strażą graniczną, bo oznaczało ono możliwość wydostania się z auta, do którego kierowcy udało się zapakować ośmiu pasażerów z dużymi bagażami zamiast przepisowych siedmiu. Zresztą nikogo nie oburzyła ta liczba, ani pograniczników, ani kierownika bazy, który po



prostu uprzejmie się zainteresował, że jednak osiem osób daje radę.

Ale dalej, baza jak baza, chociaż ta – hmmm – naprawdę wielka. Pokój górsko skromny, nie spodziewam się luksusów. Dookoła bazy równie realistycznie wyglądające jak wycięte z kartonu czy jak plakat oklejający rybkom akwarium piętrzą się GÓRY. Szczególnie Mur Bezingi robi wrażenie! Nie widziałam nigdy takich gór! Spocily mi się dłonie. Nie jestem pewna, czy to już pierwszego dnia po przyjeździe niewinnie zajrzeliśmy do baru. Nie pamiętam jak to się stało, ale parę godzin później siedzieliśmy w kilkanaście osób przy obficie zastawionym stole, kosztowaliśmy baraniny i innych regionalnych przysmaczków, popijanych, wedle uznania, koniackiem lub wódeczką, słuchaliśmy niekończących się piosenek o górach i przyjaźni oraz dłuuuuugich toastów o podobnej tematyce.

Kiedy w okolicach pierwszej w nocy gospodyni przybytku – Tonia – z wdziękiem i zdecydowaniem wyprosiła całą gromadę na powietrze, wyszłam z baru, zobaczyłam nad swoją głową, rozciągniętą pomiędzy dostojnymi szczytami granatową aksamitną koldrę, haftowaną lśniąco diamentami. Miałam wrażenie – i nie było to efektem spożycia, a raczej jasnością i ilością gwiazd – że niebo opada na nas, takich uśmiechniętych, wpół objętych, rozśpiewanych. Ten pierwszy wieczór był powrotem młodzieńczego entuzjazmu. Trochę chciało mi się uklęknąć...

Kaukaz to oczywiście i przede wszystkim góry, góry wielkie, dostojne, piękne, (straszne). Wszystko zrobiło na mnie wrażenie, wielkość seraków, częstotliwość spadających lawin, ilość odwiedzających nas na biwakach kóz. Ale naprawdę przytłoczyły na mnie garnki, a raczej ich rozmiary. Garnek bowiem to instytucja, to nie może być jakaś maleńka męnażka, której zawartość starczy na dwie herbatki dla zespołu. To MUSI być gar tak wielki, żeby cała ekipa mogła ugasić swoje pragnienie. I nie tylko ekipa – czyli kilka zespołów spędzających wspólnie czas na biwaku – herbaty powinno jeszcze starczyć dla ludzi, którzy

☞ Marta na tle Muru Bezingi. Fot. Paulina Janczar.

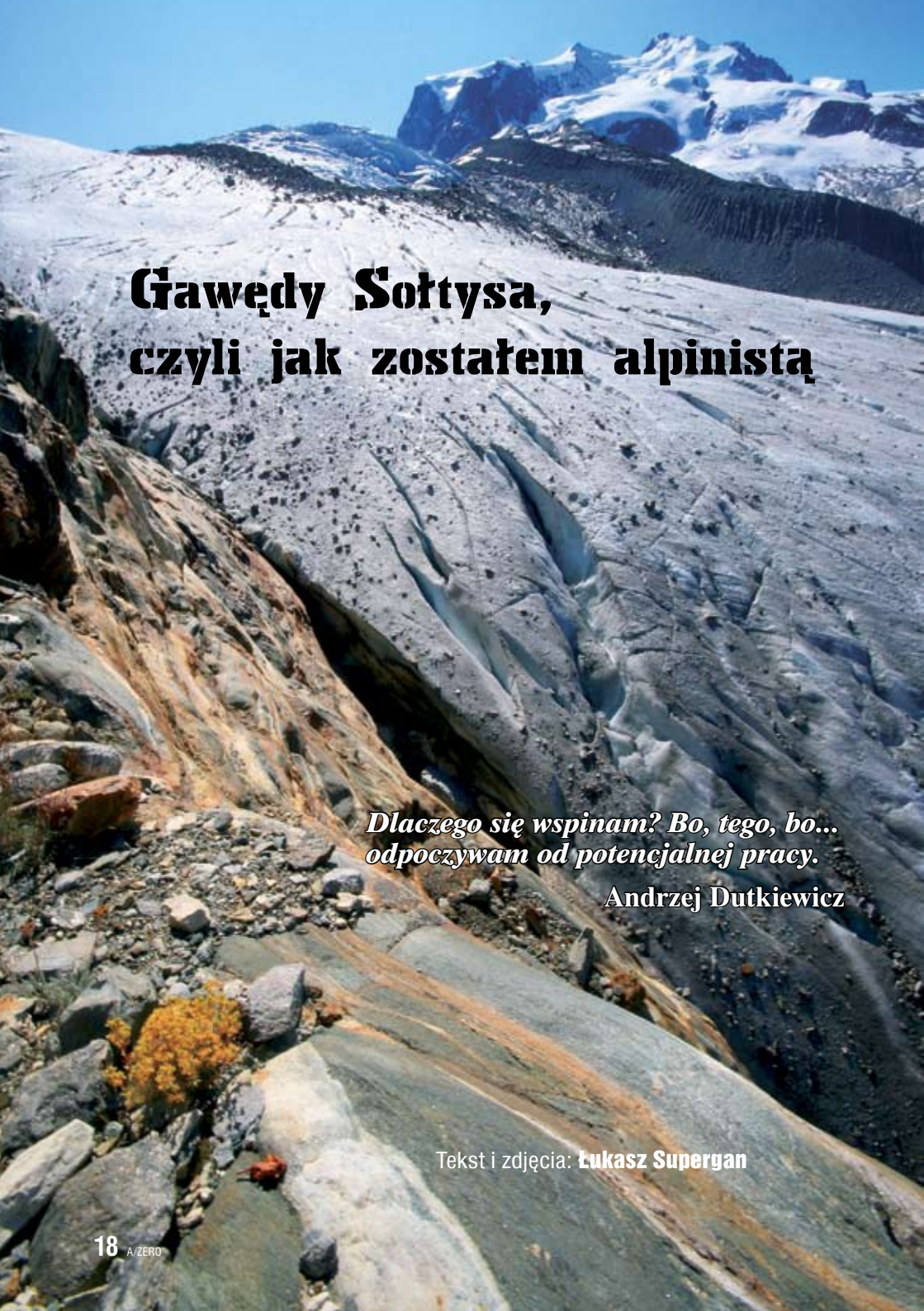


Marta na trawersie pod Pikiem Siemionowskiego.
Fot. Paulina Janczar.

właśnie schodzą z gór. Dla spotkanych przez nas w Bezingi wspinaczy i turystów to naturalne – jeśli widzą kogoś schodzącego z gór, lub wolno człapiącego na biwak, odpalają gar z herbatą. Zdarza się też zaproszenie na poczęstunek, na który najczęściej składa się ser, chleb, pomidory, cebula, czosnek i nierzadko wódeczka. To jak królewskie przyjęcie, jeśli zestawić to z targanymi przez nas liofilami. Nie muszę dodawać, że znajomości rozpoczęte tak wspaniale rozwijają się dalej, tworząc życie towarzyskie podczas dni spędzanych w bazie. A ludzie, no ludzie są tak niezwykli i ciekawi, jak długie toasty charakterystyczne dla regionu ☺.

Wróciłam z Kaukazu dwa miesiące temu, ale tak naprawdę nie wróciłam. Ciągłe stoję przed barem w bazie i podziwiam oświetlone przez księżyc góry, pod rozgwieżdzonym niebem, w towarzystwie przyjaciół, którzy śpiewają i grają na gitarach. Tak, stoję tam z otwartymi z zachwytu ustami... Więc jeśli myślicie, że naprawdę widzieliście już dużo i nic już was nie rzuci na kolana, to pojeźdźcie w Kaukaz... i spróbujcie nie klęknąć ;)

Podziękowania dla KW Warszawa oraz firmy Salewa za ufundowanie nagrody, a także firmy Yeti za ciepłe śpiworki.



Gawędy Sottysa, czyli jak zostałem alpinistą

*Dlaczego się wspinam? Bo, tego, bo...
odpoczywam od potencjalnej pracy.*

Andrzej Dutkiewicz

Tekst i zdjęcia: **Łukasz Supergan**

Na początku był pomysł wyjazdu w jakieś dalekie góry. Moim zamiarem było wejście na pierwszy w życiu wierzchołek czterotysięczny. Ponieważ z natury jestem raczej niecierpliwym, a na pewno żądnym sukcesów, wiedziałem, że będzie nim Mont Blanc. Nie może być inaczej!

Z czasem plan zaczął nabierać rumieńców. Po prostu doszedłem do wniosku, że wyjazd w Alpy tylko po to, by zaliczyć jeden wierzchołek, wraz z jakimś niższym, aklimatyzacyjnym, to po prostu marnotrawstwo czasu i środków. Po co poświęcać dwa tygodnie na jedną górę, jeśli wydłużając nieco wyjazd można ich mieć więcej? Dodałem do planu wyjazdu dwa kolejne szczyty, później jeszcze dwa, aż ostatecznie decyzja zapadła – moim celem było wejście na dwanaście wierzchołków. Zaczynając od niższych i łatwiejszych, gdzie miałem szansę sprawdzić swoje możliwości, a kończąc na najwyższych i trudnych.

Ten plan miał swój słaby punkt – byłem ograniczony czasem, miałem do dyspozycji tylko miesiąc, co zmieniało przedsięwzięcie w wyścig. Dlaczego? Spytajcie mojego szefa, czy dałby mi dłuższy urlop...

I tak 1 lipca wieczorem znalazłem się w szwajcarskich Alpach Walijskich, ciągnąc za sobą dwa wielkie wory, zawierające 70 kg sprzętu i jedzenia.

Gawęda pierwsza

Pierwsza noc w górach minęła spokojnie – drewniana ławka w dworcu w Sierre była mało wygodna, musiałem też spać czujnie, żeby nie stracić żadnego z worów. Ostatni autobus w góry odjechał i musiałem czekać na następny do ósmej rano. Na szczęście w ciągu godziny znalazłem się w dolinie d'Anniviers, w miasteczku Zinal, gdzie zaczynał się szlak na Bishorn (4153 m) – mój pierwszy szczyt.

Podczas pakowania plecaka zauważyłem brak części bagażu. Niewielka torba, która najwyraźniej została w domu, stanowiła tylko ułamek mojego wyposażenia, jednak szybko zorientowałem się, że przyjechałem w góry (i to jakie!) bez czapki, kominiarki, rękawiczek, łapawic i kałesonów. Wściekły na samego siebie udałem się na zakupy tylko po to, by dowiedzieć się, że przerwa na lunch kończy się w tutejszych sklepach dopiero za dwie godziny. Kiedy już się z tym uporałem, mogłem wyruszyć w drogę.

Podejście zacząłem około godz. 16, do pokonania miałem ponad półtora kilometra przewyższe-

nia, na wieczorny biwak dotarłem więc około 22. Rozbiłem namiot na przełęczy Tracuit (3250 m). Długie podejście w upalnym słońcu odebrało mi wszystkie siły i nie wierzyłem, abym nazajutrz był zdolny do pokonania 900 m wysokości na szczyt. Postanowiłem jednak spróbować.

Droga była łatwiejsza niż przypuszczałem. Szeroki i wolny od szczelin lodowiec wiodł ku północnemu zboczowi góry. Tego ranka, zmęczony po wczorajszym podejściu, wlokłem się w ogonie, więc kilka wyprzedzających mnie zespołów zostawiało znakomite ślady. Gdzieś na wysokości 3500 m zaczęło mi brakować powietrza. „Dobra nasza, kosmos coraz bliżej!”, pocieszałem wyčerpany brakiem tlenu umysł. W rzeczy samej mój oddech przypominał sapanie miecha, całe ciało stało się cięższe, a żwawy dotychczas marsz zamienił się w pełźnięcie, co minutę przerywane odpoczynekami. Mimo zmęczenia szedłem do góry i około godz. 10 stanąłem na wierzchołku. Moje pierwsze cztery tysiące leżały u stóp, otaczała mnie fantastyczna panorama, jaką dotychczas widziałem tylko na zdjęciach. Nie przesadzę, jeśli powiem, że czułem się jak pierwszy zdobywca tego szczytu! Schodziłem szczęśliwy.

Aha. W domu zostały także wszystkie koszulki, które miałem na zmianę. Przez następny miesiąc chodziłem w tej samej. Już wiecie czemu jeżdżę samotnie w góry?

Gawęda druga

Niewielki skok w czasie. Jest 8 lipca, świt stał mnie podchodzącego pod grań Hohlaub, wschodnie ramię Allalinhornu, wznoszącego się nad doliną Saas. O 4 rano opuściłem schronisko Britannia, jednak z każdą chwilą coraz bardziej żałowałem tej decyzji – wiał silny wiatr, było zimno, a od wschodu nadciągały gęste chmury. Pogoda nie wróżyła niczego dobrego, tymczasem czekało mnie kilometrowe podejście zwieńczone pionowym progiem skalnym. Szedłem wolno, szpej w plecaku ciągnął mnie ku ziemi.

Na grani wiatr się wzmógł, a po chwili nadeszły chmury. Przez następną godzinę lub dwie nie widziałem niczego poza czubkami butów. W sumie zastanawiałem się nad wycofem, niemniej droga w dół była równie długa jak na górę... Gdzieś tu chyba powinny być nawisy na grani, ale jak mam je wypatrzyć, idąc w zasadzie po omacku? Na szczęście, gdy dotarłem do stóp skalnej bariery

☞ Na lodowcu Grenz, widok na masyw Monte Rosa.

dzielającej mnie od szczytu, chmury rozeszły się nieco i widziałem już szczegóły stromej ściany.

Ze znalezionej w skale spita zrobiłem stanowisko, po czym zaczęło się powolne pełznięcie na solowej asekuracji w górę, systemem rynien i bloków. Co jakiś czas osadzałem kości, nerwowo luzując węzły zaciskające się na linie. Po około 30 m założyłem górny „stan” i już miałem zacząć zjazd, gdy spod mojej liny wynurzyła się nagle czyjaś głowa. Jakiś wspinacz, nic sobie nie robiąc z mojej obecności drodze, zaczął wspinanie. „Halten Sie! Stop! Ein moment!”, krzyknąłem, ale ta cholera poniżej najwyraźniej nie władała językiem Goethego, bo szła dalej do góry. Bezsilnie zoba-czyłem, jak prowadzący trójkowy zespół przewodnik zakłada asekurację w pobliżu mojej, korzysta z tego samego spita i beżmyślnie płące nasze liny, uniemożliwiając mi dalszą wspinaczkę. O zgrozo, na dole czekały jeszcze dwa takie zespoły.

Moji przygodni znajomi okazali się być Włochami, co było mi na rękę, gdyż mogłem głośno przeklinać, bez obawy bycia zrozumianym. Pół godziny czekałem, aż grupa zwolni drogę, zlikwidowałem dolne stanowisko i doszedłem na linie. Włosi kontynuowali swój wielki marsz. Znalazłem się w idiotycznym położeniu – drogą szły „na zakładkę” dwa trójkowe zespoły przewodników i ich klientów, ja zaś wspaniałem się wewnątrz tej „zakładki”, nasze trzy liny szorowały o siebie i płatały się nawzajem. Prosty w gruncie rzeczy próg, o długości jednego wyciągu, pokonałem chyba w półtorej godziny.

W ogóle komercyjne zespoły w Alpach to fajna sprawa. Niekiedy na drodze spotkać można świetnie zgrane teamy, których duże doświadczenie widać z daleka. Niestety, spora część uczestników tych wycieczek sprawia wrażenie nowicjuszy, którzy pierwszy raz wyszli w góry wysokie. I w sumie nie ma w tym nic złego – w końcu każdy z nas kiedyś zaczynał – tylko dlaczego prowadzone przez przewodników „tramwaje” spotyka się na całkiem trudnych drogach?

Adepci alpinizmu, różnego wieku i płci, idą potykając się co chwila o własne raki, niewprawnie operując czekanami, a wąskie ścieżki i panujący na nich tłok uniemożliwiają im nawet chwilowy przystanek i zrzućcie ciuchów, gdy robi się gorąco. Dlatego mijali mnie ludzie idący w zół-wim tempie, wyczerpani, mimo słońca opatuleni kompletami polarów i goreteksów, odwodnieni. Niewiele wyglądało na szczęśliwych.

Odniosłem także wrażenie, że przewodnicy alpejscy żyją w innym świecie – mało który nosi kask, a gdy idą obok innego zespołu, zazwyczaj wymijają go w miejscu najmniej do tego dogodnym i bezpiecznym.

Gawęda trzecia

To było już po zejściu z piątego wierzchołka, po nieudanym ataku na grań Mischabel. Wszedłem wówczas na dwa z czterech szczytów należących do grani i wycofałem się z powodu nadchodzącej śnieżycy. Droga ta wydała mi się jednak znakomitą aklimatyzacją przed wejściem na Mont Blanc, dlatego zaraz po zejściu udałem się pociągami do Chamonix, by rozprawić się z Białą Górą. Przed wyjazdem moim marzeniem był tylko główny wierzchołek, ale ponieważ apetyt rośnie w miarę jedzenia, postanowiłem przetraversować cały masyw, zahaczając o Mont Maudit i Mont Blanc du Tacul.

Noc spędziłem na hałaśliwym biwaku w Les Houches, błogosławiąc zatyczki do uszu. Główna droga biegła 100 m dalej, a liczni turyści i wspinacze nie kładli się spać z kurami. Nazajutrz, za 20 euro, dałem się wepchnąć do kolejki linowej, z której przesiadłem się do tramwaju jadącego do Nid d'Aigle (2372 m). Półgodzinna jazda była masakrą – stojąc w niewygodnej pozycji kurczowo trzymałem ciężki wór, a wokół mnie kłębił się tłum wczasowiczów, jazgoczących dzieci, narzekających emerytów, wściekłych ojców i niecierp-

Wiatr na północnej grani Mont Blanc, zejście w stronę Mont Maudit (4465 m).



liwych matek. Do tego niezliczeni Japończycy, których nie było widać zza aparatów fotograficznych. Nie wiem czego szukali na górze, chyba tylko świeżego powietrza za cenę 40 euro, jakie musieli zapłacić za bilety, bo mało który z nich odważył się potem wejść nawet na prosty szlak zaczynający się powyżej. Tego wieczoru rozbiłem namiot na Aiguille du Gouter. Próbowiałem zasnąć, ale silny wiatr, który przyniósł tej nocy zmianę pogody, szarpał moim schronieniem tak, że przestraszyłem się, że mnie porwie.

Około godz. 2 wyczołgałem się na zewnątrz, by ujrzeć sznur kilkudziesięciu światełek przesuwających się obok. Było zimno i wietrznie, ale pchany instynktem stadnym dodałem moją czołówkę do milczącego, anonimowego tłumu. Kilka minut później pierwsze zespoły zaczęły przystawać, a potem zawracać, wielu z nas nie było przygotowanych na tak złe warunki. Pojeście zdawało się nie mieć końca. W drugiej godzinie marszu moją jedyną myślą było: „Czy to już zawsze tak będzie?”. Powiem Wam szczerze, łatwo nie było. Obok zimna i potęgowanego przez wicher zmęczenia, najbardziej przejmujący był jednak nastrój wyczuwalny w grupie. Idąc różnym tempem, mijaliśmy się, ale nikt nie odezwał się do nikogo, niczym w towarzystwie milczących cieni czy duchów. Każdy napierał do góry jak nieprzytomny, wlepiając oczy w śnieg lub pięty poprzednika, bez śladu emocji na zmęczonej twarzy. To jedno zapamiętałem z trzygodzinnego podejścia do schronu Vallot. Przyszło mi nawet do głowy, że gdybym uległ w tej chwili wypadkowi lub zasnął, niewielu z nich lub zgola nikt nie przyszedłby mi z pomocą – tak przynębiająco i samotnie czułem się w tym tłumie.

W Vallocie sporo zespołów zrezygnowało z dalszej drogi. Odpoczywałem tam kilka godzin, obserwując towarzyszy. Wiele nie było przygotowanych na tak złą aurę. Obraz we wnętrzu blaszanej budy, wypełnionej teraz ludźmi, nie był budujący. Kolejni dochodzący wypełniali wolne miejsca pod ścianami, po czym jakby zapadali się w sobie, nie mówiąc niemal nic, czasem prawie nie reagując. Pod sąsiednią ścianą leżało na podłodze czterech chłopaków i dopiero po chwili intensywnej obserwacji upewniłem się, że żyją, tak bezwładnie byli rozrzućeni. Prawdopodobnie zniszczył ich brak aklimatyzacji i słaby ubiór.

Pogoda tego dnia nie polepszyła się, a nie-

śmiało prognozy mówiły o możliwej poprawie za dwa dni. Wraz ze śpiącą w schronie ekipą Polaków wyszliśmy na szczyt, ale wśród chmur i gradobicia widoczność nie przekraczała 10 m. Góra zdobyta, ale jaka z tego radość?

Podjąłem decyzję o przeczekaniu śnieżyicy w schronie. Moi towarzysze planowali zejść następnego dnia. Niestety, pogubili się na zboczach Dôme du Gouter i prawie weszli w strefę szczelin. Na moje pełne zdumienia pytanie o kompas odpowiedzieli, że choć mają znakomite mapy, nikt z nich nie pomyślał o jego wzięciu...

Na pryczy obok mnie zaległa dwójka Czechów. Dziewczyna spisywała się jako tako, ale jej partner ewidentnie nie stawał na wysokości zadania. Przez prawie cały czas utrzymywał pozycję horyzontalną i widziałem go wstającego tylko z rolką papieru toaletowego w dłoni, w drodze na zewnątrz. Moi sąsiedzi przyjechali do Francji i przy okazji zapragnęli zdobyć najwyższy szczyt Alp. Rozbili namiot na dole, po czym „na lekko” wyszli do góry, gdzie uwieczili ich śnieżyca. W przypadku tej dwójki styl *light&fast* oznaczał, że rozgrzewali się wzajemnie pod jednym śpiworem, szli z jednym czekaniem na dwoje, a herbatę gotowali na pożyczonych od Polaków maszynkach, swojej bowiem nie mieli. Brak cie-



Trzeci szczyt wpuścił
– zespół na wierzchołek Allalinhornu (4027 m).

plych posiłków rekompensowali sobie batonikami energetycznymi, aż w końcu ktoś się nad nimi zlitował i oddał jednego liofa. Zapytana o dalsze plany Czeszka odpowiedziała, że teraz to już ma wszystko gdzieś, Lazurów Wybrzeże jest do *přítí* i nie marzy o niczym poza powrotem do Pragi... Patrząc na jej partnera i oddając zapas diamentu jednemu z Polaków, który również zmagał się z brakiem aklimatyzacji, zrozumiałem nagle pojęcie „dobór naturalny”. Zresztą tego dnia poszło na wierzchołek trzech innych młodych Czechów i wszyscy mieliśmy nadzieję, że zeszli bezpiecznie, bo żaden z zespołów biwakujących wokół góry już później ich nie widział.

Tej nocy śnieżycą odeszła równie niespodziewanie, jak się pojawiła. Nad Mont Blanc rozpostarło się bezchmurne niebo, a szczytową grań Bosses rozświetlała pełnia. Ze schronu wyszedłem z pewnym wahaniem, jednak widok oddalających się na horyzoncie chmur dodał mi skrzydeł. O piątej rano stanąłem na wierzchołku, samotny i szczęśliwy, obserwując świt nad najwyższymi szczytami Alp. Wszystko co działo się do tamtej chwili przestało być ważne – był tylko piękny wschód słońca, góra i ja na jej szczycie. Pomyślałem wtedy, że doświadczam cudu, a doświadczenie to było warte dwóch dni czekania i wielu miesięcy przygotowań.

A potem? Potem było już zwyczajnie: długa droga granią, wspinaczki, schodzenie, mijane na lodowcach coraz liczniejsze zespoły, chwile strachu i wahania na oblodzonych skałach gdzieś pod szczytem, krótkie jak mgnienie oka, desperackie hamowanie czekaniem na Mont Maudit, gdy pokonawszy się zacząłem jechać ku szczelinom da-

leko w dole... Długo by o tym mówić. Trzynastcie ciężkich godzin później stanąłem pod Aiguille du Midi, kończąc przejście masywu Blanca.

Gawęda czwarta

Noc pod lodowcem Monte Rosa, na trasie wiodącej pod Dufourspitze, drugiego co do wysokości szczytu Alp, przespałem źle. Budzik nie miał jednak litości i o trzeciej wyrwał mnie z letargu, zagrzebanego w puchowy kokon. Niżej widać było już światełka idących ku górze ludzi, zebrałem więc sprzęt, w tym 60 m liny do asekuracji na grani i wyszedłem na lodowiec.

No dobra, możecie spytać, czy to znaczy, że chodziłem sam po lodowcu? Tak. Przed wyjazdem z Polski planowałem wejścia w taki sposób, by możliwie często chodzić graniami, a jak nierzadziej lodowcami, kryjącymi zdradliwe szczeliny. Już w praktyce okazało się jednak, że kilku *tête à tête* uniknąć się nie da. W takich wypadkach chodziłem jednak śladami poprzedników, z dala od szczelin. Aż do tej pory.

Maszerując w ciemności, po szarej patelni lodowca, natrafiłem nagle na coś, co wyglądało jak bryła lodu wystająca ponad jego powierzchnię. W istocie był to odpęknięty blok lodu, otoczony szczelinami. Za nim zaś kolejny i kolejny, i... Drogi dokoła nich nie było i wówczas zrobiłem rzecz, którą teraz mógłbym nazwać jedynie szaleństwem – wszedłem pomiędzy szczeliny, szukając przejścia przez ich gigantyczny labirynt, pokrywający znaczny obszar lodowca. Drogi przez zdradliwą okolicę nie było, co gorsza, zapędziłem się w miejsce, które otoczone było barierą wielkich rozpadlin. Musiałem się wycofać i spróbować gdzie indziej. Wszyst-

ko jednak na próżno.

Niedługo potem zjawiał się obok mnie pierwszy zespół idący z dołu. „Jestem uratowany, moi dobroczyńcy wytyczą ślad!”, przemknęło mi przez myśl. Rzeczywiście, weszli pomiędzy szczeliny, jakby całe życie nie robili nic innego, najwyraźniej znając ścieżkę do bezpiecznego miejsca powyżej. Zacząłem iść za nimi, podniesiony na



duchu, jednak gdy przyjrzałem się uważniej podłożu, mój optymizm zniknął. To czym właśnie szedłem nie było ścieżką, natomiast dość mocno przypominało ukrytą pod lodem szczelinę. Błyskawicznie ewakuowałem się na bok, jednak strach pozostał. Zdalem sobie sprawę, że ryzyko, które wziąłem na siebie, zaczyna wymykać się spod kontroli. Stałem w bezpieczniejszym miejscu i odwróciłem się, by zawrócić, jednak droga odwrotu gdzieś zniknęła. Stałem sam, na niewielkim polu lodowym, otoczony szczelinami.

O czym myślałem? Daleko mi było do paniki, choć lód pode mną wydawał dziwne odgłosy, jakbym pod stopami miał jedynie jego cienką taflę, nie zaś solidny blok. Uwagę skoncentrowałem na znalezieniu wyjścia z tej matni. Czy bałem się w tamtej chwili? Tak. Czego? Reakcji bliskich, straconych szans i marzeń, utopionych w jakiejś cholernej lodowej dziurze. A już największą złością napelniała mnie myśl, jak idiotycznie będzie wyglądać ten nekrolog na stronie KW... Bez dwóch zdań był to najgłupszy i najbardziej niebezpieczny moment tej wyprawy. Ostatecznie przeszedłem, z duszą na ramieniu, kilka mostów śnieżnych i znalazłem się z powrotem w dolnej części lodowca. Inne zespoły były już daleko w górę, ja jednak pojąłem, że sam nie mogę iść ich śladem. Dufourspitze została nade mną, dumna i niezwyknięta.

No cóż, przynajmniej mam teraz z kim wyrównywać rachunki.

Gawęda piąta

Dobra, kończę, bo widzę, że zasypiacie. A zatem, żeby nie zamykać tej opowieści sceną klęski i upokorzenia, dodam, że to nie koniec. Dzień odjazdu ze Szwajcarii był już bliski, zdecydowałem się jednak na ostatni wysilek i dwa dni później stanąłem na wierzchołku Domu. Król burz, góra, na którą decydują się iść raczej nieliczni, okazał się łaskawy, obdarowując mnie pięknymi widokami na pożegnanie. Niezwykłym było znaleźć się, po wielu godzinach trudnej drogi, na trzynastym szczycie, z którego widziałem rozrzuconą wokół pozostałą dwunastkę. Dom był dla mnie trudną górą, wymagającą wytrwałości, siły i cierpliwości, jednak po raz kolejny się udało. Wieczorem byłem już na kempingu, naza-jurt zaś opuściłem góry na dobre.

Cóż dodać? Na zakończenie zabrakło mi dwóch wymarzonych szczytów – Dufourspitze i Matter-



Na wierzchołku Dom (4545 m).

hornu, które miały być ukoronowaniem tej przygody. Jestem zadowolony z pozostałych trzynastu. Cały czas mam przed oczami tamte obrazy, chwile, emocje. Czy było trudno? Tak, ale nie z powodu trudności dróg – pierwszy wyjazd w wysokie Alpy był lekka głównie wytrwałości i cierpliwości, wsłuchiwanie się w głos gór, nauką wycucia odpowiedniego momentu do ataku lub na wycofanie się. Był też inspiracją do powrotu i zmierzania się z nowymi, trudniejszymi wyzwaniem.

Gdy opuszczałem Zermatt, północna ściana Matterhornu odsłoniła się kusząco zza chmur... Co, mówicie, że mrzonki? Ech, dzisiejsza młodzież...

W dniach 1–28 lipca prowadziłem samotną działalność na terenie Alp Walijskich i Graickich (Szwajcaria/Francja). Owocem tego wyjazdu były wejścia na 13 szczytów czterotysięcznych: Bishorn, Weissmies, Allalinhorn, Nadelhorn, Stecknadelhorn, Mont Blanc, Mont Maudit, Mont Blanc du Tacul, Breithorn, Breithorn Środkowy, Pollux, Castor, Dom.

Dziękuję wszystkim, którzy pomogli mi w organizacji tej wyprawy (zwłaszcza licznym sponsorom w liczbie zera). Dziękuję za wsparcie zaprzyjaźnionym redakcjom (NPM, Extremium, Geozeta, e-gory.pl oraz aktywni.pl) oraz Klubowi Wysokogórskiemu Warszawa. Podziękowania dla Oli za prognozy pogody slane pod Dach Europy i za wyrozumiałość, jaką darzy moje kolejne górskie wybryki.

☞ Masyw Breithornu (4164 m) i Matterhorn (4478 m), widok z moreny lodowca Grenz.

The Land of Oz

Tekst i zdjęcia: **Adam Latusek**

Czy Chamonix leży na wschód odnikąd? Tego nie wiem, ale dla nas tym właśnie było – krainą wspinaczkowych marzeń. Miejscem, gdzie zaczęła się ta wielka wspinaczkowa przygoda, która rozpałała wyobraźnię tak wielu.

Przed wyjazdem patrzyłem na ogromne zdjęcie Petit Dru wiszące w siedzibie PZA i nie mogłem wyjść z podziwu. Jak coś takiego w ogóle może istnieć?

Munchkinsland

W krainie Oz znaleźliśmy się dzięki napędzanej silnikiem diesla 25-letniej trąbie powietrznej, która dopiero na szwajcarskich drogach zdała się przyznać do wysiłku ponad miarę. Szybko naprawiliśmy powstałą awarię systemu chłodniczego i „Schpeiwa-gen” osiągnął cel.

Chamonix powitało nas dobrą pogodą i tłumami turystów, którzy w dziwny sposób pasowali do tego miasta kurortu i zapewne dawno już stali się jego integralną częścią.

– Dorotko, to miejsce w niczym nie przypomina Kansas – pomyślałem. Nie zmieniło to faktu, że żaden z nas nie czuł się jak na wakacjach. Nie kierowała nami wizja dobrej zabawy i przyjemnie spędzonego czasu i, co gorsza, nie byliśmy w tym myśleniu osamotnieni. Każde spojrzenie człowieka w wysokich butach i softshellowej kurtce, wspartego o plecak z przytwierdzonym czekanem nie pozwalało nam zapomnieć, po co tu przyjechalśmy. Choć każdy z nich miał to na końcu języka, my mówiliśmy to wprost. Przyjechalśmy, by założyć.

Zła czarownica z zachodu

Osiem euro na głowę, tyle wynosiła zrzuta na bilet, do którego dołączono trzy ciężkie wory ze szpejem, namiotami i jedzeniem na cztery dni. Liczba 18 była natomiast tą, która za sprawą gry w marynarza dała mi możliwość zastanawiania się, jak wyniosę te trzy plecaki z wagonika jadącego do Montenvers. Odpowiedź brzmiała: po kolei.

Dałem radę. Polak potrafi! Gdyby było inaczej, żałowałbym się teraz na ceny campingów w Chamonix.

☞ Mamy do tego zacięcie!



...ponieważ zbieranie znaczków to nudne zajęcie.

Nasz plan był prosty: Igły od południa, kilka dni łatwego wspinania, a potem zejście do Chamonix i rest.

Siedząc na ławce przed stacją kolejki, podziwiałem widoki i czekałem na chłopaków, którzy na lekko zmierzali w moim kierunku. Nic nie zapowiadało tego, że kilka dni później to przepełnione turystami miejsce stanie się naszą noclegownią, gdy silny wiatr i niekończąca się ulewa zawrócą nas z drogi na lodowcu.

Przedemną widniała Szmaragdowa Wieża znana szerzej jako Petit Dru i osławiony Mer de Glace – gigantyczna lodowa autostrada przemierzająca się mozolnie po dnie doliny z prędkością porównywalną do tempa budowy naszych asfaltowych odpowiedników.

Do schroniska Envers mieliśmy jakieś trzy i pół godziny drogi. Szlak wiódł częściowo po lodowcu, a następnie przez szereg metalowych drabin osadzonych w wypolerowanych przez lodowce pionowych płytach. Gdy tak pod nimi staliśmy, ciężkie plecaki na naszych barkach nagle przemówiły i przekonały nas, że palowanie po tych drabinach wygląda tak odpychająco niefajnie i do tego do góry, że postanowiliśmy ruszyć równie łatwą drogą po morenie bocznej. Zdawało się nam, że taki szlak zaznaczony był w przewodniku... którego nie zabraliśmy. Pogoda była jednak dobra,

a zamek zlej czarownicy z zachodu – daleko. W schronie byliśmy następnego dnia.

„We're off to see the Wizard, the wonderfull wizard of Oz”

Pomimo obaw Waldeka, następnego dnia poszliśmy łąć. Tak zrobiliśmy drogę *Le Piege* TD+/200m/6a+ na Aiguille de Roc. Po jej skończeniu zeszliśmy do miejsca, w którym poprzedniej nocy rozbiliśmy namioty, by po raz kolejny uznać wyższość tuńczyka w oleju nad kotletami sojowymi. Pomimo zmęczenia, przenieśliśmy obóz na platformy na wysokości schroniska i przez kolejne dni rozkoszowaliśmy się wątpliwej jakości francuskim piwem pitym na ganku Envers.

W ciągu kolejnych dni legendy o wspaniałości tutejszego granitu się potwierdziły. Kilo-metry rys, zacięć i płyt mogą z pewnością stanowić obiekt westchnień niejednego, a gdzie tam, każdego miłośnika tych formacji.

Latające małpy

Kolejnego dnia zrobiliśmy godną polecenia drogę *La Marchand de Sable* TD+/330m/6a+ na Tour Rouge. To wyjście zapadło mi w pamięć nie ze względu na chwilowy opad śniegu, który zaskoczył nas w środku ściany, lecz z powodu pewnej rozmowy, która odbyła się już po tym, jak wspólnymi siłami przegoniiliśmy burzowe obłoki, śpiewając czy raczej zawodząc: „czekam na wiatr co rozgoni...”.

Sklaniałbym się raczej w stronę zawodzenia.

To ciekawe o czym rozmawia się na stanowiskach. Wspinaliśmy się w zespole trzyosobowym, więc zawsze było z kim pogadać. Gdy Wojtek skończył mówić, bezmiar granitowych płyt pod nami przypomnieliśmy mi zdjęcia El Capa, które znam z kolorowych magazynów i uroki życia w portaledżu. Wiem, że jeśli wsadzisz dziesięciolatka do samolotu lecącego w nocy, to gdy wyjrzy on za okno gotów pomyśleć, że jest w kosmosie, ale w tym wypadku nasza rozmowa zeszła na bardziej przyziemny aspekt ludzkiej egzystencji. Wojtek ni stąd ni zowąd opowiadał o dzikim plemieniu żyjącym gdzieś w Ameryce Południowej, w którym prosty akt defekacji nie tyle urósł do rangi tabu, co po prostu stał się czynnością niegodną człowieka. Gorzej, mężczyzny. Wypróżnianie było dla owych ludzi dowodem słabości i odrzucenia Matki Ziemi, której



owoce tak chętnie przyjmowali. Tak przynajmniej do rozumiałem. Stąd moje pierwsze skojarzenie. Wtedy byliśmy już pewni, że dzisiejsi zdobywcy El Capa ze swoimi wiadrami na ekskrementy muszą zatem stanowić brakujące ogniwo między nami a nimi.

Wiedzieliśmy już co mamy zrobić, by wspinać się lepiej. Ponadto czystość w miejscu obozowania była dodatkowym atutem. Pomysł wydawał się przedni do pierwszej porannej kawy.

Szmaragdowe miasto

Po czterech dniach wspinania w totalnej lampie zeszliśmy do Chamonix. Powodem były zarówno zmęczenie, jak i kończące się zapasy. Zasiedliśmy, by naładować akumulatory telefonów i z wnętrza lokalu wpatrywaliśmy się przez szybę w grań Igieł, widzianych od północy, rysującą się pod napisem „McDonald’s”. Jadłem frytki i coś sobie przypominałem...

Niecałe dwa miesiące wcześniej siedziałem przy ognisku w samym środku doliny Ropjana w Prokletijach, gdzieś na pograniczu Albanii i Czarnogóry, i wiedziałem że poza mną i trzema towarzyszami nie ma tam nikogo. Dwa dni później spotkaliśmy jedynie pasterza pędzącego owce po hali. Tu natomiast, zasypiając w namiocie, słyszałem rozmowy ludzi przed schroniskiem i w tamtej chwili Chamonix oraz jego otoczenie wydały mi się jakimś groteskowym funparkiem dla wspinaczy i narciarzy zbudowanym w studiu MGM za 5 miliardów euro. Trochę sztucznym, ale monumentalnym. Od razu pomyślałem o betonowych fundamentach pod Petit Dru i wyczuwałem pod palcami napisie na zagięciach rys – made in China. Tamtego wieczora lało jak z cebra. Siedzieliśmy w pocziwym golfie, jedząc bagietki, sery typu camembert i pomidory. „Schpeiwagen” znów był naszym domem.

Czarnoksiężnik z Oz

Podobnie jak w bajce, Czarnoksiężnik okazał się pokurczem bez mocy, a nam podobnie jak głównym bohaterom chyba brakowało rozumu, serca i odwagi. Po dniu restu wróciliśmy pod Igłę. *Directa Americana* na Dru wydała się

bardziej niedostępna niż wcześniej, a Contamina na Petit Jorasses dziwnie daleko. Tak oto balon, którym mieliśmy wrócić do Kansas, pękł niczym bańka mydlana, pozostawiając po sobie mgiełkę gorzkawych wspomnień. Czy zatem wyjazd był nieudany? Skądże znowu. Południowa strona Igieł to miejsce, które można odwiedzać kilka lat z rzędu i wciąż odkrywać coś nowego. Zaryzykuję nawet stwierdzenie, że nie byłoby to nudne, choć celów w okolicy Chamonix jest wiele i to różnych.



Granitu obliczy wspomnienie ulotne.

Jak na debiut w tych górach to chyba nie było źle. Rekonesans w krainie Oz – tak powinien brzmieć tytuł tej bajki.

W kolejnych dniach padły *Children of the Moon* TD+/320m/6a+ na Aiguille de Roc oraz w wyniku błędów w interpretacji topo kombinacja dróg *Bienvenue au Georges V* i *Guy-Anne na Nantillons*.

W schronisku Envers spotkaliśmy Grzesia S. i Alka B., którzy wycofali się z *Directa Americana* po deszczu, który zastał ich w ścianie. To była druga próba Grześka na tej drodze i chyba naiwnością jest sądzić, że droga ta puści za pierwszym razem. Warto także przypomnieć, że Dru wciąż ubywa i obrywy są dość częste.



Go west!

Quid pro quo

Po kolejnych trzech dniach wspinania okazało się, że za około dwa dni zabraknie nam gazu. Ktoś musiał zejść jeszcze raz do Chamonix, bo założyłem, że wszyscy lubią szybko gotujący się kuskus. Tym kimś byłem zatem ja.

Przypadał nam akurat wtedy dzień restowy, więc mieliśmy czas na sen, kąpiel i wylegiwanie się godzinami w słońcu. Kapaliśmy się na oddalonych o kilkanaście minut granitowych platformach, na które z hukiem waliły hektolitry wody wyciekającej wprost z położonego wyżej lodowca. Uczucie smagania lodowatą wodą napływającą do oczu w połączeniu z jej otumaniającym chłodem i oślepiającym wściekłym światłem naszej gwiazdy dawało wrażenie głębszego doznania wszystkiego, co nas otaczało. Szarych plam granitu, śliskości skały wyczuwanej pod stopami i światła mie-

niącego się w kroplach wody spływających po rogówce oka. Nie ma takiej technologii HD, która byłaby w stanie to oddać.

Koło godziny 16 spakowałem się i ruszyłem po gaz, wino i miotłę złej czarownicy z zachodu, którą Dorotka miała przynieść Czarnoksiężnikowi z Oz w zamian za spełnienie życzeń. Nie ma nic za darmo.

Lampa była niemiłosierna, ale to akurat mnie cieszyło i sprzyjało szybkiemu schodzeniu coraz niżej i niżej aż na sam lodowiec. Na szlaku spotkałem Magdę N. i Pawła S., którzy szli powoli do góry, sapiąc z wysiłku od dźwigania ciężkich worów na przygarbionych plecach. Paweł był ogolony, oboje mieli usta zaciągnięte kremem z filtrem, a na głowach coś od słońca. Wyglądali jak my tydzień temu... Zgroza. Zamieniliśmy parę słów i umówiliśmy spotkanie następnego dnia wieczorem w schronisku. Potem pognałem co sił na dół. Chciałem się zmieścić w czasie dwóch i pół godziny, i udało mi się. Zależało mi na tym, by zdążyć do sklepu, bo z przyczyn nie-ludzko pojętej ekonomii wszystkie były czynne tylko do godziny 19. Knajpy i restauracje pozostały rzecz jasna otwarte.

Po szybkiej kolacji rozbiłem namiot i zasnąłem... by obudzić się w środku nocy.

Gdyby ludzkie oko mogło postrzegać podczerwień, nie musiałbym włączać czółówki. Jarzyłem się! Wystawione na słońce ciało oddawało właśnie pobraną za dnia energię zalewając mnie potem i rozpalając do żywego. „Czarownica zaczęła się topić”, pomyślałem.

Była godzina druga w nocy, kiedy przemknąłem niczym zjawa pośród pięknych i młodych kuracjuszy Chamonix w drodze do ujęcia wody znajdującego się 15 minut drogi od parkingu blisko centrum miasta. Była sobota, a wody, którą przyniosłem wcześniej, było za mało. Tak oto mecz, w którym zagraли: Czerniak złośliwy i Krem z filtrem, zakończył się wynikiem 3:0, piękny hattrick zaliczył gracz o inicjałach UV.

Powrót do Kansas

W dzień wyjazdu czułem niedosyt. Zwykle go odczuwam, jak trzeba wracać, ale tym razem

jednak było trochę inaczej. Zabraliśmy rubinowe pantofelki marki 5.10, które Alek zostawił w schronisku Envers i ruszyliśmy w drogę powrotną. Być może stuknięcie obcasami trzy razy załatwiłoby sprawę, ale żaden z nas nie nosił rozmiaru 42. Pozostał konwencjonalny wariant powrotu. Wsiedliśmy do samochodu wypełnionego po brzegi wonią sera camembert i ruszyliśmy w drogę. Byłem wykończony fizycznie, miałem dosyć, ale duchowo... czegoś mi brakowało.

Jak to często bywa, w drodze powrotnej wróciliśmy do rozważań dotyczących przyczyn tego wszystkiego. Dlaczego właściwie spędziliśmy te dziesięć dni w górach? Dlaczego się w ogóle wspinamy? Dlaczego zainwestowaliśmy pieniądze, czas i trochę pracy w coś, czego nie można ocenić i zmierzyć? Waldek spytał wprost:

– Gdyby ktoś zadał ci pytanie: dlaczego to robisz? Co byś odpowiedział? Bo ja bym chyba nie umiał wyjaśnić tego racjonalnie – ciągnął.

Tak chyba jest. Każdy z nas miał inne ważne sprawy na głowie. Ja miałem się zająć przeprowadzką, Waldek zmianą pracy, a Wojtek jej szukaniem. Pomiedzy przełamywaniem własnych lęków, poszukiwaniem przygody i prawdy o sobie uznaliśmy, że każdy robi to z innej przyczyny. Każda jest słuszna. Chwilę później zgodnie ustaliliśmy, że robimy to z tego samego powodu, dla którego psy liżą się po jajach: bo mogą!

Wkrótce znów wpatrywaliśmy się w milczeniu w uciekające kilometry żółtej brukowanej drogi, która tak jak Dorotkę, i nas miała zabrać do domu.



Blondynka w Alpach

Okotowspinaczkowe impresje alpejskie

Tekst: **Magdalena Nowak i Paweł Strzelecki**



Magda:

Już na kursie taternickim usłyszałam, że wspinąć się z babą nie należy, bo baba nie, tylko pecha w górach przynosi. Zaczęłam się zastanawiać, na ile jest to powszechna opinia i czy to znaczy, że nie będę miała się z kim wspinąć w górach? Całe szczęście nie było tak źle, jak sądziłam. Znalazłam śmiałka, który za nic miał szowinistyczne zabobony i chciał pojechać ze mną w góry. Ba! Nie w byle jakie góry, tylko w Alpy! Cóż za euforia mnie ogarnęła, kiedy usłyszałam o tym pomysle. Ledwie wyfrunęłam z naszego małego tatrzańskiego Heimatu, a tu staje przede mną perspektywa poznania gór, które gdzieś w zakamarkach głowy zmitologizowałam do niewyobrażalnych rozmiarów. Podczas podróży przez Szwajcarię miałam nadzieję jakoś się oswoić z widokiem gór i przygotować na spotkanie z doliną Chamonix, ale kiedy tylko zza zakrętu wyłoniły się Igły, to mimo wszelkich starań, żeby swój zachwyt ubrać w pełne zdanie, już nawet nie szczególnie elokwentne czy poetyckie, byle tylko spójne zdanie, to jedyne, co byłam w stanie powiedzieć, to „Ohhhhhh!”. Pierwsze spojrzenie na Alpy jest po prostu nie do opisania, później, kiedy już troszeczkę się opatrzymy, można się silić na wyszukane opisy o niezwykłych, strzelistych szczytach wzbudających podziw i szacunek, których mistycyzm zniewala i pozwala transcendować cały nasz świat, ale na początku jest po prostu „Łaaa!”.

Paweł:

Byłem mocno podekscytowany rozpoczynającym się wyjazdem. Była to już moja kolejna wizyta w Chamonix, więc daleko mi było do neofickiej radości Magdy, ale z uwagi na mizerne pod względem wspinaczkowym poprzednie dwa lata dojechałem na miejsce mocno nakręcony. Plan wyjazdu był nieco szalony. Otóż założyłem, że w dwa tygodnie odwiedzimy Igły od Północy, Igły od Południa, zrobimy coś z Valee Blanche, pogoda będzie doskonała i nawet znajdziemy w tym wszystkim czas na wspinanie. Na miejscu trzeba było zatem szybko działać. Po pięknej nocy pod rozgwieżdżonym niebem wjechaliśmy rano na Plan, błyskiem rozstawiliśmy na-

miot i podeszliśmy pod ścianę. Już pierwsze metry drogi przypomniały mi, że wspinanie w granicze zdecydowanie odbiega charakterem od tego, co robiłem przez ostatnie dwa lata w Podlesicach. Stękałem i sapałem, pełzając w kominie za gigantyczną odpęknętą płytą i nawet w pewnej chwili przyszła mi do głowy myśl, czy to jest na pewno to na co tak bardzo czekałem. Dalej było już znacznie lepiej, czyli przyjemne i nietrudne wspinanie, zjazd, dobre jedzonko przed namiotem, kolejny piękny dzień i zjazd na pizzę do Cham. Zadziwiające, byłem z babą, a mimo to wszystko się jakoś układało. Dzień później, schodząc z ciężkim plecakiem ścieżką z Montenvers na lodowiec, baba wykonała efektownego fikołka i padła plackiem na kamienie. No to, kurwa, po wakacjach – pomyślałem. Gdzie tam! Magda się podniosła, otrzepała i dzielnie ruszyła dalej.

Magda:

Po tym efektownym fikołku została mi tylko jeszcze bardziej efektowna dziura w kolanie i kilka siniaków w miejscu, gdzie plecy tracą swoją szlachetną nazwę. Poza tym, byłam tak rozanielona faktem, że jestem w Alpach, że pewnie mogłabym nawet skrócić kostkę, a i tak pokuśtykałabym dalej. Przyjechałam się zmierzyć z prawdziwymi górami, a byle kamyczek na prostej drodze miałby mnie wykończyć? Nie było takiej możliwości. Mieliśmy spędzić cztery dni w jednym z najwspanialszych miejsc, jakie miałam okazję kiedykolwiek zobaczyć. Przez jedno z wejść zaglądały nam do namiotu Żorasy, grań Rochefort i Ząb Giganta, a przez drugie mieliśmy piękny widok na Grań Rekina, schronisko Enevert i Aiguille de Roc. Spręża nie brakowało, ale po maratonie, jaki zaliczyliśmy przez ostatnie kilka dni, powoli zaczynało brakować nam sił. Zdecydowaliśmy się na dzień restowy, a nie od dziś wiadomo, że najlepszym zajęciem w taki dzień jest jedzenie. No właśnie i tutaj pojawił się pewien problem, bo zanim wyruszyliśmy z Chamonix nasłuchałam się od Pawła, żeby tylko nie wziąć za dużo jedzenia, bo plecaki i tak mamy wystarczająco ciężkie. Nasłuchałam się, nasłuchiwałam i wzięłam sobie to do serca. W związku



Grań Kuffnera w całej okazałości z linią drogi. Fot. Magdalena Nowak.

z czym przygotowałam prowiant, jak to się ładnie mówi, w sam raz. „W sam raz”, gdyby nie ten nieszczęsny dzień restowy. Do obiadu nie było tak strasznie, kryzys przyszedł w porze podwieczorku. Kiedy już byliśmy gotowi przygotować potrawkę z alpejskich korzonków, poratowali nas klubowi koledzy, których spotkaliśmy kilka dni wcześniej. Panowie planowali wrócić na dół następnego dnia i chcieli się pozbyć wszystkiego,

co nie będzie im już potrzebne. Między innymi kilku tabliczek czekolady, kawałka imbiru, kilku torebek ryżu i tak fantastycznego wynalazku, jak szczotka do mycia naczyń. Byliśmy uratowani!

Paweł:

I tak najedzony i napity korzystałem dalej z uroków dnia restowego. Fantastyczny spokój zmaćla jednak baba, przeglądając przewodnik i krzątając się nerwowo wokół szpeju. Znow jej się zachciało wspinania! Wylazłem zniesmaczony z namiotu i przyasekurowałem ją na drżąco-lydkowych rajbungach na pobliskiej skale. Sam natomiast tego dnia wspinaniem się nie skalałem.

Dwa dni później zbiegliśmy do Chamonix. Na całe szczęście pogoda chwilowo się pogorszyła, więc bez zbędnych wyrzutów sumienia, razem ze znajomymi, mogliśmy oddać się nie-wiem-już-któremu zwiedzaniu sklepów ze sprzętem i bez opamiętania pochłaniać świeżutkie bagietki, pomidorki i owoce. Rytualna wizyta w biurze przewodników zakończyła jednak ten radosny czas – następnego dnia miało się wypogodzić. Nastąpiło więc kolejne przepakowywanie, pakowanie, ogarnianie i porządkowanie, zakończone stwierdzeniem, że tym razem prowiantu trzeba zabrać „w sam raz”.



Baba i jej pierwsze alpejskie prowadzenie. Fot. Paweł Strzelecki.

Grań Kuffnera. Fot. Paweł Strzelecki

Magda:

W „sam raz”, czyli tym razem na wszelki wypadek za dużo. Trzeba jeszcze wspomnieć, że Pan Wiem-Jaka-Jesteś-Roztrzępana-Więc-Będę-Cię-Pilnował-Żebyś-Wszystko-Wzięła zapomniał o jakże przydatnej części garderoby, jaką są rękawiczki. Oczywiście ich brak był dla Pawła doskonałym pretekstem, żeby zrobić sobie dobrze i sprezentować sobie nowe. Faceci! A podobno to baby są zakupocholiczkami. Uprzedzając jego oburzenie dodam, że oczywiście rozumiał, że był to zakup konieczny i wymuszony sytuacją, niemniej jednak choćby nie wiem jak się starał, nie był w stanie ukryć radości, jaką mu sprawił nowy gadżet. Teraz spakowani, naładowani pozytywną energią, którą dał nam dzień pobytu w dolinie, mogliśmy uderzyć na podbój wyższych partii Alp. Pierwszy raz w życiu miałam się znaleźć na wysokości 3802 metrów nad poziomem morza, czyli na wysokości górnej stacji kolejki na Aiguille du Midi. Teoretycznie jest

to wysokość, która nie wpływa negatywnie na samopoczucie większości ludzi, jednak po głowie kołatało mi się pytanie czy mój organizm nie odmówi współpracy już tam? Było jednak lepiej niż mogłam się spodziewać. Pierwszej nocy spałam jak dziecko, a rano obudziłam się wypoczęta i gotowa do działania. Przed nami główny punkt programu – Grań Kuffnera!

Paweł:

Niestety, należę do tej grupy osób, dla których pierwsze godziny pobytu na tej wysokości objawiają się lekkim zamuleniem przypominającym nieco kaca. A może zwyczajnie był to efekt znakomitego lokalnego winka wypitego ze znajomymi poprzedniego wieczoru? Tak czy inaczej, podobnie jak Magda, następnego dnia czułem się znakomicie. Humory nam dopisywały, pogoda była doskonała, więc niespiesznie przygotowaliśmy się do wyjścia. Mając w perspektywie spacer z babą po lodowcu, zaproponowałem krótkie ćwiczenia z autoratownictwa,



które szczęśliwie zakończyły się skutecznym wyciągnięciem mnie ze szczeliny. Nie byłem bez szans! Przygotowani i spakowani już mieliśmy ruszać w drogę, gdy nagle Magda, podnosząc ze śniegu plecak, zastygła zgięta w pół, złapała się za plecy i z krzywą miną wyrzuciła z siebie krótkie i treściwe „Auu!.. Nic mm nie jesss!”, syknęła po chwili przez zaciśnięte zęby. Zabrzmiało to absolutnie nieprawdopodobnie, ale ta cholera jest strasznie uparta, więc po chwili zgarnęła plecak i mimo ostrego bólu kręgosłupa, sztyw-
na jak kij ruszyła przed siebie przez lodowiec. Na podejściu do biwaku Fourche’a, Alpy po raz kolejny przypomniały, że baba w górach przynosi tylko pecha. Na szczęście dla mnie, pech koncentrował się na Magdzie, tym razem przybierając postać bryły lodu trafiającej ją prosto w nos. Kiedy jej zbryzgana krwią twarz wyłoniła się z kuluaru kilka metrów pod moim stanowiskiem, zacząłem poważnie myśleć o tym, że zamiast w Alpach powinniśmy teraz leżeć gdzieś na plaży w Calanques.

Magda:

To był jeden z tych momentów, kiedy myślałam, że jest już tak źle, iż gorzej być już naprawdę nie może. Oczywiście zdawałam sobie sprawę, że mogło się wydarzyć mnóstwo dużo gorszych rzeczy, ale wtedy byłam przekonana, że nareszcie wyczerpałam limit pecha na ten oraz kilka najbliższych wyjazdów. Ta myśl tak mnie uskrzydliła, że mimo rozharatanego nosa nawet mi nie przyszło do głowy, że mogłabym być gdziekolwiek indziej. Poza tym po drugiej stronie grani czekała na nas blaszana buda, która wtedy jawiła się nam jako luksusowa rezydencja. Grań Kuffnera z perspektywy biwaku wyglądała niesamowicie. Atrakcyjna i groźna zapraszała, żeby się z nią zmierzyć. Chciałabym powiedzieć, że cały wieczór nie mogłam od niej oderwać wzroku, ale prawda jest taka, że wtedy zdecydowanie bardziej moją uwagę zaprzątał liof, który zwiastował koniec głodowych arii, jakie od dłuższego czasu wyśpiewywał mój żołądek. Po nocy spędzonej przy francusko-włoskich serenadach naszych chrapiących współ-



lokatorów, którym akompaniował brzdąkający szpej zostawiony na zewnątrz, byliśmy gotowi do prawdziwej alpejskiej akcji. W zasadzie „gotowi” to chyba najbardziej chybione słowo, bo byliśmy niewyspani i bardzo słabo zaaklimatyzowani, ale jak zawsze pełni zapału. Wspinanie dłużyło się w nieskończoność, a zmęczenie potęgowało się z każdym kolejnym pokonanym metrem. Nie będzie jednak odkryciem, jeśli powiem, że radość z przejścia pięknej drogi wynagrodziła nam z pewnością wszystkie trudy. To było wprost fenomenalne przeżycie, które na długo pozostanie w mojej pamięci.

Paweł:

U mnie na pewno pojawiło się uczucie ulgi. Ulgi, że moja rosnąca wykładniczo lista niezrealizowanych pomysłów zmniejszyła się o jedną pozycję. Kilka lat wcześniej solidna zamieć śnieżna przepędziła mnie jeszcze spod ściany. Zamieć, której według doskonałych lokalnych prognoz miało nie być, a która sprawiła, że kompletnie pogubiłem się na lodowcu i kiblowałem w malutkiej śnieżnej norze. Jak się później okazało wykopanej tuż obok budynku stacji kolejki.

Na szczęście tym razem wszystko poszło gładko. Dzięki temu kolejny dzień był jednym z tych fantastycznych dni w górach, kiedy to masz już satysfakcję, że coś zaoiłeś i z czystym sumieniem możesz jeszcze oddawać się nicnierobieniu. Jedzenie przeplatało się więc ze spaniem, spanie z opalaniem, opalanie z rozglądaniem, a rozglądanie z jedzeniem. Później pojawiło się też wypatrywanie, bo nasi przyjaciele wybrali się tego dnia na Blanca. Wrócili prawie zadowoleni. Niestety ich szczytowanie zostało całkowicie odarte z mistyki i romantyzmu gór przez człowieka koncertującego na rozstawionym na wierzchołku keyboardzie.

Magda:

Nasza przygoda z Alpami dobiegała końca. Następnego dnia mieliśmy zjechać do Chamonix, przespacerować się po miasteczku, ostatnie euro przepuścić na nieprzyzwoicie dobre lody z truskawkami, zapakować się do auta i ruszyć w drogę powrotną. Ostatnie spojrzenie na góry przed powrotem do domu przypomina mi trochę łyk powietrza przed zanurzeniem się pod wodę. Staram się napełnić swoją głowę każdym najdrobniejszym szczegółem widoków, które mnie otaczają, żeby mieć z czego czerpać energię po



Paweł i Magda? Fot.: Joanna Nowosadzka.

powrocie do codziennych zajęć. Później kiedy minie już trochę czasu od powrotu do rzeczywistości, można zamknąć oczy i obejrzyć niczym slajdy wszystkie te widoki, które tak łapczywie chwytałyśmy każdym spojrzeniem. W dniu naszego wyjazdu nad Chamonix chmury wisiały bardzo nisko, a spadające z nieba krople deszczu nasuwały na myśl stwierdzenie, że to może być nawet dobry dzień na pożegnanie z Alpami. Pogoda się popsowała, więc wspinanie nie wchodzi w grę, a wycieczki też nie byłby dobrym pomysłem, skoro wszystko jest we mgle. Niestety takie tłumaczenie nie pomogło, już mijając tablicę z nazwą Chamonix patrzyłam z tęsknotą przez szybę samochodu na mleko zasłaniające widoki, które jeszcze dwa tygodnie wcześniej powodowały, że nie mogłam z siebie wydusić słowa. Oczywiście teraz mogłabym się godzinami rozpyliwać nad tym, jak tam jest pięknie, ile tam czeka wyzwań, ile planów mnoży się w głowie. Tylko po co? To trzeba zobaczyć i poczuć samemu. Nie przesadzając z przesadnie nostalgiczno-patetycznym tonem dodam tylko, żeby przestrec kolejnych śmiałków, co to sobie wymyślą, żeby babę w góry zabrać. Strzeżcie się panowie, bo jeśli zabierzecie babę w góry i baba marudzić nie będzie, pecha wam nie przyniesie i co gorsza jeszcze się jej spodoba, to będziecie musieli pewnie znowu z babą w góry jechać. I tym razem żadne argumenty o górskich przesadach wam nie



LATO PEŁNE , SNIEGU



Tekst i zdjęcia: **Piotr Wolski**

Do Chamonix trafiliśmy z Robertem „Kajmanem” Nejmanem po kilkunastu latach nieobecności. Sporo się zmieniło – sławny kamping dla eastmenów Pierre d’Ortha porastają krzaki, „fajans” znów oznacza materiał, z którego robi się zastawę stołową, a nie sposób zdobywania jedzenia, a wspinacze z Polski jadają w restauracjach przy głównym deptaku miasteczka. Jedno zostało takie samo: frustrujące czekanie na pogodę i warunki.

„To nie jest dobry początek. To nie jest dobry początek...”, powtarzałem w myślach, czyszcząc gołymi rękoma kolejne chwyt i stopnie z grubej na dwadzieścia centymetrów warstwy śniegu i wydeptując miejsce na obute w miury stopy. Śnieg i lód nie byłyby niczym niezwykłym, gdyby chodziło o którąś z mikstowych lub lodowych dróg rejonu Mont Blanc. My jednak wspinaliśmy się na czysto skalnej, niezbyt trudnej, niemal kursowej Drodze Saluarda na Pointe Adolpho Rey.

Razem z Robertem już drugi tydzień czekaliśmy na pogodę, która pozwoliłaby dotknąć skały. Kilka dni wcześniej wiatr zgonił nas spod Aiguile du Midi, później strumienie wody spłykały z Aiguile Rouge. 25 lipca był pierwszym dniem słońca i pierwszą szansą na przerwanie złej passy. Niestety, poranne słońce okazało się zbyt słabe, aby oczyścić drogę ze śniegu i lodu, a cienka warstwa verglassu skutecznie uniemożliwiała wspinaczkę.

Determinacji wystarczyło mi na dwa wyciągi. Kiedy po wejściu w piątkową przewieszkę zacząłem ślizgać się na lodzie niczym rosyjski tanecznik, Kajman niewinnie zagaił: „To może jednak zjedziemy?”. Nie opierałem się, kwadrans później wściekli i rozżaleni byliśmy znów u stóp filara.

Sytuacja była absurda: słońce zalewało wszystkie zakamarki lodowcowego kotła, na niebie ani jednej chmurki, a nas oddzielała od skały milimetrowa warstwa lodu. Kiedy pakowałem plecak, usłyszałem za plecami metaliczny hałas – to Kajman dawał upust swojej frustracji, rzucając czekanie. Po chwili się uspokoił i rzucił krótkie „Już jest dobrze”.

W lodowcowym labiryncie.



Grań Peuterey i Wielki Filar Narożny Mont Blanc.

Różowy granit przyciągał jednak jak magnes. Po nocy spędzonej we włoskim schronisku Torino znów stanęliśmy pod ścianą. Nasza determinacja została nagrodzona: skała była sucha i wygrzana; przewieszka, od której dzień wcześniej odbilem się niczym piłeczka pingpongowa, dzisiaj nie sprawiła żadnego kłopotu.

Droga Saluarda okazała się piękną turą wiodącą połaciami litego i niezwykle fotogenicznego granitu, żebrzem liczącej 3536 metrów turni. Świetne tarcie, niezła asekuracja i ładowane przez tydzień „akumulatory” sprawiły, że wyciąg mijał za wyciągiem w równym tempie.

W dwóch trzecich drogi francuskie i włoskie zespoły, w których sąsiedztwie się wspinaliśmy, zaczęły zjeżdżać. Zagadka wyjaśniła się, kiedy dotarliśmy do siodelka, gdzie droga przewija się na północną stronę żebra. Wystarczył krok w „strefę cienia” i wygrzany granit zamieniał się w bijące chłodem śnieżno-lodowe stopnie. Zakładający zjazd dwaj Włosi zniechęcająco machali rękoma i powtarzali magiczne słowo „verglass”. Kajman spojrział na mnie pytająco.

– Idziemy?

Myśl o czwartym z rzędu wycofie dodała mi odwagi. Tym bardziej, że i tak prowadzenie wypadało na Kajmana.



Wspinanie w pomarańczowym granicie drogi Salluarda.



Po każdym słonecznym dniu na lodowcu pojawiały się nowe szczeliny.

- Jasne! Do samego piku! Bierz szpej...

Robert był co najmniej daleki od uznania tego fragmentu za najładniejszy odcinek drogi. Klnąc pod nosem, wytapiał spod śniegu kolejne chwyt.

Wyciąg wyżej droga wróciła jednak na jasną stronę świata, do wygrzanej, litej skały i po kolejnych paru długościach liny wreszcie skończyła się na ostrym jak brzytwa szczycie.

Jeszcze tylko kilka zjazdów, czołganie w miurach po lodowcu, do zostawionych kilkaset metrów dalej u wejścia w drogę ciężkich butów i raków, parę kilometrów marszu przez lodowiec i znów mogliśmy cieszyć się przytulnym wnętrzem położonego po włoskiej części masywu schroniska Torino.

Następnego dnia zrobiliśmy jeszcze krótką drogę Geant Branchee na strzelistej turni Dent du Geant i popędziliśmy w dół, do Chamonix, gdzie czekały zapasy jedzenia, lody pistacjowe i klubowi koledzy.

Okazało się, że nasi towarzysze podróży – Alek i Grzesiek – nie próżnowali. Ich celem stała się Directe Americane na zachodniej Dru: dwanaście godzin wspinania w rysach i zacięciach. Relacja Alka była jednak mało szczegółowa.

– Wszystkie wspomnienia złożyły się w jedną masę: ciągle albo rysa, albo zacięcie, ciągle zakładanie dülfera, wstawianie nóg przy bro-

Uśmiechnięty Kajman na stanowisku.



dzie i tak bez końca. Trudności są cały czas; jak trafia się wyciąg piątkowy, to wszystkie ruchy są za pięć. Na czterdziestometrowym „Dülfer atletico” znalazłem raptem dwa no-hand resty. – opowiadał Alek, zjadając kolejne jajko bez żółtka. Tego dnia chyba coś dołożył do swojego standardowego posiłku z dziesięciu jaj na twardo.

Relaksując się na ulicach Chamonix, natknęliśmy się na utykającego Marka „Hugo” Grądzkiego.

Gdy wraz z Kajmanem rozkręciliśmy się na kursowych klasykach masywu, on zaznał prawdziwej alpejskiej przygody na Filarze Frendo.

– Dwa dni czekaliśmy na Planie na pogodę – opowiadał Marek. – I wreszcie wbił się w drogę. Dół drogi to łatwy, skalny teren o trudnościach trójkowo-czwórkowych z pięknym wyciągiem w rysach za 5c. Pewnie można to przejść szybko, ale po dwóch dniach opadów mieliśmy fatalne warunki. Było ślisko...

– I skróciłeś nogę? – uzupełniamy.

– Nie, tam wszystko poszło dobrze. Zabiwakowaliśmy, i następnego dnia rano uderzyliśmy na górną, śnieżno-lodową część...

– To tam to zwichnięcie?

– Nie. Wszystko było ok. Na Aiguile du Midi byliśmy około trzeciej i wsiedliśmy do kolejki...

– To gdzie ta noga?

– Na schodkach w stacji przesiadkowej na Planie...

Dla Hugona to był koniec sezonu w Alpach. Na naszą czwórkę czekał jeszcze Grand Caucuin.

Jak na warunki alpejskie Wielki Mnich nie jest duży; jego ściany mają do 400 metrów. Ale potężne okapy wschodniej flanki budzą respekt, a dziwaczny kształt wierzchołka przyciąga wzrok niczym hipnotyzer.

My poczuliśmy zarówno przyciąganie, jak i respekt, dlatego wybraliśmy jedną z łatwiejszych na tej górze kombinację drogi szwajcarskiej i O sole mio za 6a. Tę samą, którą Alex Huber pokonał na żywca. W obie strony.

Kłopoty zaczynają się na samym dole.

Śmiały atak na płytowe trudności Geant Branchee. 

Szczelina brzeżna zmusza mnie do wejścia na przyklejony do ściany płat śniegu. Trawersuję, wstrzymując oddech i modląc się, żeby nie polecieć z całym majdanem w dół. Później jest lepiej – piękne rysy w pionowej litej skale prowadzą nas wyciąg za wyciągiem w kierunku szczytu. W pewnym momencie droga przewija się przez filar i nagle znajdujemy się w gładkiej pionowej ścianie bez półek, sięgającej do położonych dwieście metrów niżej piargów. Taka ekspozycja towarzyszy nam już do końca drogi.

Na najtrudniejszym wyciągu – kilkunastometrowej rysie – Kajman jęczy z bólu. Rysa okazuje się o numer za ciasna na jego stopy, ale mimo to puszcza nas dalej. Jeszcze tylko trudna ścianka, trochę łatwego terenu i wreszcie szczyt.

Jesteśmy w samym środku masywu – za plecami Mont Blanc du Tacul, po prawej Mont Maudit, dalej białe lodowce Mont Blanc. Na wprost w słońcu błyszczy się grań Peuterey. Takie same jak dziewiętnaście lat temu.



Moje biegowe przypadki



CZ. I Triumf ducha

Tekst: **Artur Paszczak**

Z tym bieganiem to ja od początku miałem pod górkę i od samego początku kładł się na nim złowrogi cień mojego babska...

Zaczęło się jednak od tego, że biegał mój górski partner – Krzysiek. Nie wydawało mi się to ani szczególnie atrakcyjne, ani potrzebne, bo (moim zdaniem) kondycja mi dopisywała i na podejściach Krzyskowi nie ustępowałem. W ogóle uchodziłem za takiego, co to szybko po górach chadza i trwałem w błogim przeświadczeniu, że jakby co, to i biegać bym dał radę – z maratonem włącznie. No i razu pewnego Krzysiek zaproponował mi wspólną przebieżkę. Pomyślałem, „czemu nie?” i ruszyliśmy w las. Krzysiek od razu narzucił – w mojej ówczesnej perspektywie – mordercze tempo. Po jakichś dziesięciu minutach zacząłem wysiadać. Po piętnastu miałem mgłę przed oczami i musiałem, połykając dumę, poprosić Krzyska o postój.

– To ty idź, ja będę biegał wahadłowo, nie mogę stracić treningu – oświadczył i faktycznie zaczął biegać tym wahadłem, podczas gdy ja usiłowałem zmusić się choćby do truchtu.

W końcu dotarliśmy do miejsca startu, gdzie wykończony, padłem pod drzewem, a Krzysiek zaczął ćwiczyć brzuszki.

– Słuchaj! – zawołał. – Złap mnie za nogi i trzymaj, a ja będę ciągnął w górę, to takie izometryczne ćwiczenie.

Niechętnie, ale podniosłem się i złapałem go za te jego nogi. Wtedy on naparł do góry tak gwałtownie, że nie zdążywszy ich puścić, przeleciałem efektywnym półsaltem ponad nim i wyrznięm japą w mech.

Po tym doświadczeniu zacząłem biegania unikać. Złe zacięra się jednak w pamięci, więc po kilku latach moje babsko, czyli żona, która w międzyczasie reaktywowała się jako orientalistka, wyciągnęła mnie do Kabat.

– Siedzisz tylko przy tym biurku i kapijesz – objaśniła mi.

No więc poszliśmy, i zrazu szło zupełnie dobrze. Jednak po kilkunastu minutach znów pojawiła się słabość. Zerkałem nerwowo na zegarek.

– Długo jeszcze?! – zapytałem, starając się nie dzyścić.



Wszystko to przez kolegę Krzyska i jego zamięłowanie do biegania. Fot. Sabina R.

– Połowa!

O żesz, by krew ją załapa! Miało być 5, może 7 kilosków, a tu półmetek? Jasna sprawa, chce mnie poniżyć, złamać – niedoczekanie babska jednego. Zaciśnąłem zęby i parłem.

Po kilku minutach pytam znowu, a ona, że przecież nic nie ubiegliśmy!

Jak to nic nie ubiegliśmy, do jasnej cholery? A to krętaczka jedna! Sprawa zaczynała wyglądać poważnie, bo strugi potu lały mi się na oczy, te z pleców spływały wiadomo gdzie i obcierało. Nagle skřęciliśmy w jakąś przecinkę.

– O nie, kochanieńka! – wybuchnąłem. – Nie ze mną te numery! Co to za przedłużanie trasy! Chcesz mnie wykończyć? Popisujesz się, co?

Spojrzała na mnie jak na wariata.

– Nic nie przedłużam, tak się biegnie. To jest pęta 7 kilometrów.

Nieźle strugała Greka. Ale nas, facetów, na to się nie nabierze. Już my wiemy, jakie baby są fałszywe. Z zaciśniętymi szczękami dobiegłem do końca. Babsko rzekomo trasę skróciło. Nie dałem się na to oczywiście nabrać, niemniej cała ta afera wywołała we mnie pewien wstrząs o charakterze dysonansu poznawczego.

Jak wiemy z psychologii, dysonans poznawczy jest to rozdzźwięk pomiędzy wyobrażeniem na swój (w tym przypadku) temat

Niestety, jej to się naprawdę podoba...

Fot.: www.fotomaraton.pl.

a rzeczywistością. W ramach redukcji dysonansu postanowiłem więc rozdzwięk ten zlikwidować, ergo, zacząłem biegać. Oczywiście babsko usiłowało wtrącić przy tej okazji swoje trzy grosze i pouczać. No jasne, który z facetów tego nie zna. Przecież one uwielbiają nas pouczać. Ale ja dałem jej skuteczny odpór. Przez następne jakieś osiem lat biegałem tak, jak uważałem za stosowne. Czyli 7 km – raz, czasem dwa razy w tygodniu. Efekty nie dały na siebie czekać – wyniki zaczęły się poprawiać, aż w końcu, chyba po sześciu latach, doszedłem do 29.30. Ha! Babsko nawet smrodu by za mną nie powąchało, z tym że i tak nie wachało (pomijając, że generalnie ładnie pachnę i mało się pocę), bo biegało te swoje dziesiątki. Po kilku latach i ja pobiegłem jedną czy drugą dychę, ale mówiąc szczerze – za bardzo mi to nie pasowało. Zresztą, podstawowa zasada sportowca mówi: wsłuchaj się we własny organizm, a ten mówił mi – daj sobie spokój z dychami, skoro ci męczą – biegaj siódemki, jak ci pasuje.

W 2002 roku złapałem kontuzję kolana – kolega wspinał w czasie meczu w piłkę kopaną wpadł na mnie całym swym szanownym rozpędem, wybijając centymetrową dziurę w zakończeniu kości udowej i zrywając więzadło krzyżowe. Rehabilitacja trochę potrwała, ale jakoś do formy wróciłem. Dalej biegałem swoje siódemki i śrubowałem prywatne rekordy. I pewnie dalej by tak było, gdyby nie Ekiden. Było to tak że trzy-cztery lata temu, namówił mnie znowu Krzysiek. Pobiegłem w drużynie Vision Express, ale poszło mi dużo poniżej oczekiwań – 45 min. W zasadzie sprawa byłaby niewarta wzmianki gdyby nie to, że po biegu wieczorem zostaliśmy zaproszeni do knajpy. Szef firmy,



sam biegacz, wręczył nam wówczas książkę jakiegoś faceta o nazwisku wskazującym na związki ze Skarżyskiem (w każdym razie w życiu o nim nie słyszałem) poświęcone – co za zaskoczenie – bieganiu. Że niby „biegiem przez życie”, czy coś tam.

Oczywiście po powrocie do domu palnąłem ją w kąt, bo swoje wiem i nie będę się rozpraszał na czyjeś wypociny, ale – oczywiście – babsko dorwało książkę w swoje łapska i dalej czytać. Nie uwierzycie – co wieczór zawzięcie studiowała ją w łóżku. Życie małżeńskie zamarło jak Zamarło Turnia, za to pojawiły się w naszym języku domowym jakieś nowo brzmiące zwroty: tempówki, wybiegania, interwały i takie tam dyrdymały, za pomocą których z prostej czynności, jaką jest bieganie, usiłuje się zrobić naukę. Wszyscy wiedzą, że do biegania nie trzeba nawet umieć czytać, na co dobitnie wskazują historyczne przykłady biegaczy z pewnych krajów położonych na południe od Europy. Babsko jednak zaczytywało się pasjami i rozpoczęło nawet jakieś pomiary medyczne. Wreszcie, pod pozorem zrobienia mi prezentu na gwiazdkę, kupiła sobie pulsometr Casio, po czym zaraz mi go zabrała i oczywiście wkrótce zepsuła. Ten drobny fakt wywarł jednak zasadniczy wpływ na moje bieganie, ponieważ generalnie jestem gadzieciarzem i cały ten pulsometr bardzo przypadł mi do gustu. W rezultacie, kupiwszy sobie nowy, zerknąłem raz czy drugi do książki tego gościa ze Skarżyska i nie powiem, nawet mnie coś tam zainteresowało. Wtedy babsko ponownie przypuściło szturm, że niby biegam bez sensu, bo nie mam pojęcia. Ona niby z takim pojęciem, a na siódemce to wiadomo jak się rzeczy miały. W każdym razie, żeby już nie słuchać babskiego jazgotu, zacząłem biegać te dychy. No i przyswoilem sobie termin BNP, choć w moim wykonaniu często było to BMP, czyli „bieg z malejącą prędkością”, ponieważ mam zwyczaj ostro zaczynać...

Potem zacząłem te tempówki i interwały i już wkrótce okazało się, że mam w sobie jednak pewien potencjał, bo zacząłem regularnie poprawiać swoje stare rekordy. W Kabatach



Finisz na Ekidenie. Fot. Sabina R.

zrobiłem 42.20, co zachęciło mnie do dalszego treningu. Zajrzałem ponownie do książki i zacząłem trenować z głową, pomimo bezustannego wtrącania się mojego babska. Czasem, dla świętego spokoju, coś tam robiłem jak chciała – bo by mnie zamęczyła. W kolejnym sezonie triumfowałem – najpierw na crossowej pętli osiągnąłem 42.05, a potem 41.20! Wreszcie, na ukoronowanie mojego wysiłku treningowego, w lipcu tego roku pobiegłem bieg nad biegami – 40.45. Jak dobiegałem do mety, trochę może podcharczając, to sąsiadka aż wybiegła za mną na drogę.



– Rany boskie! – zawołała. – Myślałam, że coś się panu stało!

Oto do czego prowadzi przemyślanie i dobrze zaplanowany trening – mogłem sobie powiedzieć. Miałem prawo być zadowolony – moje profesjonalne podejście, odpowiednia dieta i dobrze dobrana literatura jasno udowodniły, że bieganie z planem zdecydowanie przewyższa bezmyślne wykręcanie kilometrów. Każdy rasowy biegacz to wie!

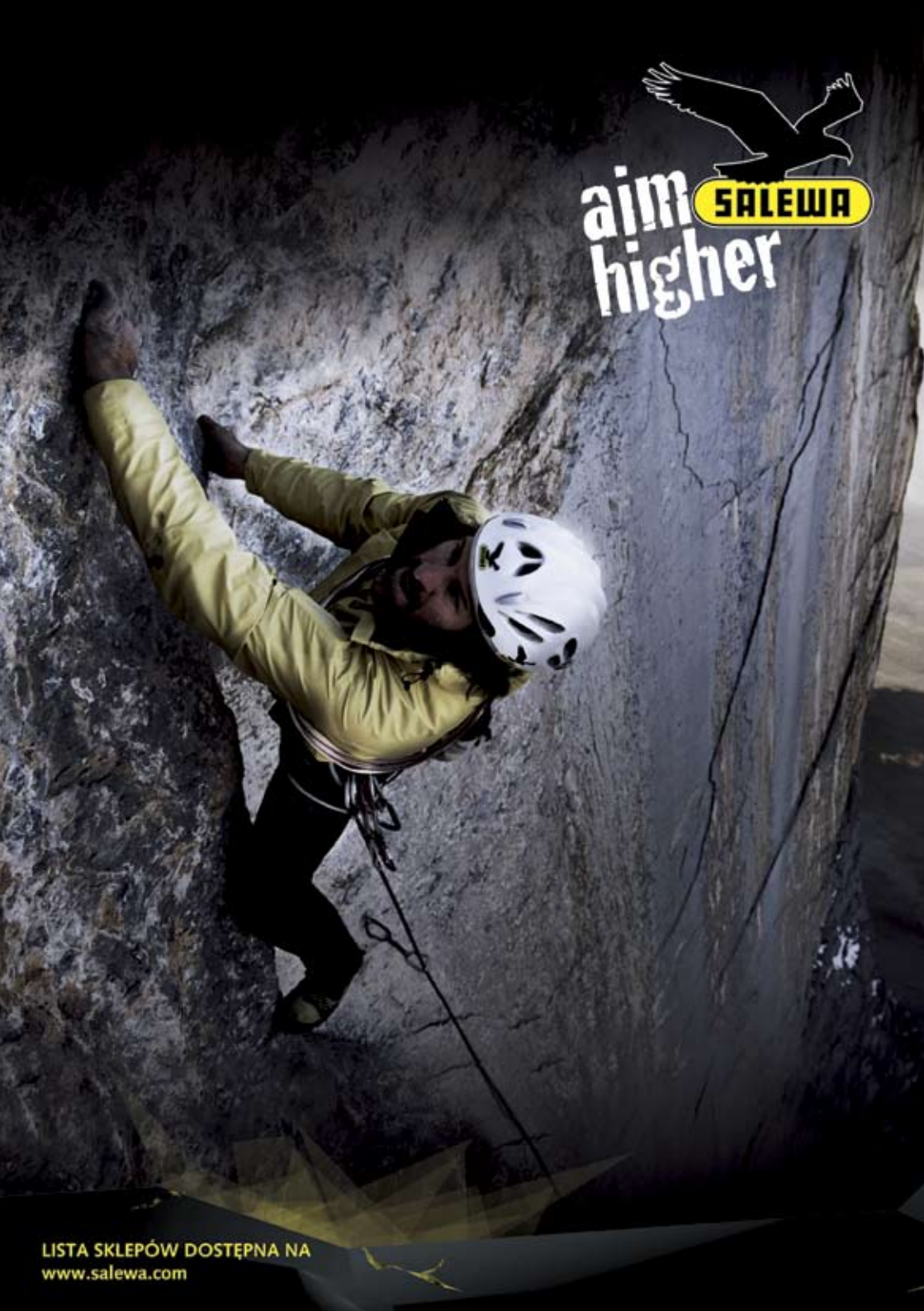
Wszystko byłoby więc pięknie i fajnie gdyby nie to, że w 2008 roku babsko pobiegło maraton i zrobiło 3.37. No, powiedzmy, że może być jak na pierwszy raz i jak na babę, rzecz jasna. Ja też miałem biec, ale się rozchorowałem, co stało się przyczynkiem do mało wybrednych i niezbyt inteligentnych dowcipów, jakie rozpowszechniał na mój temat niejaki Starosta na forum Klubu Wysokogórskiego. Narastała nieprzyjemna presja. W istocie bowiem, o ile na koronnym dystansie 10 km babsko... no, zresztą wiecie co – o tyle na dłuższych dystansach sytuacja się komplikowała. Babsko dysponowało bowiem jakąś niezrozumiałą dla mnie odpornością na długotrwały wysiłek, która w moim przypadku nie była mocną stroną. W rezultacie, gdy pobiegłem raz jeden 20 km, nie skończyło się to dla mnie najlepiej

– osiągnąłem wynik zaledwie o 1.30 min szybciej od Ali (znaczy babska). Czulem więc, że z tym maratonem wpuszczany jestem w ordynarny kanał, że znając moją piętę achillesową babsko szykuje sobie zemstę i moje poniżenie. Nie było jednak wyboru – presja środowiska i co gorsza rodziny rosła. Pętla pułapki zaciskała się coraz ciaśniej, aż wreszcie nie miałem wyjścia – ogłosiłem, że biegnę.

Cały sierpień spędziłem w górach. Pogoda była piękna, wspinaliśmy się sporo. Siłą rzeczy na bieganie czasu nie było, parę razy przeleciałem tylko swoją pętelkę „dzianiszową” i dwa razy, w ramach robienia siły, wbiegłem na Kasprowy. Urwałem nawet 5 s ze swojego rekordu (55.40). Kilka dni po powrocie do domu trzasnąłem jednak życiówkę na crossovej dyszce – 40.21. Było dobrze! Pozostało jeszcze przebiec coś na wybieganie i hajda. I tu nastąpił moment poważnej wątpliwości. Mianowicie po przebiegnięciu 20 km chwyciły mnie straszne bóleści stawów i ścięgien. Po 24 km ledwo się dowlokłem do domu.

Rany boskie – myślałem sobie – jak w takim stanie przebiec jeszcze 18 km? Niewykonalne! Babsko miało oczywiście swoją teorię, że niby za szybko biegłem. A niby jak miałem biec? Wkurzyła mnie tylko. W każdym razie wizja maratonu zaczęła się jawić w dużo mniej różowych barwach. Dwa dni potem babsko przymusiło mnie do pójścia do Kabat na dwie dyszki. Zaczęliśmy wolno, potem trzymaliśmy cały czas 5 min/km. Biegło mi się zrazu ciężko, ale potem zacząłem czuć moc. Dość powiedzieć, że dwa ostatnie kilometry przebiegłem jak huragan w tempie 3.40. Oto dobitny dowód na to, że nie ma się co zniechęcać i panikować, tylko trzeba stosować się do zasad i realizować plan. Każdy wie, że fizjologia sportu jest jedną z najlepiej naukowo opracowanych dziedzin medycyny, wystarczy więc sięgnąć do sprawdzonych wzorców i nie wymyślać niepotrzebnie koła. I tak właśnie, jako człowiek światły i rozsądny, postąpiłem, a teraz po prostu zbierałem tego owoce. Krótko mówiąc – czulem się przygotowany.

Cdn.

A man with a beard, wearing a yellow climbing jacket, black pants, and a white helmet, is climbing a dark, textured rock face. He is positioned diagonally across the frame, with his left leg extended upwards and his right leg bent. A rope is visible hanging from his harness. The background is a dark, vertical rock wall with some horizontal cracks.

aim
higher

SALEWA

LISTA SKLEPÓW DOSTĘPNA NA
www.salewa.com

Tekst: **Przemek "Przemski" Falczyński**

TROPAMI

Narciarski trawers Alp Ötztalskich na granicy Tyrolu Północnego i Południowego zaplanowaliśmy z kumplami jako zwieńczenie solidnie przeturowanej w Tatrach (i jak śnieżnej!) zimy 2008/2009. Ruszając po przygodę w męskim, czteroosobowym zespole, nie spodziewaliśmy się jednak, że czeka nas aż taka wyrupa. W ciągu tygodnia przeszliśmy na nartach 110 km w terenie wysokogórskim i pokonaliśmy 9000 metrów podejść.



ÖTZIEGO

Planowanie tury rozpoczęliśmy od popularnego przewodnika Billa O'Connora. Na miejscu zmienialiśmy jednak trasę i udało nam się wyznaczyć ciekawszy – moim zdaniem – od „klasyka” wariant trawersu Alp Ötztaleskich. Turę określiłbym jako „raczej trudną”, a przejście wymaga sporego doświadczenia skitowego i dobrej kondycji.

Chcąc uniknąć tłumów na tyrolskich lodowcach, a jednocześnie wstrzelić się w przyzwoitą, wiosenną pogodę, wędrowkę zaplanowaliśmy w okresie poświątecznym. Wieczorem, w wielkanocną niedzielę 12 kwietnia 2009, wpakowaliśmy się w samochód, i po przejechaniu pustymi drogami 1300 km, w śmigusowo-dyngusowy poranek dotarliśmy do Längenfeld – miejscowości doskonale znanej wszystkim, którzy jeżdżą na „normalne” narty do Sölden. Samochód zostawiliśmy na parkingu pod bankiem, przy głównej drodze przez miasteczko (zero opłat, zero stresu). Po zjedzeniu resztek keksa ze świątecznej wałówki, wsiedliśmy do skibusu, który zawiózł nas do Obergurgl (bez opłat, nikt nie pytał o skipas).

Dzień 1: Podejściówka

Dystans: 6,2 km, podejścia: 620 m, zjazdy: 100 m, wysokość: 1900-2400 m

Naszą alpejską wędrowkę narciarską rozpoczynamy w Obergurgl (1909 m) od sznapsa „za pogodę”. Kleimy foki i ruszamy wyratowaną trasą do Schönwies Hütte (2266 m). Po wypiciu na zalanym słońcem tarasie kufelka pszenicznego piwa, kierujemy się do Langtalereck Hütte (2430 m). Nocujemy w tzw. łagrze – pokodem, jeden obok drugiego. Na szczęście nie ma tłumów, więc każdy ma do dyspozycji jakiś metr szerokości wspólnej pryczy. Dla chętnych trzminutowy ciepły prysznic za 3E.

Dzień 2: Rozgrzewka

Dystans: 18,1 km, podejścia: 1640 m, zjazdy: 1630 m, wysokość: 2200-3500 m

Po mroźnej nocy opuszczamy „na lekko” (wrócimy tu wieczorem, więc zostawiamy część betów) Langtalereck Hütte (2430 m) i kierujemy się na południe „długą doliną”, a następnie lodowcem Langtalerferner. Teren cały pocięty jest narciarskimi śladami – widać, że w Wielkanoc przewaliły się tu tłumy, ale my rozkoszujemy się ciszą i spokojem. Po niezliczonej ilości zakosów (wszystko tu dwa razy większe/dłuższe/wyższe niż w Tatrach) wychodzimy na przełęcz pomiędzy Annakoglem a Hochwilde (3290 m). Skracamy granią w lewo (SE) i podchodzimy na nartach jeszcze około 100 m w kierunku piku, aby pod skałkami, na wysokości 3400 m, zrobić skidepo, a następnie czymś w rodzaju Orlej Perci wyjść na północny wierzchołek Hochwilde (3461 m).

Wracamy wspinałym zjazdem na drugą stronę przełęczy i lodowiec Gurgler, w odpowiednim momencie skręcając w prawo (N) przez przesmyk pomiędzy Annakoglem a Mitterkammem, tak by dotrzeć do winteraumu Fidelitas Hütte. Podziwiamy stąd bardzo narciarskie stoki Annakogla i trochę żalujemy, że nie zrobiliśmy tego piku, a teraz jesteśmy już zbyt nisko, by chciało się wracać.

Dalej nasza droga prowadzi niesamowitym kanionem u stóp lodowca Gurgler – nie chciałbym znaleźć się wewnątrz, gdy z północnych ścian syją się do środka mini-lawinki i kamienie. Gdy jednak my pokonujemy szeroki miejscami na zaledwie kilka metrów kanion, wszystko

już poschodziło i zalega pod nogami utrudniając jazdę – kilkakrotnie musimy odpinać narty. Gdy wreszcie lądujemy na dole przy strumieniu, okazuje się, że czeka nas jeszcze 200-metrowe podejście do Langtalereck Hütte (2430 m). Kilka przekleństw i w drogę...

Dzień 3: Szren & Co.

Dystans: 15,1 km, podejścia: 1500 m, zjazdy: 1420 m, wysokość: 2200–3500 m

Z Langtalereck Hütte (2430 m) zjeżdżamy w kierunku kanionu bardzo zmrożoną drogą wczorajszego podejścia. Metodą na huzara, czyli z nartami przytroczone do plecaka, pokonujemy kanion wyprowadzający nas na lodowiec Gurgler. Podchodzimy trzymając się cały czas jego prawej strony, a następnie wspinamy mozolnie lodowcem Kleinleitenferner na przełęcz Schalfkogeljoch (3375 m). Tu zostawiamy graty i na lekko ruszamy na szczyt Schalfkogla (3540 m). Z pikę podziwiamy ślady wspaniałego i stromego zjazdu wprost na Gurgler (a więc i tak można...), a także najpiękniejszy widok tej tury:

wylaniające się z morza lodowca skalne cielsko Mitterkamm.

Wracamy na przełęcz Schalfkogeljoch (3375 m), o której Kuba Radliński w swojej relacji pisał: „Pomimo że sam początek wygląda zachęcająco, to niżej stok gwałtownie się przelamuje i zamienia w skaliste urwisko”. Troczymy więc huzara, ale jest zbyt stromo, by schodzić przodem – tyły nart haczą o stok, a z kolei złączenie tyłem to niezłe kopanie się w śniegu. W naszych warunkach (dużo śniegu) najlepiej było jednak po prostu zjeżdżać, pokonując ewentualnie najbardziej stromy fragment metodą „spadającego liścia”. Albo rzeczywiście załatwić sprawę szybko z asekuracją. Mozolne schodzenie i przemarznięcie w cieniu podcięło siły, a niżej niestety nie było łatwiej – lodowiec Nördlicher Schalfferner przywitał nas taką szrenią, że niech ją jasny szlag... A w jego dolnej części z kruchych zboczy poschodziło mnóstwo skałek i kamieni, które wymuszały jazdę karkołomnym slalomem.

Na deser, po osiągnięciu doliny Niedertal, trzeba jeszcze poświęcić 30–40 minut na podejście do schroniska Martin Busch Hütte (2501 m). Umieszczenie schronu jest wyjątkowo perfidne: najpierw zza pagórka wylania się jego komin, dach, okna, a gdy wreszcie dosłownie na wyciągnięcie ręki widać taras, ze skrzącymi w słońcu kuflami piwa to... jeszcze dwa kroki i okazuje się, że od schronu dzieli nas głęboki jar – trzeba popłynąć w górę doliny do mostku.

Dzień 4: Mgłę widzę

Dystans: 12,9 km, podejścia: 1030 m, zjazdy: 690 m, wysokość: 2500–3300 m

W Martin Busch Hütte, dzięki poznaniu Stephan, austriackiego przewodnika IVBV, modyfikujemy plan tury: pierwotnie planowaliśmy pójść za O'Connorem bezpośrednio do schronu Hochjochhospitz, ale ten wariant to odcięcie całego wielkiego obszaru Alp Ötztalskich. Za radą Stephan kierujemy się do włoskiego schronu Bellavista, który otwiera nam logiczną drogę na Weisskugel. Ale po kolei...

Z Martin Busch Hütte (2501 m) ruszamy w górę doliny Niedertal, lecz z powodu totalnie zdupionej pogody odpuszczamy sobie planowe wejście na Similaun (3606 m) obiecując jednocześnie, że jeszcze kiedyś tu wrócimy. Kierujemy

Schroniskowe zwyczaje

- w niektórych schroniskach jest pościel, ale dobrze mieć swój kokon do spania – jedwabna mumia waży około 100 g
- należy zarezerwować noclegi, a także zabrać ze sobą telefony do schronów, by ewentualnie przełożyć rezerwację
- cena HB (nocleg, śniadanie, kolacja) dla posiadaczy kart OEAV lub DAV wynosi około 35€ (tylko Bellavista 55€). Porcje są wystarczające. Piwo kosztuje 4-4,5€. Po przybyciu do schroniska otrzymujemy kartę, na której zapisywane są wszystkie wydatki – płaci się raz, przed opuszczeniem schroniska
- rano można za darmo napełnić termos tzw. marschtee (rozpuszczony herbaciany granulat lub zwyczajna woda z sokiem)
- w schroniskach są kapcie, ale chyba lepiej mieć swoje
- śniadania podawane są od 6 rano, na turę należy wychodzić nie później niż o 7 rano



Życie skiturowca nie jest usłane różami i w 90% składa się z chodzenia pod górkę. Fot.: Bartkowicz.

się prosto do Similaun Hütte na przełęczy Niederjoch (3016 m). Przy piwie dowiadujemy się, że przechodzi front i prognozy są bardzo złe przy najmniej na dwa dni. W totalnej mgle ruszamy w poszukiwaniu kopca upamiętniającego znalezienie Ötziego – legendarnego człowieka lodu (warto zerknąć do Wikipedii). Znajdujemy go (tzn. kopiec) wyłącznie przy pomocy GPS-a, bez którego w tym pogodowym syfie moglibyśmy jedynie wrócić na piwo – o ile byśmy trafili. Kawalek dalej, po osiągnięciu czegoś, co wydawało się granią popełniamy szkolny błąd i zjeżdżamy na niewłaściwą stronę (rozgrzesza nas klasyk, który pisał: „mgła ogałaca narciarza z wszelkiej broni, odbiera mu wzrok, poczucie stromizny, możliwość orientacji, wywołując na dobitkę ciężką depresję psychiczną. W mgle chodzi się godzinami w kółko, jak chore małpy w klatce” Opp 19 w.17-20). GPS szybko jednak nas koryguje i po osiągnięciu prawdziwej przełęczy Hauslabjoch (3279 m) zjeżdżamy przez zasypyany śniegiem lodowiec Hochjochferner. Początkowo jest dość płasko, co dodatkowo utrudnia zjazd, gdyż przy widoczności na 5–10 metrów nie bardzo wiadomo, w którą stronę spada teren. Nawigujemy się wyłącznie na GPS-a, ale track OEAV wyprowadza nas w miejsce, które nie sprawia w tych warunkach wrażeń

bezpiecznego. Na szczęście na tej wysokości zaczyna już coś widać, więc szukamy własnej drogi zejścia w dolinę. Czujnie przekraczamy stok, który wydaje się nam zarówno lawinowy, jak i szczelinowy. Po osiągnięciu dna doliny kierujemy się w lewo (SW) na przełęcz Hochjoch do włoskiego schronu Bellavista (2842m) położonego na terenach narciarskich Kurzras.

Bellavista okazuje się najbardziej wyposażonym schroniskiem na trasie naszej wędrowki. Panuje tu typowo włoski luz, kolacja pachnie parmezanem, z kranów leci dowolna ilość ciepłej wody (pranie!), a za pisuar służy... ech, sami musicie to zobaczyć! Bierzemy saunę, a potem kąpiel w bani na zewnątrz schronu z gołymi Niemkami w wieku balzakowskim. A wszystkie te atrakcje kosztują jedynie 20E więcej niż w schronach po austriackiej stronie granicy.



Dzień 5: Nafukało

Dystans: 20,3 km, podejścia: 1440 m, zjazdy: 1940 m, wysokość: 2300–3700 m

Sypało całą noc. Z Bellavisty (2842 m) idziemy najpierw na północ wytraktowaną trasą,

Przystawka w Bellavista. Mała rzecz, a cieszy. Fot.:Eckert. 🍷

a potem na wysokości 3100 m odbijamy w lewo (W) i trawersujemy zbocza, osiągając przełęcz pomiędzy Im hintern Eis oraz Egg (3163 m). Stąd, w boskim puchu, zjeżdżamy na lodowiec Hintereisferner witający nas chwilowym słońcem i założonym przez zespół Francuzów w kopnym śniegu śladem, którym podchodzimy sprawnie na przełęcz Hintereisjoch (3469 m).

Niestety pogoda kompletnie siada i Francuzi rezygnują z Weisskogla. Robiąc wycof krzyczą do nas przez wiatr i mgłę: „steep”. „No nie, tak bez jednego strzału to mogą oddawać Niemcom Paryż”, myślimy sobie i po chwili historycznej refleksji uruchamiamy pokłady ulańskiej fantazji, by na huzara, w totalnej mgłę, zaatakować stromą ściankę, a następnie na macanego próbować utrzymać się w grani prowadzącej na szczyt Weisskogla (3739 m). Dochodzimy tak wysoko, jak da się dojść na nartach, ale na wysokości 3719 m wywieszamy białą flagę, odpuszczając sobie część skałkową. Wracamy drogą podejścia na przełęcz, a następnie lodowcem Hintereisferner zaliczamy najdłuższy na turze, 10-kilometrowy (tak długi, że w pewnym momencie aż nudny...) zjazd do Hochjochospiz Hütte (2412 m). Na deser czeka nas tradycyjnie strome i długie podejście do tego niewielkiego, kameralnego schronu.

Dzień 6: Lajty

Dystans: 11,2 km, podejścia: 1260 m, zjazdy: 910 m, wysokość: 2400–3500 m

Wreszcie się wypogadza. Krótka trasa i pełne słońce pozbawiają nas czujności. Opuszczając Hochjochospiz Hütte (2412 m) wierzymy założonemu śladowi i idąc jak po szynach za bardzo zapuszczamy się w kierunku Guslar Spitze. W porę się jednak orientujemy i wracamy na właściwą drogę, czyli do stóp lodowca Kesselwandferner. W pełnym słońcu zakładamy w głębokim śniegu pierwsze ślady, zmierzając na łatwodostępną przełęcz Oberes Guslarjoch (3361 m). Tu zostawiamy bety i na lekko wchodzimy na bardzo narciarski Fluchtkogel (3500 m).

Na marginesie: po raz pierwszy na tej turze widzimy człowieka poruszającego się na nogach, a nie na nartach. Wydaje się, że wszyscy tu rozumieją, że narty są najlogiczniejszym sposobem przemieszczania się zimą po górach. Prawie też nie spotyka się wiązań Fritschi czy Naxo – 95% sprzętu w nar-

ciarniach mijanych schronisk wyposażonych jest w rozwiązania Dynafita. Ale do rzeczy...

Po obejrzeniu ze szczytu Fluchtkogla imponującej panoramy Alp Ötztalskich, czeka nas wspaniały zjazd najpierw na przełęcz, a następnie lodowcem Guslarferner do ogromnego i bardzo zatłoczonego schroniska Vernagt Hütte (2755 m) – pierwszego, do którego dojeżdża się na nartach pod same drzewa. Jest sobotni wieczór i schron pęka w szwach. Nikt nie przestrzega tu ciszy nocnej.

Dzień 7: Dożynki

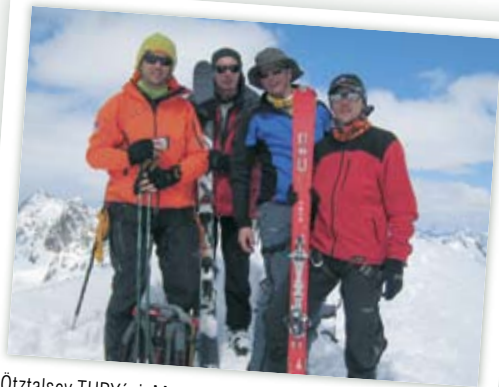
Dystans: 26,6 km, podejścia: 1570 m, zjazdy: 2940 m, wysokość: 1400–3800 m

Z samego rana ruszamy w tłumie skiturowców z Vernagt Hütte (2755 m) lodowcem Kleiner Vernagtferner na stromą przełęcz Brochkogeljoch (3423 m). Końcówkę wejścia robimy na huzara, a ja przy okazji dowiaduję się, co warte są ultralekkie raki Campa XLC390 – przedni ząb wygina się do góry, gdy pod śniegiem trafia na kamień.

Za przełęczą spotykamy kolejny, płynący od strony Pitztal strumień ludzi zmierzających na najwyższy szczyt Tyrolu – WildSpitze. Pogoda

Warto

- przeczytaj opis tury Billa O'Connora (Alpine ski mountaineering: Central and Eastern Alps) i relację Kuby Radlińskiego (www.wyrypy.net)
- przygotuj tracki na turę z wydawnictwa OEAV „Alpenvereinskarten Digital” i internetu (np. www.gps-tracks.com)
- tury nie lubią tłumów, optymalny wydaje się zespół czteroosobowy (dwie liny po 30 m)
- załóż dłuższy przynajmniej o dwa dni czas akcji górskiej na wypadek, gdyby pogoda przytrzymała Cię w schronisku
- poznaj historię śniegu: przynajmniej na trzy tygodnie przed dotarciem na miejsce notuj ilość opadów, temperatury, kierunek wiatru i nasłonecznienie
- przygotuj widoki tury (kluczowe podejścia i zjazdy, szczeliny lodowców) w oparciu o GoogleEarth – przydadzą się, gdy będziesz szedł we mgle



Ötztalscy TURYści: Marcin Eckert (KWW), Rafał Bartkiewicz, Grzesiek Kaszczyński (KWW) i Przemek Falczyński (KWW).

zaczyna się poważnie paskudzić, więc ludziska idą gęsiego, jedynym założonym śladem. Nie chcąc być częścią tej masówki, obieramy mniej znaną drogę prowadzącą przez grań opadającą z północnego wierzchołka Dzikiego Szczytu. W kotle pod pikiem odbijamy w lewo (N) i po stromym (na huzara) podejściu na grań robimy skidepo, a dalej z buta, już w totalnym mleku zdobywamy najpierw północny, a potem główny, wierzchołek WildSpitze (3770 m) – drugi pod względem wysokości pik Austrii.

Teraz moglibyśmy wybrać tradycyjną drogę, czyli marsz przez Mittelbergjoch, ale postanawiamy wytyczyć trochę bardziej ambitny wariant, tak by szerokim łukiem ominąć tereny narciarskie Pitztal. Zjeżdżamy na północną stronę grani, ale czyha tam na nas szczelina – kolega ładuje głowę w dół stoku z jedną nogą zapadniętą w dziurę i nie bardzo wiadomo, jak duże jest to coś pod nim. Z kłopotów wychodzi sam asekurowany z szybko założonego stanowiska, ale w dalszą drogę ruszamy trochę psychicznie pokiereszowani i... grzecznie związani linami.

Kierujemy się na wschód na przełęczkę bez nazwy (UTM WGS84: 32 T 642898 5194729, 3533 m), z której długim, stromym i pachnącym lawiną zjazdem udaje się nam przedostać na południową odnogę lodowca Mittelbergferner. Wspaniały, długi zjazd pomiędzy Rechterfernerkogłem, a Linkerfernerkogłem doprowadza nas w okolice

dolnej stacji gondolek Pitztal – gdy tylko widzimy je po lewej stronie, odbijamy w prawo (NE) na lodowiec Karlesferner. Od celu naszej wędrówki – Sölden – dzieli nas już tylko jedna przełęcz, ale sprawy zaczynają przybierać kiepski obrót – czujemy w nogach te siedem dni marszu. Na dodatek jest późno: to osma godzina tury, a mieliśmy może dwa piętnastominutowe odpoczynki, przygodę ze szczeliną i wyczerpujący psychicznie, zagrożony zjazd. A pogoda nie rozpieszcza.

Gdy stajemy w kotle, z którego powinniśmy wchodzić na przełęcz Rettenbachjoch (29885 m), tak naprawdę nie bardzo wiemy, gdzie ona jest. Tracimy mnóstwo czasu na kilkukrotne sprawdzanie mapy, GPS-a i ciągłe konsultacje, aż wreszcie zaczynamy wspinać się prawą stroną kotła w kierunku widocznego przez mgłę zlebu, który wydaje się wyprowadzić nas na grań. I wtedy, kompletnie nieoczekiwanie, pojawia się lokals, intensywnymi nawołańciami zawracający nas na właściwą drogę. Sądząc po tonie jego głosu, musieliśmy wybrać naprawdę durną strategię. Przenosimy się na lewą stronę kotła i śladem naszego anioła stróża stromo, początkowo na nartach, a potem na huzara, osiągamy przełęcz. Wykończeni wchodzimy do otwartego i ogrzewanego pawilonu obsługi gondoli Sölden – na stole leżą fajki, a w tablicy rozdzielczej zostawiono wszystkie klucze. Propozycję, żeby uruchomić wyciągi i trochę sobie pojeździć na nartach, traktujemy jak ponury żart.

W totalnej mgłę, ale za to wyratrakowanymi trasami zjeżdżamy lodowcem Rettenbachferner. Do Sölden (1385 m) docieramy o ósmej wieczorem, po 13 godzinach tury. Spóźniliśmy się na ostatniego skibusu, więc taksówką za 20E przenosimy się do Längenfeld. Czeka na nas samochód, umówiony nocleg (25E), duża pizza i pachnące świeżością, cywilne ciuchy.

Autor prowadzi serwis www.skitury.net, w którym znajdziecie więcej informacji o turze ötztalskiej – tracki, profile tras, filmy i zdjęcia topo, przydatne linki.

Udział autora w wyprawie wspierała sieć sklepów turystycznych HORYZONT.

SKLEPY TURYSTYCZNE
horyzont
www.e-horyzont.pl



CA 71°N

Wyprawa skiturowa,
Norwegia Północna, maj 2009

Tekst: **Paulina Lis**

Wyjazd okazał się mieć bardziej charakter rozpoznawczy, niestety niewiele szczytów udało nam się zdobyć. Poznaliśmy jednak smak niesamowitej przygody, jazdy na nartach poprzez nieoznakowane, rzadko uczęszczane, niezamieszkane góry, fantastyczne krajobrazy, zjazd do samego morza...

W poszukiwaniu dobrych warunków zawędrowaliśmy na małą, niezamieszkałą (za to całą pokrytą górami) wyspę Kagen na północ od Tromsø. Rozbiliśmy się na jej północno-wschodnim krańcu, w miejscu poleconym nam przez lokalsów. Wszystko jakby na nas czekało – parking, kamienne moło, palenisko z ławeczkami, w dodatku supermarket – 10 min drogi samochodem na sąsiedniej wyspie Skiervoya... Namioty rozbiliśmy nad samym brzegiem morza, stamtąd, prosto z namiotów zaczynały się trasy naszych tur (jak się później okazało góry nazywały się Breidkagen – 683 m oraz Store Kagtind – 1228 m). Nie mieliśmy jednak mapy tego rejonu, ponieważ nie planowaliśmy tu przyjeżdżać. Eksploracja była dla nas przygodą, byliśmy oczarowani.

📷 Tomek Wójcik na drodze w kierunku Store Kagtind.
Fot.: Paulina Lis.

Zawi, Tadek, Letach, Paulina oraz druga ekipa, która przyjechała do nas swoim wyprawowym vanem na ten „koniec świata”, Marek, Tomek, Krzysiek i Alek. Spotkaliśmy się w deszczowy wieczór właśnie na parkingu na wysepce, następnego dnia była lampa, błękitne niebo i morze, i tak już zostało do końca naszego wyjazdu.

INFORMACJE NORWEGIA PÓŁNOCNA

Główne rejony skiturowe

Rejony, w których byliśmy: Skjervoy (nasze ulubione miejsce), Lyngen Alps (gdzie niestety zmienna, często zła pogoda oraz duże zagrożenie lawinowe ograniczyły naszą działalność), Tromsø oraz Kvaløya (czyli miasto w górach).

Rejony, w które nie mieliśmy już czasu pojechać: przede wszystkim słynne i piękne Lofoty, Vesterålen i Senja, Narvik oraz Bodo.

Mapy: seria M 711 skala 1:50 000 (cena ok. 100 kr).

Część ekipy (Krzysiek, Tomek, Paulina, Alek), w tle wyspa Skiervoya i miasteczko o tej samej nazwie. Kagen i Skiervoy są połączone mostem (o ruchu jednokierunkowym). Fot.: Marek Rabiasz.



Dobre mapy są też online na stronie: www.statkart.no.

Meteo: www.yr.no, www.bt.no/vaer,
www.weather-forecast.com

Niestety, z tego co wiem, brakuje systemu informacji o zagrożeniu lawinowym takiego jak w Tatrach lub w Alpach.

Czas

Odbyliśmy wyprawę na przełomie kwietnia i maja. Od początku maja pogoda się stabilizuje, warunki śniegowe mogą być miejscami gorsze, za to brak jest ograniczeń czasowych jak w Tatrach czy w Alpach, o północy wciąż jest widno, czyli jeśli zdarzy się „dupowa”, można spokojnie zły czas przespać i wyjść jak przestanie padać – nawet jeśli byłaby to godzina 18 wieczorem.

Teoretycznie sezon trwa podobnie jak w Alpach od lutego do maja. W marcu i kwietniu pogoda jest wciąż bardzo zmienna, za to zdarza się super puch, można też zobaczyć zorzę polarną.

Trudno uwierzyć, jak szybko człowiek się przyzwyczaja. ... kilka dni i te fantastyczne okoliczności przyrody stają się codziennością :) Widok na fiord z wyspy Kagen. Fot.: Marek Rabiasz.

Dojazd

Samochodem (przykładowe trasy):

- 1) trasa przez kraje nadbałtyckie, z Tallina promem do Helsinek, dalej przez Finlandię (po drodze w Rovaniemi jest chatka św. Mikołaja), Szwecję, do północnej Norwegii. Długość trasy Warszawa–Tromsø to ok. 2500 km (na miejscu przejechalibyśmy ok. 1000 km),
- 2) promem np. z Sassnitz w Niemczech do Trelleborga w Szwecji (prom tańszy niż w Polsce, kursuje co cztery godziny bez konieczności wcześniejszej rezerwacji). Przez Szwecję wzdłuż Zatoki Botnickiej, odbijając tuż przed granicą z Finlandią w stronę Narwiku. Po przeprawie promem można pojechać całość przez Norwegię (trasa jest bardziej malownicza), za to droga przez Szwecję jest szybsza (dużo autostrad i odcinków szybkiego ruchu) i tańsza ze względu na ceny benzyny, mniej jest też dodatkowych opłat.





Krzysiek Boczek na przełęczy, próba wejścia na szczyt. W tle Skierwoya. Fot.: Marek Rabiasz.

Cena benzyny na trasie: w krajach nadbałtyckich podobnie jak w Polsce ok. 1 euro, w Finlandii ok. 1,2 euro, w Szwecji warto tankować bo jest dużo taniej, w Norwegii ok. 1,5 euro.

Samolotem:

Koszt ok. 1000 zł (z opłatami Warszawa–Oslo–Tromsø–Narvik–Oslo–Warszawa), np.: Norwegian, AirBaltic, ewentualnie SAS.

Transport

Najlepiej przemieszczać się własnym samochodem lub wynająć auto na miejscu.

Jedzenie

Niestety, warto przywieść trochę jedzenia z Polski... W Tromsø i Skjervoy są supermarkety. W dobrej cenie można kupić w sumie tylko łososia i inne ryby, jeszcze taniej niż w supermarkecie można kupować ryby bezpośrednio od rybaków (najlepsze ryby jakie w życiu jadłam!). W niedzielę sklepy są z reguły zamknięte. Można zabrać wędkę :)

Zakwaterowanie

W naszym przypadku były to namioty lub wyprawowy bus (jest to wersja najbardziej ekonomiczna).

Istnieje też sieć 460 schronisk, chatek i schronów norweskiego klubu DNT – The Norwegian Trekking Association (www.dntoslo.no). Nie pokrywa ona jednak wszystkich rejonów równomiernie, w przypadku tzw. unstaffed cabins często trzeba wcześniej wziąć klucz z lokalnego klubu (również te chatki są płatne według cennika).

Można też prywatnie wynająć chatkę, prawdopodobnie dla grupki ok. 6–8 osób cena wychodzi dość przystępna. Moi przyjaciele z Alp, którzy wybrali się na Lofoty, wynajęli uroczą, wygodną chatkę w Svolvaer nad brzegiem morza, przylecieli samolotem i wynajęli samochód na miejscu. Jest to chyba najwygodniejsze, aczkolwiek nie najtańsze rozwiązanie.

Można też zakwaterować się na jachcie i podpływać łodzią... ale to jednak droższa wersja.

Krótki opis rejonów, w których byliśmy

Skjervoy

Wyspy Kagen, Arnoya, Laukoya z wysokimi szczytami typu alpejskiego wznoszącymi się na około 1000 m n.p.m., zjazdy do samego morza. Wyspa Skjervoya z miejscowością Skjervoy, połączona jest mostem z wyspą Kagen, zapewnia świetne zaplecze (supermarkety, rybacy itp.). Na wyspę Kagen prowadzi tunel pod morzem. Jest to też podobno świetny rejon na wędkowanie!

Trasy: Kagen – m.in. Breidkagen (683 m), Store Kagtind (1228 m), Laukoya – m.in. Langnestinden (821 m), Arnoya–Finnekjerka (787 m)... i wiele innych jeszcze mniej znanych.

My spędziliśmy kilka dni tylko na wyspie Kagen; z samego Breidkagen jest wiele zjazdów, dwa z nich prowadzą żlebami. Dalej nasz „plac zabaw” sięgał po masyw Store Kagtind (1228 m) – najwyższy szczyt na wyspie (choć wtedy nie znaliśmy jego nazwy).

Uwaga na bardzo szybką zmianę rodzaju śniegu, szczególnie w miejscach o dużej ekspozycji, słońce operuje tu dużo dłużej niż w Tatrach. W przewodniku ostrzegają też

przed zagrożeniem lawinowym przy wejściu na Store Kagtind. My w maju spotkaliśmy się tylko z większymi, powolnymi „kontrolowanymi obsuwami” (nauczyłam się nie nazywać ich już „lawinkami”, trzeba było przyzwyczaić się, że czasem śnieg „zjeżdża razem z nami”).

Mapy: 1634 I Rotsundet, 1635 II Arnøya.

Lyngen Alps

Słynne Lyngen Alps, wysokie szczyty typu alpejskiego – prawie 2000 m wysokości, schodzące do samego morza. Wiele szczytów do zdobycia i tras do przejścia, Haute Route... Najwyższy szczyt to Jiehkkevarri (1834 m). Zazwyczaj sezon trwa tu od grudnia do przełomu maja i czerwca.

W czasie tych kilku dni, kiedy byliśmy w Lyngen, było niestety duże zagrożenie lawinowe, nie udało nam się wyjść w wyższe partie gór. Eksplorowaliśmy doliny, oswajaliśmy się z odgłosami nieustannie „odjeżdżających pociągów”, lawinki szły swoimi ściśle wytyczonymi trasami, a my naszymi bezpiecznymi trasami.

Mapy: 1634 III Lyngen, 1634 IV Lyngstuva, 1633 IV Storfjord, 1533 I Lavangsdalen, Turkartet Lyngenalhøya 1:50 000.

Nasz obóz nad morzem. Fot.: Michał Zawadzki.



Zakwaterowanie: sporo możliwości od apartamentów i chatek na wynajem, przez klubowe chatki i schrony. My wybraliśmy jak zwykle namioty (w ciągu trzech-czterech dni tylko jeden skiturowiec pojawił się w całej dolinie, przechodząc przez nasz obóz).

Tromso

Uznane za najlepsze norweskie miasto do uprawiania skialpinizmu. Oferuje wiele świetnych tras, łatwo osiągalnych przy zakwaterowaniu w mieście. Pod koniec kwietnia spadł jeszcze świeży śnieg i można było jeździć w puchu.

Trasy: najbliższy Tromsdalstinden (1238 m) oraz na wyspie Kvaløya – Storsteinestinden (1017 m), Skitntinden (1042 m), Middagstinden (1006 m).

Mapy: 1534 III Tromsø, 1434 II Tussoya
Turkart Kvaløya 1:50.000, Turkart Tromsdalstind 1:25 000.

Przewodniki, linki:
www.turistforeningen.no, www.lyngen.name,
www.norway.com, www.friflyt.no

Bardzo dobry przewodnik (niestety, chyba tylko po norwesku): „Toppturer i Norge, 133 flotte skifjell i hele landet”, Fri Flyt 2006.



Mieliśmy szczęście, spotkaliśmy rybaków z łodzią pełną pysznego łososia. Wieczór ok. 23 h. Fot. Marek Rabiasz.

Skjervoy : www.skjervoy.com,
www.hurtigruten.com,
www.skjervoy-fiskecamp.com.

Lyngen i Tromsø: www.lyngen.net,
www.destinasjon tromsø.no,
www.lyngen.kommune.no,
www.turistforeningen.no/troms.

Pogoda nie zawsze nam sprzyjała. Zanim przyjechaliśmy na Kagen, była idealnie w kratkę; dupówa, lampa, dupówa... Fot.: Marek Rabiasz.



Trzy przejścia wybijają się w tym sezonie ponad inne. Są to: Filar Kazalnicy przez Wielki Okap, odhaczenie direttissimi Małego Młynarza i uklasycznienie Proszę się wspinać. Naprawdę, trzy osiągnięcia wybitne – świetne stylowo, powtórzenie na Kazalnicy, niezwykle odważne, eleganckie i błyskotliwe przejście na Młynarzu i wreszcie – co tu dużo pisać – najtrudniejsza technicznie droga w Tatrach Wysokich (a cyfra, jak wiadomo, rzecz pożądana). Na mnie największe wrażenie zrobiła jednak cyfra najniższa – za to styl zwyczajnie zdumiewający!

Poza tym dużo dobrych przejść, jak choćby Gacopyrz, oesowe przejścia na Kościelcu czy kilka bardzo trudnych technicznie realizacji na modernistycznych (czyli sportowych) drogach na Słowacji, głównie na Osterwie, ale także na południowej Kieżmarskiego. Bardziej może należałoby wyróżnić ekstremalnie trudne przejścia starych dróg słowackich na Jastrzębiej Turni; trzeba przyznać, że dwóch Jacków pokazało tam nie lada moc.

Poziom wysoki, ale poza czołówką wszystko toczy się swoim leniwym rytmem (czytaj: Jan Hobrzański znów zrobił nową drogę na Kazalnicy), jak było zawsze do tej pory i pewnie będzie w przyszłości. Nasze zmartwienia koncentrują się wokół tego, czy będziemy mieli gdzie się w Tatrach podziać, bo nad taborami zawisł damoklesowy miecz w postaci trudnej do pojęcia abominacji Rady Parku TPN. Komisja tatrzańska wspólnie z Fundacją Kukuczki na razie dają odpór, ale kto wie, jak to będzie dalej. Zbliżają się wybory na dyrektora TPN i z pewnością, bez względu na wynik, przyniosą nowe rozdanie.

Tymczasem dużo ludzi wspina się na Słowacji – Mięguszowiecka, Łomnica, Kieżmarski to ściany, które można obecnie założyć w jeden dzień z Zakopanego. Jest to, a wiedzą to ci, którzy spróbowali, bardzo atrakcyjna alternatywa dla pobytu na taborze i wiecznie mokrych ścian Morskiego Oka.

Cóż, wszystko ma jednak swoje uroki i mamy nadzieję, że i w przyszłości będzie nam dane obcować z nimi bez zbytecznych przeszkód.

Z tatarnickim, Artur Paszczak

☞ Astry (konkretnie Omieg kozłowiec) pod południową Kieżmarskiego. Fot.: Wojtek Ryczer.

Wykaz przejść

Polska

Morskie Oko

Mnich:

- **Sprężyna** VII- RP, Anna Radziejowska i Jakub Radziejowski
- **Sprężyna** VII- OS, Łukasz Heldt i Krzysiek Goździewicz
- **American Beauty** VIII+ PP, Anna Radziejowska i Jakub Radziejowski
- **American Beauty** VIII+ 1*A0, Arek Koszek i Marek Kaliciński
- **Kant Hakowy** VII- OS, Arek Koszek i Marek Kaliciński
- **Floreściska z Hotelu Adalbert** VIII- PP, Arek Koszek i Marek Kaliciński
- **Zemsta Wacława** VI+/VII- OS, Jakub Rozbicki i Mirek Burzyński
- **Wachowicz** VIII-/VIII RP, Jakub Ziółkowski i Michał Ziółkowski
- **Mogilnicki** VI- OS, Łukasz Heldt i Krzysiek Goździewicz
- **Zacięcie Baryły** VIII A0, Łukasz Heldt i Krzysiek Goździewicz
- **Lewe Kombinacje** VII, Dorota Kościańczuk i Tomasz Burdzanowski

Kazalnica Mięguszwiecka:

- **Filar** IX+ RP (III przejście klasyczne), Sławek Sławatecki i Tomek Szpor
- **Gacopyrz Now** VIII+ AF, Anna Radziejowska i Jakub Radziejowski
- **komb. Wędrówka Duszy i Warianty Małolata** VII-, Paweł Grela i Krzysiek Korn
- **Warianty Małolata** VI+, Tomek Czopowicz i Tomek Stefaniuk
- **Prawie Po Trawie** IV, Jan Hobrański, Jan Nawieśniak i Marcin Zembal

Mięguszwiecki Szczyt Wielki (wschodnia ściana):

- **Sokołowski** V, Marek Grądzki i Jacek Kierkowski

Czołówka MSW:

- **Greystone** VII OS, Arek Koszek i Marek Kaliciński
- **Greystone** VII 1*AF, Jakub Rozbicki i Mirek Burzyński

- **komb. Szare Zacięcie i Greystone** VII-, Paweł Grela i Krzysiek Korn
- **Porfawora** VIII OS, Jakub Ziółkowski i Michał Ziółkowski

Mięguszwiecki Szczyt Pośredni (północna ściana):

- **Orłowski** V, Marek Grądzki i Jacek Kierkowski

Wołowa Turnia (północna ściana):

- **Surdel Górecka**, Hreczuch i Andrzej Kowalik

Żabi Mnich:

- **Wilczkowski** VI-, Anna Radziejowska i Jakub Radziejowski
- **Wilczkowski** VI-, Jakub Rozbicki i Mirek Burzyński

Kopa Spadowa:

- **Vade Mecum** V/V+ (I przejście): Mirosław Koprowski, Jan Nawieśniak i Jan Hobrański
- **Vade Mecum** V/V+ (II przejście), Dorota Kościańczuk i Tomasz Burdzanowski

Hala Gąsienicowa

Kościelec (zachodnia ściana):

- **Proszę się wspinać** X/X (I przejście klasyczne, dawniej VI+ A3), Marcin Gąsiennica-Kotelnicki i Dariusz Kałuża
- **Matrix** IX OS, Sławek Jabłoński, Paweł Kopta i Adam Pieprzycki
- **Matrix** IX OS, Jacek Czech senior i Jacek Czech junior
- **Matrix** IX RP, Wojciech Karnaś i Mikołaj Stefaniak
- **Matrix** IX RP, Marcin Gąsiennica-Kotelnicki i Łukasz Migiel
- **Buena Vista Social Club** IX- RP, Jacek Czech senior i Jacek Czech junior
- **Pulp Fiction** IX- RP 2h, Paweł Mielnikow, Jasiu Mondzelewski i Krzysiek Rychlik
- **Pulp Fiction** IX- RP, Ela Kamińska i Paweł Draga
- **Pulp Fiction** IX- OS, Marcin Gąsiennica-Kotelnicki i Łukasz Migiel
- **komb. Lobby Instruktorskie i Byczkowski** solo, Andrzej Kowalik

Kościelec (wschodnia ściana):

- **Byczkowski-Sokala** VII+ (I przejście klasyczne, dawniej VI A2), Jacek Czech senior i Jacek Czech junior

Dolina Pięciu Stawów

Zamarła Turnia:

- **Kant Zacięcia Komarnickich** solo, Andrzej Kowalik
- **Jargitto-Pačkowski** VI+, Paweł Muszyński i Alik Szczurek
- **Prawi Wrześniacy** VI+, Alicja Paszczak i Krzysiek Korn
- **Prawy Heinrich** VII-, Krzysiek Korn i Artur Paszczak



Wojtek Ryczer w Warszawskim Zacięciu. Fot.: Kuba Pecsz.

Słowacja

Dolina Białej Wody

Mały Młynarz:

- **Diretissima** IX- (pierwsze przejście klasyczne, dawniej VI A2/A3)
- **Sprężyna**, Dorota Kościańczuk i Tomasz Burdzanowski

Galeria Gankowa:

- **Filar Puskasa** V, Tadek Grzegorzewski i tow.
- **Filar Puskasa** V, Wojciech Bieniek i Rafał Misiuda

Dolina Batyżowiecka

Mały Lodowy (płd ściana):

- **Pawłowski** V, Katarzyna Goncerz, Katarzyna Kowalska, Wojciech Bieniek i Tomasz Chwastek

Batyżowiecki Szczyt:

- **Płyty Kutty** V, Michał Dziedzic i Zyga Stankiewicz
- **Płyty Kutty** V, Wojciech Bieniek i Paweł Krupa
- **Pytlakov Express** VI+ OS, Michał Dziedzic i Zyga Stankiewicz
- **Zimny Prysznic** (wariant B) VI, Michał Dziedzic i Zyga Stankiewicz

Dolina Miękusowiecka

Wołowa Turnia:

- **Stupid Wall**, Alicja Paszczak, Artur Paszczak i Adam Pieprzyci
- **Hvezdova Cesta**, Alicja Paszczak, Artur Paszczak i Adam Pieprzyci
- **Staflowa** V, W. Bieniek i K. Goncerz

Osterwa (Galeria):

- **Halkova Cesta** VIII OS, Jarek Mazur i Jakub Radziejowski
- **Halkova Cesta** VIII OS, Jacek Jurkowski i Mateusz Makowiecki
- **Posledny Sud** IX RP, Jacek Jurkowski i Mateusz Makowiecki
- **Kororo** XI- RP, Jacek Jurkowski i Mateusz Makowiecki
- **Pavlin-Kráčalik** VI OS, Dobrochna Comi i Paweł Fidryk
- **Zacięcie Dieski** VII- OS, Dobrochna Comi i Paweł Fidryk
- **Strednom Steny** VI+ OS, Buška Wiśniewska i Rafał Burczyński

Szarpane Turnie:

- **Puskas** VI+, Joanna Krośkiewicz, Zbyszek Krośkiewicz i Zbyszek Skierski
- **Magickie Oko** VII-, Joanna Krośkiewicz, Zbyszek Krośkiewicz i Zbyszek Skierski
- **Brawo Mozart** VII+ OS, Artur Paszczak i Staszek Piecuch
- **Strecha** (obejście okapu), Artur Paszczak i Staszek Piecuch

Dolina Staroleśna

Ostry Szczyt (płd ściana):

- **Motyka IV**, S. Calik, G. Kletchka, M. Norwecki i P. Zieliński
- **Haberlein i Motyka IV**, Tomek Przewrocki, Sero Ritter i Michał Trzaska

Strzelecka Turnia:

- **Lewy Filar IV**, Wojciech Bieniek, Tomasz Chwastek, Albert Gałka i Jakub Gałka

Pośrednia Sławkowska Baszta:

- **Gibas-Sedivy-Tatarka V-**, Krzysiek Korn i Jan Muskat

Dolina Małej Zimnej Wody

Łomnica (zachodnia ściana):

- **Stanisławski V**, Robert Nejman + tow.
- **Pęknięciem w Płycie VI**, Joanna Krośkiewicz, Zbyszek Krośkiewicz i Zbyszek Skierski
- **Hokejka VII-**, Joanna Krośkiewicz, Zbyszek Krośkiewicz i Zbyszek Skierski
- **komb. Psendowa i Hokejka VII-**, Alicja Paszczak i Artur Paszczak
- **Cunasova Cesta VI-**, Artur Paszczak i Adam Pieprzycki
- **Patagońskie Lato VIII-** OS 6h, Tadek Grzegorzewski i Adam Pieprzycki
- **Patagońskie Lato VIII-** OS, Jurek Gurba i Jacek Jurkowski
- **Pęknięciem w Płycie VI**, Alicja Paszczak i Artur Paszczak
- **Puskas V**, Krzysiek Korn i Jan Muskat
- **Kopiejkowy Filar VI+**, Artur Paszczak i Adam Pieprzycki

Dolina Kieżmarska

Mały Kieżmarski (północna ściana):

- **Diretissima** (Diretissima Złotego Kopiniaka + Plskova Cesta) VI+ solo, Marcin Książak

Jastrzębia Turnia:

- **Chlapcom z Everestu 88 VIII+** OS, Jurek Gurba i Jacek Jurkowski
- **Sunset Boulevard IX RP**, Jurek Gurba i Jacek Jurkowski
- **Amazonia Vertikal IX RP**, Jurek Gurba i Jacek Jurkowski

Grzegorz Rutkowski w dolnych partiach południowej Kieżmarskiego. Fot.: Wojtek Ryczer.

Dolina Czarna Jaworowa:

- **Wyżnia Lodowa Przełęcz** (Śnieżną Dolinką) III lód 60, Przemek Leśnicki i Adam Śmiałkowski, 1.05.2009
- **Wyżnia Lodowa Przełęcz** (Śnieżną Dolinką) III lód 60, Andrzej Głuszek i Wojek Kozub, 30.06.2009

Dolina Łomnicka

Kieżmarski Szczyt:

- **Krissak VI** + Grań Widel V 9h, Jarek Mazur i Jakub Radziejowski
- **Płyty Pochyłego VIII-** OS, Maciej Bedrejczuk i tow.
- **Cesta do Hôr VIII-** OS, Maciej Bedrejczuk i tow.
- **Cesta do Hôr VIII-** PP (wyjście Krissakiem), Anna Radziejowska i Jakub Radziejowski
- **Wielkie Zacięcie VI+** Flash, Jakub Peszcz, Grześ Rutkowski i Wojciech Ryczer
- **Prawy Puskasz V+**, Krzysiek Horodecki i Piotr Soczyński
- **Grań Widel V**, Leszek Jankowski i Przemek Sieradzan



Łomnica (2634 m), ściana zachodnia

Opracowanie Artur Paszczak

Zachodnia ściana Łomnicy to jedno z najwspanialszych tatrzańskich urwisk. Jej nietypowy kształt (stanowiący jakby „negatyw” zachodniej Kościelca) powoduje, że pomimo niewielkiej różnicy wysokości (przeciętnie tylko około 300 m) ściana sprawia wrażenie ogromne. Skośny przebieg wielu dróg powoduje, że różnica poziomów sięga (jak w przypadku *Birkenmajera*) nawet 400 m.

Podstawę ściany stanowi ogromny Żleb Tery’ego, spadający do Doliny Małej Zimnej Wody. Prawe ograniczenie ściany stanowi żlebo-rzynna spadająca z Niżniego Łomnickiego Karbu (Łomnicka prechyba), dalej w prawo wznosi się wierzchołek i ściana Łomnickiej Kopy.

Na ścianie wyróżniamy (od lewej):

1. Rysę Puśkaśa
2. Rysę Stanisławskiego (obie łączą się w górze, podobnie jak drogi)
3. Depresję Zachowała – w linii spadku wierzchołka, biegnie nią *Hokejka*
4. Krzyż – znajdujący się na *Hokejce*
5. Czarny Filar
6. Rysę Birkenmajera (ogromny system kominów i półek, którym ciągnie jego droga)
7. Płytę Arnolda
8. Wielki Filar – w prawej części ściany.

Walki o zdobycie zachodniej ściany mają swoją barwną historię, stanowiącą element tradycji taternictwa. Do historii przeszły drogi Stanisławskiego, Birkenmajera oraz Plska i Zachowała (*Hokejka*). Niewątpliwie są one kanonem wspinaczkowym dla każdego taternika.

Ściana Łomnicy należy, na nasze szczęście, do najbardziej litych w Tatrach. Nie oznacza to, że nie można oczekiwać kruszyzny, szczególnie na takich drogach jak *Psendova* czy *Bonbonova*. Niemniej zdecydowana większość dróg biegnie terenem przeważnie litym, z dobrą asekuracją, wspaniałą ekspozycją i dobrym nasło-

necznieniem. Do tego dość łatwe dojście pod ścianę powoduje, że wspinaczki na Łomnicy należą do najprzyjemniejszych i najwspanialszych w Tatrach.

Ta piękna i tak ważna ściana, nie ma do tej pory dobrego kompleksowego opracowania. Dostępne w internecie monografie i schematy zawierają wiele błędów. Niniejsze opracowanie nie pretenduje do miana nieomylnego, nie jest również monografią, jako że stanowi owoc wspinaczkowych peregrynacji kilku osób. Większość opisanych dróg została przez autorów opracowania pokonana osobiście lub zlustrowana z bliskiego sąsiedztwa. Dlatego, dla wymogów rzetelności, nie wysowałem dróg, co do przebiegu których brakuje mi minimalnej choćby dozy pewności. Trzeba jednak zaznaczyć, że nanoszenie dróg na zdjęciu tej akurat ściany przynosi różnorakie problemy (np. często nie widać pierwszych metrów dróg), toteż z pewnością nie ustrzegliśmy się błędów. Mam nadzieję, że efektem tej publikacji będzie również ich usunięcie.

Podejście

Możliwe są dwa warianty:

1. Wjazd na szczyt i zejście pod ścianę ścieżką wyposażoną w łańcuchy, biegnącą pn. granią i schodzącą do szczytu Żlebu Tery’ego. Wariant jest bardzo szybki i wygodny pod warunkiem, że uda się złapać kolejkę na szczyt. No i oczywiście – jest kosztowny.
2. Druga możliwość to wjazd do Skalnatego Pleśa, skąd wyciągiem krzesełkowym na Łomnicką Przełęcz (Łomnickie sedło). Stamtąd ok. 300 m w górę kopczykowaną ścieżką do przewinięcia w lewo na drugą stronę żebra, skąd poziomy trawers w lewo do krawędzi ściany. Tu zaczyna się wyposażona w łańcuchy i klamry ferrata, sprowadzająca w ok. 20 min do Żlebu Tery’ego. Dalej kilka do kilkunastu minut pod drogi. Całość ok. godziny.

Zejsście

Z wierzchołka możliwy jest zjazd kolejką, jednak ostatnio coraz o to trudniej. Nie ma się jednak co załamywać – zejście ze szczytu tzw. *Jordanką* jest szybkie, łatwe i przyjemne (nie więcej niż 30 min do krzesełek). Potem zjazd i gondolkami do domu. Sprawa komplikuje się nieco zimą, kiedy zejście utrudniają bądź uniemożliwiają śniegi przykrywające łańcuchy. Wtedy zalecane jest wykonanie trzech–czterech zjazdów z kotew od łańcuchów.

Spis dróg

Bez numeracji wymieniono drogi niezaznaczone na fototopo.

1. **Lewa droga (Lavá cesta), VI+**
J. Horváth, J. Otruba
2. Ostatni Komin (Posledný komín), V+ A1, 4h
J. Beneš, J. Kříž, 17.09.1976
3. **Šedá platňa, VII-**, 5h
T. Myslivec, L. Páleníček, 13.07.1987. Droga biegnie tuż poniżej Kopiejkowego Filara i wygląda bardzo ładnie. Widać stałe haki.
4. **Kopiejkowy Filar (Kopejkorý Pilier), VAO lub VI/VI+**, 4h
Z. Drlík, L. Páleníček, 7.04.1972.
1 klas.: Š. Bednár, J. Hyžný, 19.07.1980, V+
Zobacz opis dalej.
5. **Droga Puškáša, V/V+**, 3h
J. Andráš, A. Puškáš, K. Skřípský, 09.1948.
I zimowe: V. Karoušek, V. Mašková, 20.03.1952. Bardzo piękna droga wiodąca litymi, pionowymi zacięciami. Szczególnie urodziwy jest drugi wyciąg, od półki.
6. **Droga Čuňasa (Čuňasova cesta), V+ lub ok. VII**, 4h
L. Páleníček, Čuňas (nieznany wspinacz), 12.07.1970. I zimowe: C. Bajsarowicz, B. Nowaczyk, K. Wielicki, 27.02.1974
Wariant wyjściowym zacięciem w lewo:
O. Novák, P. Berežný, P. Stříbrný, D. Krejčí, V. Vilím 1971. Zobacz opis dalej.
7. **Lewymi Płytami Hokejki VI**, 4h
J. Porvazník, A. Belica, 2.06.1979. Odważna droga, obecnie nieco zepsuta sąsiedztwem *Patagońskiego Łata*.
8. **Patagońskie Łato (Patagonské léto) VII+**, 6h
J. Novák, M. Giláni, P. Kryze, 06.2004. Zobacz opis dalej.



Tak wygląda górna część drogi zejściowej z Łomnicy na Łomnicką Przełęcz. Fot.: Artur Paszczak.

9. **Droga Stanisławskiego, V**, 2,5h
A. Kenar, A. Stanecki, W. Stanisławski, 8.08.1929
I zimowe: J. Sláma i tow., 18.03.1953
• Wariant T. Orłowski, S. Siedlecki, 31.07.1945
10. **Hokejka, VII-**, 4h
F. Plšek, V. Zachoval, 22.08.1950
I zimowe: K. Cerman, O. Kopál, J. Mašek, B. Nejedlo 21.04.1952. Klasycznie od 1983.
Zobacz opis dalej.
11. **Pšendova cesta, VII-**, 5h
V. Krejčí, Pšeničnikov, 12.07.1970
klas.: L. Šlechta, I. Ullsperger, 27.09.1982
Droga moim zdaniem brzydka i parchata – aż dziw bierze, skąd na niej tyle kruszyny imchu, gdy wokół tyle pięknej skały. Kluczowy wyciąg jednak niewątpliwie spektakularny i ciekawy.
• **Czarny Filar (Čierny pilier) VIII- (V+ A3)**, 8–10h
Droga na pamiątkę wyprawy do Peru w 1970 r. I. Dieška, P. Pochylý, 12.07.1970.
I klas.: E. Velič, J. Adámek
• **Staruch-Medvec, VIII**.
R. Staruch, M. Medvec w sierpniu 2002. Nity osadzone z prowadzenia.
• **Biały pas (Biely pás), VII+ (V+ A3)**, 6h
A. Belica, J. Stejskal, 28.08.1976

- **Czerwone plamy (Ružové plamene), VII+**, 8h
T. Myslivec, L. Páleníček, 12.07.1987
- 12. **Wariant Motyki, V**, 1h
S. Motyka, J. Sawicki, Z. Brull, Š. Zamko-
ský, 26.07.1932
- 13. **Žółte plamy (Žlté plamene) VII- (VI- A1)**, 5h
- 14. **Droga (wariant) Arnolda, VI+/VII-**, 5h
B. Arnold, G. Lamm, 13.8.1972
II letnie i I klas.: A. Buzinkay, R. Hajdučík
17.09.1983



Całkiem ładna droga pokonująca najbardziej charakterystyczną płytę na ścianie.
Dobra asekuracja, trudności zrozumiałe.

15. **Shock the Monkey (Šokuj opicu), VIII+/IX-**, 5h
P. Ondrejovič, J. Vonderčik 21.10.1989. Spity osadzone z prowadzenia.
Droga przez płytę (Cesta cez platňu), V A2, 4-5h
I. Fiala, O. Pochylý, 14.09.1970

16. **Droga Birkenmajera i Kupczyka, V+**, 4,5h
W. Birkenmajer, K. Kupczyk 21.06.1930
I zimowe: A. Puškáš, L. Szabó, 4–5.04.1951. Zobacz opis dalej.
17. **Pęknięcie w płycie (Puklina v platni) VI**, 4h
Z. Čepela, O. Pochylý, 21.08.1969. Zobacz opis dalej.
18. **Wariant Šmída do Pęknięcia w płycie, V**, 3–4h
M. Šmíd. 25.09.1975
19. **Belica–Stejskal VI (?) (V+ A1)** 6-7h
A. Belica, J. Stejskal, 27.08.1976
20. **Cukierkowa Droga (Bonbónová cesta), VII (VI- A1)**, 6–9h
A. Belica, I. Koller 17.08.1974
I klas.: R. Mihál, A. Formánek 6.07.1983
Droga „moralna”, słynąca ze słabej asekuracji, dużych trudności i „mchom zarostnego kutika”. Dla tych, którzy wiedzą, co robią.

Zach. ściana Łomnicy
wybór dróg
fot. M. Grądzki
oprac. A. Paszczak



Via Ferrata sprowadzająca do Żlebu Tery'ego.
Fot.: Artur Paszczak.

Zach. ściana Łomnicy.
Widok z profilu na wejścia
dróg w lewej części.

fot. i oprac. A Paszczak.



Wspinanie na *Pęknięciu*. Fot.: Artur Paszczak. 



Kopiejkowy Filar (Kopejkový Pilier), V AO lub VI/VI+, 4h

Opracowanie Artur Paszczak

Dosyć solidne, choć krótkie wspinanie. Pierwszy wyciąg prowadzi pięknym, choć łatwym (dla niepoznaki) zacięciem/załupą. Potem droga wiedzie w środkowe partie wyraźnego filara, a trudności kulminują się na dojściu do niego. Należy mierzyć mniej więcej w środek, w najwyższą możliwość pod spiętrzeniem (załupa w lewo), jako że kilka metrów niżej podobną formację wykorzystuje *Seda Platna*.

Wyciąg jest dobrze szóstkowy i wymagający pod względem asekuracji (haki przydatne). Stanowisko na lewej krawędzi, skąd kolejny wyciąg wraca na ostrze filara w prawo. Na sa-



Adam Pieprzycy na szczycie Łomnicy. Fot.: Artur Paszczak.



mych początku dziwne wejście na płytę, potem też dość wymagające rysy i przewinięcia – szóstka jak gwiazd. Czwarty wyciąg jest już łatwy i w zasadzie wyprowadza na szczyt. Niemniej droga zdecydowanie warta uwagi, szczególnie dla miłośników górskiej przygody, których, jak się dowiaduję, jest ostatnio tak wielu.

Sprzęt: – lina 55 m, kości i friendy, sześć haków (dwie falki, rynna, dwa stiletto grube, łyżka)

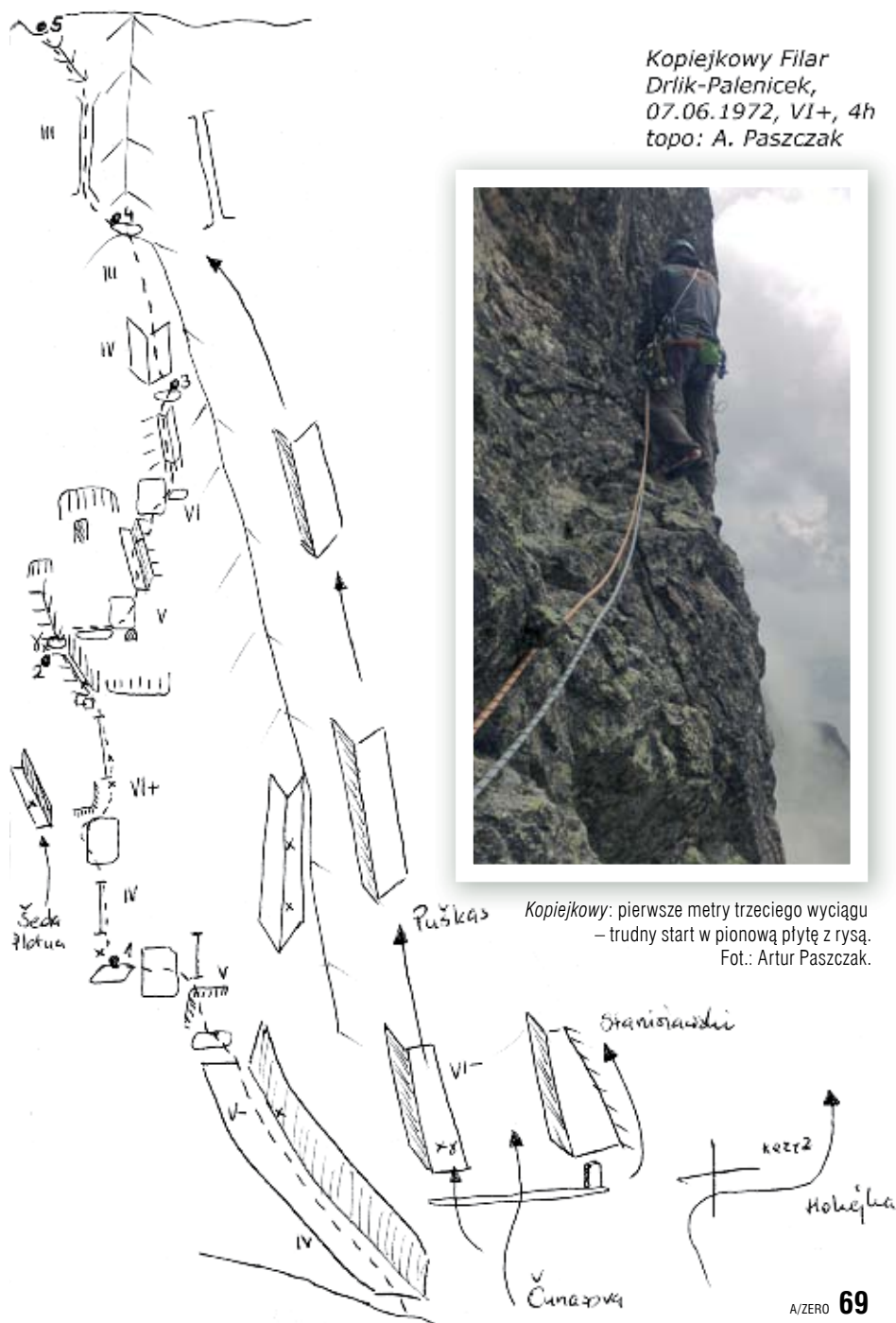
Czas przejścia: 3–5 godzin.

Kopiejkowy Filar: końcówka drugiego wyciągu. Adam dochodzi do stanowiska skośną, wypychającą załupą. Fot.: Artur Paszczak.

Kopiejkowy Filar
Drlik-Palenicek,
07.06.1972, VI+, 4h
topo: A. Paszczak



Kopiejkowy: pierwsze metry trzeciego wyciągu
– trudny start w pionową płytę z rysą.
Fot.: Artur Paszczak.



Droga Czuniasa (Čuňasova cesta), V+ lub ok. VII, 3h

Opracowanie Artur Paszczak

Ten Czunias to był podobno jakiś grubas, którego Palenicek postanowił przeciągnąć przez drogę, no i mało biedny ducha nie wyzionął na ostatnim wyciągu. Działy się ponoć dantejskie sceny i nic dziwnego, bo ostatni wyciąg jest tajemniczy.

Cała droga jest natomiast piękna – na szczególne wyróżnienie zasługują trzy pierwsze wyciągi, naprawdę klasowe. Wejście w drogę wprost na wielką półę stanowiącą jakby przedłużenie poziomego ramienia Krzyża, z której startują też wariant *Drogi Stanisławskiego* oraz droga Puskasa.

Ze stanowiska przy wielkim bloku w lewo na filarek, którym przez przewieszkę do szerokiej rysy (stałe haki). Trzeci wyciąg zaczyna się w lewo od turnicy, bardzo ładną rysą w płycie (*vide* zdjęcie), a kończy na połączeniu za *Stanisławskim*. Parę metrów wspólnie i w lewo na płytę, którą długi, słabo asekurowany wyciąg do stóp wielkiego zacięcia (im bardziej w lewo na tej płycie, tym łatwiej i asekuracja lepsza). Teraz nieco w górę i albo dalej zacięciem (ok. VI) albo dziwaczny trawers w lewo i do góry – nasz zespół jednak nie zmógł tego odcinka, Siwy, przecież nie słabeusz, miał kłopoty z asekuracją i zadaniem z obłego filarka – dlatego odpuściliśmy. Zacięcie było bardzo ładne, choć miejscami kruche – generalnie im dalej od dna, tym skała lepsza.

Drogę polecam, bardzo nam się podobała. Słyszałem, że wielu fachowców na trawersie poległo, i że przejścia jego należą raczej do wyjątków.

Sprzęt: lina 55 m, kości i friendly, sześć haków (dwie falki, rynna, dwa stiletto grube, łyżka) + knife i jedynka.

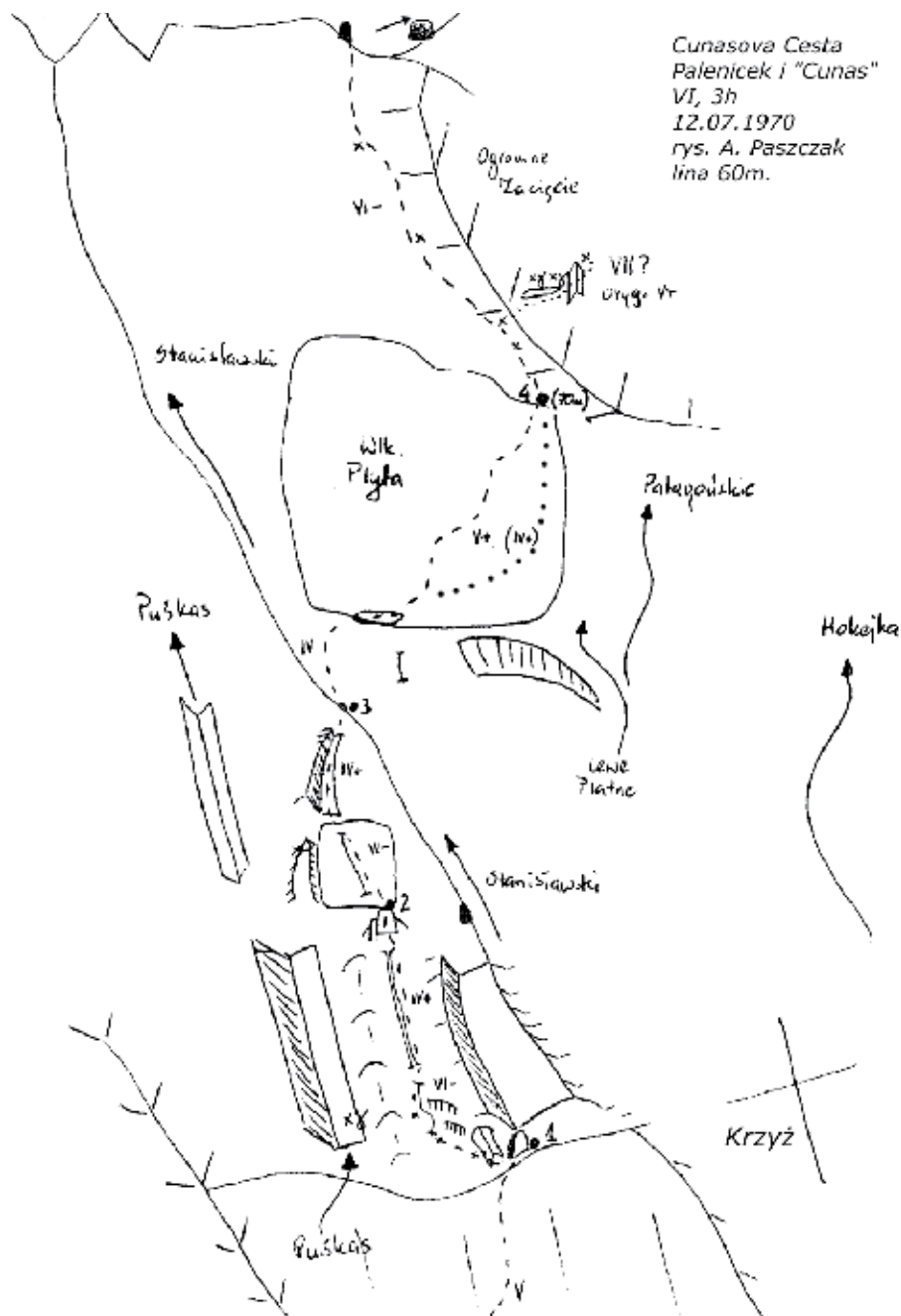
Czas przejścia: 3–5 godzin.

Wielka Żalupa na ostatnim wyciągu *Czuniasowej*.

Fot.: Artur Paszczak.



 *Czuniasowa*: tak wygląda płyta na 3. wyciągu; wyjątkowo ładne wspinanie. Fot.: Artur Paszczak.





Alicja i dwaj Zbyszkowie na wierzchołku Łomnicy.
Fot.: Artur Paszczak

Tajemny i bardzo trudny trawers na ostatnim wyciągu oryginalnej linii Czuniasowej.
Fot.: Artur Paszczak.

Hokejka, VII-, 4h

Opracowanie Artur Paszczak

Zachwalać *Hokejki* specjalnie, jak sądzę, nie trzeba. I tak już są na niej kolejki – dlatego doradzam: nie idźcie tą drogą w weekend! Zwłaszcza słoneczny. Ale w każdy inny dzień, zwłaszcza słoneczny – warto jak cholera. Droga jest przepiękna, lita jak dzwon, eksponowana, z ciągiem trudności, po prostu klasowa. Jak dla mnie, szkoda że powbijali na niej spity przelotowe, zwłaszcza na Krzyżu i nad ścianką problemową. Szczególnie ten ostatni wbito nie wiadomo po co, a i niektóre stanowiska są w odległości kilkunastu metrów. Nie ma jednak co narzekać, przynajmniej żelaza nie ma na niej tyle, co kiedyś, a wspinanie pozostało takie samo. Wejście jest dość ewidentne, choć zacząć można w kilku miejscach. Należy po prostu kierować się na Krzyż. Z jego lewego ramienia wykonuje się całowyciągowy trawers, którego można jed-

nak uniknąć, jeśli się, wyciąg wcześniej, skróci drogę pionowym i pięknym kominem za ok. V+. Z prawego ramienia Krzyża w lewo skos charakterystyczną płytą z wymyciami pod Hokej. Stąd efektowne przewinięcie w prawo do ciągu kominowatych rys, którymi pod ściankę problemową. Kiedyś było na niej A1, dziś tylko VI+/VII- (różnie piszą, ale V+ czy VI to jednak przesada), ale w każdym razie – bardzo fajnie. Na koniec sprytny, trochę dziwny kominiek kosztujący V+, ale jak coś poknocić to i VI+ wypadnie. A potem to już tylko kocioł podszczytowy i do domu. I tylko można w głowę dostać kamieniem od niefrasobliwego, najczęściej nieletniego turysty kolejkowego.

Sprzęt: kostki i friendly, 10 ekspresów, lina 50 m.
Czas przejścia: 3–6 godz.

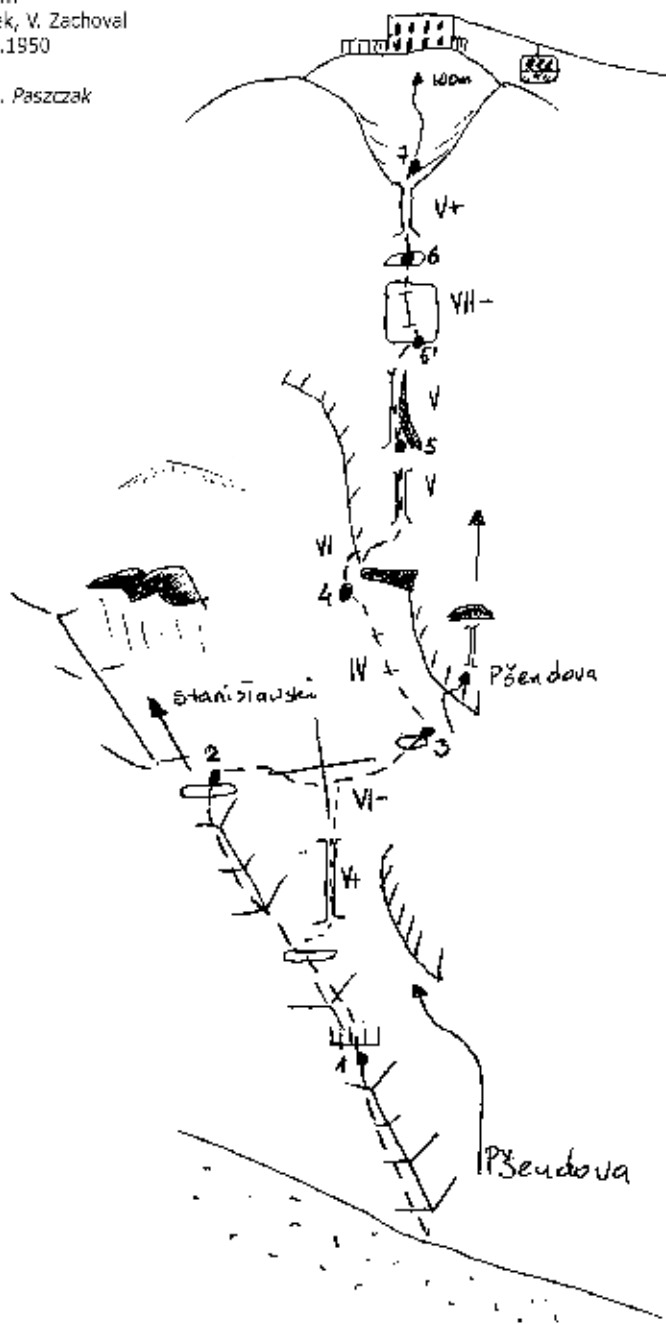
Hokejka

VII-4h

F. Plšek, V. Zachoval

22.08.1950

rys. A. Paszczak



Patagońskie Lato (Patagonské léto) VII+ , 6h

Opracowanie Marcin Księżak

Co do słowackiego schematu, to tylko start jest nieoczywisty, zacięcie startowe (jedyne, jakie znalazłem) znajduje się bardzo blisko *Hokejki* i wg mnie nie wyprowadza na pierwszy stan, tylko znacznie niżej łączy się z *Hokejką*. Uważam, że pierwszy wyciąg można robić ściśle *Hokejką*, ponieważ pozostanie to bez wpływu na trudności. Szkoda, że autorzy drogi pierwszego wyciągu nie obili ze zjazdu i nie poprowadzili płytami po lewej.

Przedostatni trudny wyciąg ma trudności raczej VII. Na dojściu jest chyba jedyne kruche miejsce na drodze. Natomiast droga w kluczowym miejscu delikatnie odbija w prawo, co nie jest zaznaczone na schemacie. Ostatni trudny wyciąg VII+ jest dość długi, na jego początku można zabłądzić w rozległych płytach. Kluczowa na nim jest płytowa depresyjka, a następnie trawers pod okapem (piękna rzecz!).

Sprzęt: na drogę poza ekspresami należy zabrać na pewno małe kości i friendy do asekuracji w płytach, ale nie tylko, bo na drodze są dwa wyciągi biegnące wybitnymi zacięciami, gdzie chodzą średnie rozmiary. Haków raczej nie należy zabierać, my w trakcie przejścia wbiliśmy jednego listka, bez którego moglibyśmy się obyć. Na drodze spotyka się w kluczowych miejscach kilka spitów o śr. 8 mm. Za kilka lat ich wartość asekuracyjna może być znikoma.

Ogólnie rzecz biorąc, droga jest piękna i godna polecenia. Od startu do końca jest się po czym wspinać (brak rzęchów). Trudności oferuje umiarkowane, ciągi V-VI z trzema miejscami VII+, VII, VII+; VIII- raczej nie ma.

Droga byłaby jeszcze ładniejsza, gdyby została na dwóch wyciągach wyprostowana, ale wymagałoby to chyba założenia asekuracji stałej ze zjazdu.

Sprzęt: lina 50 m, zestaw małych kostek i friendów, ew. kilka cienkich haków.

Czas przejścia: w moim wypadku wyniósł 6–7 godzin.





Adam Pieprzycki na stanowisku po 4. wyciągu *Patagońskiego Lata*. Niżej wspina się Tadek Grzegorzewski.
Fot.: Artur Paszczak.

7. wyciąg (VII+) na *Patagońskim Lecie*.
Fot.: Artur Paszczak.

Pęknięcie w płycie (Puklina v platni) VI, 4h

Opracowanie Paweł Strzelecki

W *Puklinę* wbilem się z Chmielem, bo nie mieliśmy najmniejszego zamiaru stać w kolejce do *Hokejki*. Droga okazała się bardzo ładna, a wspinanie urozmaicone. Pierwszy wyciąg zmusza do koncentracji już od pierwszego metra. Startujemy w pionową ściankę, po czym wspinamy się skośnie w prawo do *Drogi Birkenmajera* (V/V+). Wspinamy się kawalek wspólnie z tą drogą, po czym wykonujemy ładny trawers po płycie w prawo (V+/VI) i wchodzimy do wyraźnej depresji, z której kierujemy się do kapitalnego zacięcia (V) po lewej zamiast do komina po prawej. Z zacięcia wychodzimy w prawo (VI) w łatwiejszy teren. W lewo prowadzi stąd wyraźna, poprzątykana trawa-



Pęknięcie w płycie: Alicja wytania się ze ścianki doprowadzającej do systemu rys drogi *Birkenmajera*.

Fot.: Artur Paszczak.



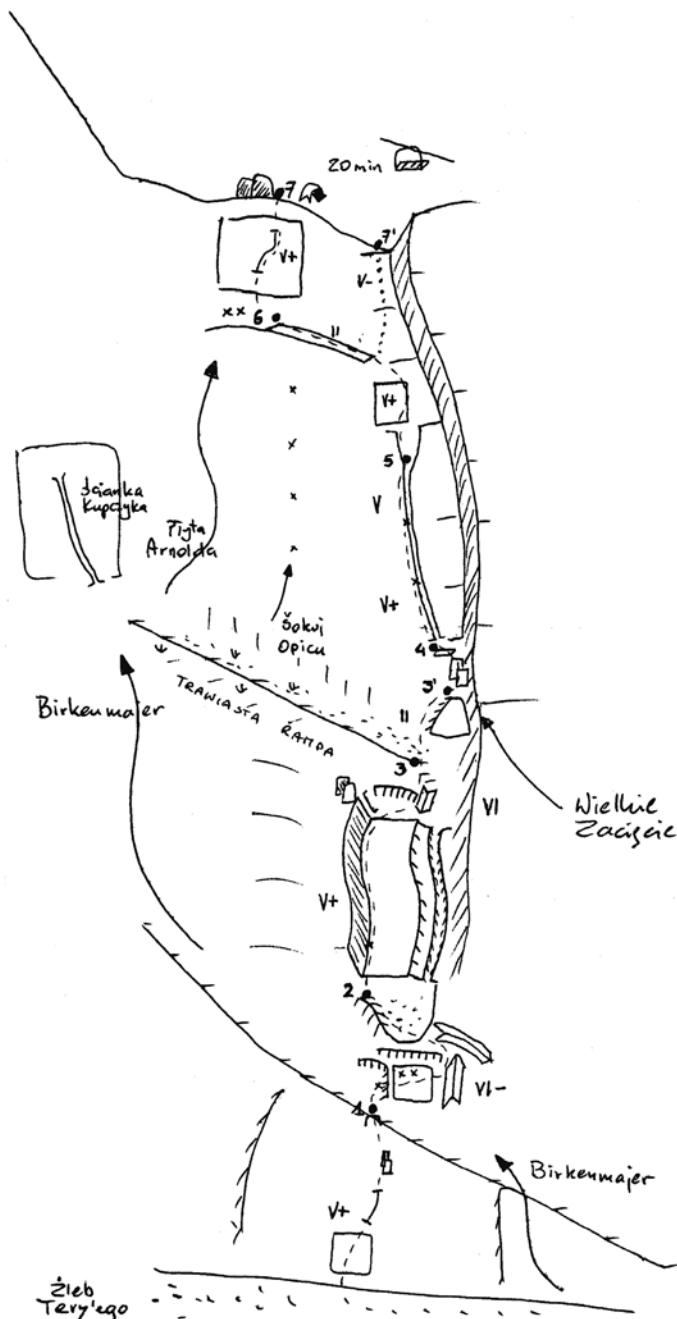
mi rampa, a my kierujemy się w górę, w prawo (II) na wyraźną platformę nakrytą przewieszkami i wielkimi płytami. Z platformy w prawo do zacięcia (V), po czym z powrotem w lewo na półeczkę pod imponujące i piękne pęknięcie w płytach. Wygląda ono groźnie, ale jest całkiem przystępne (V/V+) i umożliwia niezłą asekurację. Nad pęknięciem w prawo do zacięcia (V) i nim w górę wychodzimy na Ramię Łomnicy. Zejście po wyraźnych śladach do kolejki krzeselkowej. Zachęcam do przejść *Pukliny*, na której w przeciwieństwie do *Hokejki* nawet w piękny słoneczny weekend będziecie najpewniej jedynym zespołem.

Sprzęt: lina 55 m, kości i friendly, sześć haków (dwie fałki, rynna, dwa stiletto grube, łyżka)

Czas przejścia: 3–5 godzin.

Charakterystyczne zacięcie na 3. wyc. *Pukliny*, jeden z piękniejszych odcinków.
Fot.: Artur Paszczak.

uwaga:
wyciągi dla liny 60m





Wielka półka po 3. wyciągu, pod płytą rozpoczynającą właściwe *Pęknięcie* – czas na relaks. Fot.: Artur Paszczak.

Pęknięcie: Alicja wyłania się z zacięcia na 3. wyciągu.
Fot.: Artur Paszczak.



Czwarte stanowisko pośrodku *Pęknięcia*, bardzo widowiskowe. Fot.: Artur Paszczak.





Pęknięcie: ostatnie metry przed stanowiskiem po 4. wyciągu. Fot.: Artur Paszczak.



PEKNIĘCIE W PŁYCE



Wyjście w płytę na ostatnim wyciągu *Pęknięcia*.
Fot.: Artur Paszczak.

Pęknięcie: Alicja pokonuje ostatnie metry pięknego wspinania. Fot.: Artur Paszczak.



Droga Birkenmajera i Kupczyka, V+, 4,5h

Opracowanie Robert Nejman

Opis według przejścia z 12 września 2009, z Arkadiuszem Zegarem.

Podczas naszego przejścia droga była praktycznie całkowicie oczyszczona. Napotkaliśmy nie więcej niż cztery stare haki. Na wielu stanowiskach znajdują się stare, mocno rozkute hakodziury. Żeby z nich skorzystać, trzeba posiadać mechaniki o wąskiej główce np. camaloty C3, ballnuty lub krótkie i bardzo grube rynny.

Droga jest bardzo ewidentna orientacyjnie. Robiliśmy ją bez opisu (pierwotne plany były inne), a wiedząc jedynie, że zaczyna się w najniższym miejscu ściany, biegnie ewidentną formacją i wychodzi poprzez lej wierzchołkowy. Mimo to, nigdzie nie mieliśmy wątpliwości którądy iść.



Chwile radości na grani szczytowej. Alicja Paszczak, Zbyszek Skierski i Zbyszek Krośkiewicz po przejściu *Puskasa*.
Fot.: Artur Paszczak

Pomimo deszczu ze śniegiem, który towarzyszył nam na podejściu (i spowodował wspomnianą zmianę planów), kiedy pojawiło się słońce, skała okazała się całkowicie sucha. Jedyнным zaskoczeniem był prawie zupełny brak haków. Na drodze napotkaliśmy ich nie więcej niż cztery sztuki, w tym jeden na osławionej Ścianie Kupczyka.

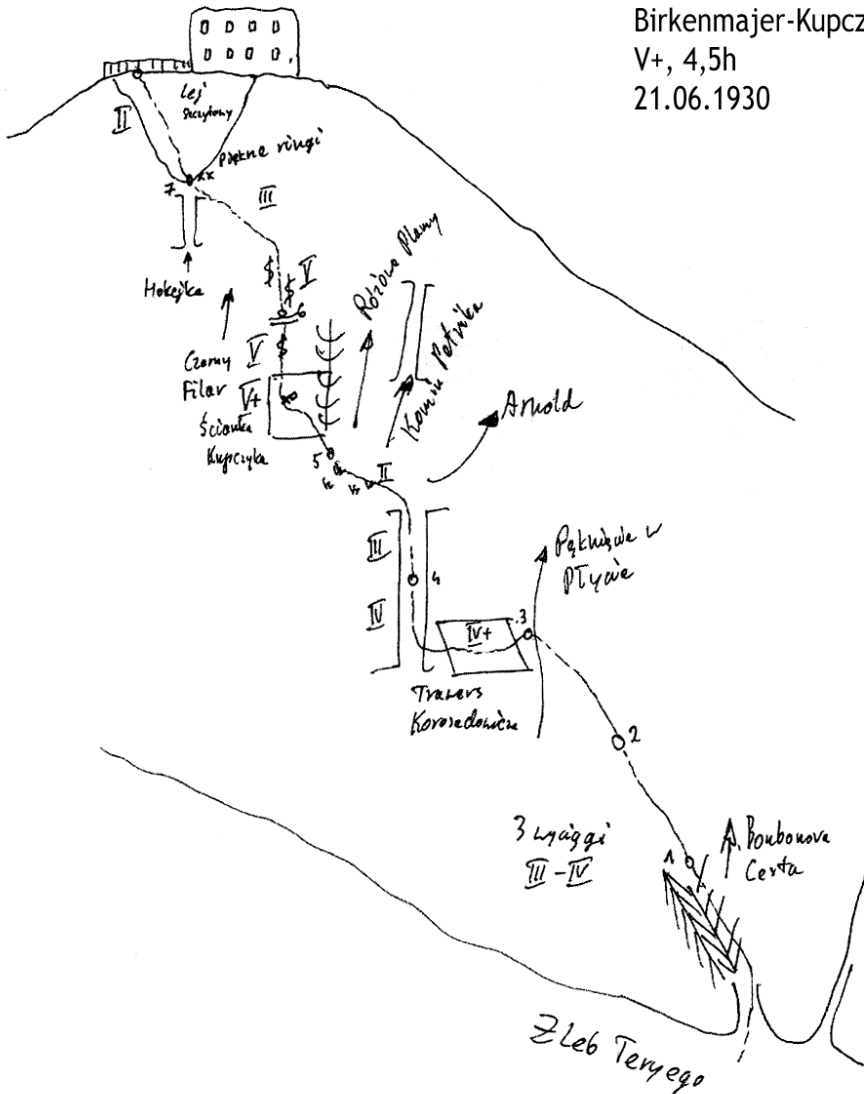
Na zachodniej ścianie Łomnicy jest wiele dróg ładniejszych od Birkenmajera, ale jest kilka argumentów przemawiających za wybraniem się i na tę drogę. Po pierwsze, jest to najdłuższa droga na najpiękniejszej, moim zdaniem, ścianie Tatr, pokonująca zarazem największą różnicę wysokości. Po drugie, przy ukośnym przebiegu daje znakomity wgląd we wszystkie linie znajdujące się na

prawo od Hokejki. I po trzecie, dla mnie akurat najważniejsze, jest to droga historyczna, dająca pogląd na to, jak wspinali się starzy mistrzowie. O ile trudności na ogół nie przekraczają czwórki plus, o tyle Ścianka Kupczyka naprawdę robi wrażenie. Nie jest to raczej ulubiona formacja wspinaczy z tamtych lat (lita płyta z wymyciami), a i możliwości asekuracyjne oferuje raczej skąpe. Od siebie dodam, że pokonując następnego dnia *Wielkie Zacięcie na Kieżmarskim*, trudności odebrałem jako w miarę podobne, aczkolwiek w znacznie większej ilości.

Sprzęt: długość liny dowolna, przy 60-tce wyszło osiem wyciągów w tym ostatni – w leju szczytowym – wspinaliśmy się równocześnie. Sprzęt: kostki, friendy, pięć-sześć haków (fałki, łyżki).

Czas przejścia: 3–5 godzin. V+

Birkenmajer-Kupczyk
V+, 4,5h
21.06.1930



Rys. Robert Nejman

Lato w północnej ścianie

Opracowanie Marcin Księżak

Wykorzystując dobrą pogodę, wraz z początkiem sierpnia zjawiłem się w Tatrach. Celem mojego krótkiego wyjazdu była północna ściana Małego Kieżmarskiego Szczytu. Za cel wybrałem *Direttissimę* VI+ w dolnej części ściany, w kopule szczytowej zaplanowałem natomiast zrobić drogę *Plska* VI.

Po przejechaniu tysiąca kilometrów (miałem po drodze kilka spraw do załatwienia) i dwugodzinnym podejściu dotarłem do schronu. Dobrze, że obsługa jeszcze nie spała, bo w trakcie podchodzenia okazało się, że mam rozładowane baterie w czołówce.

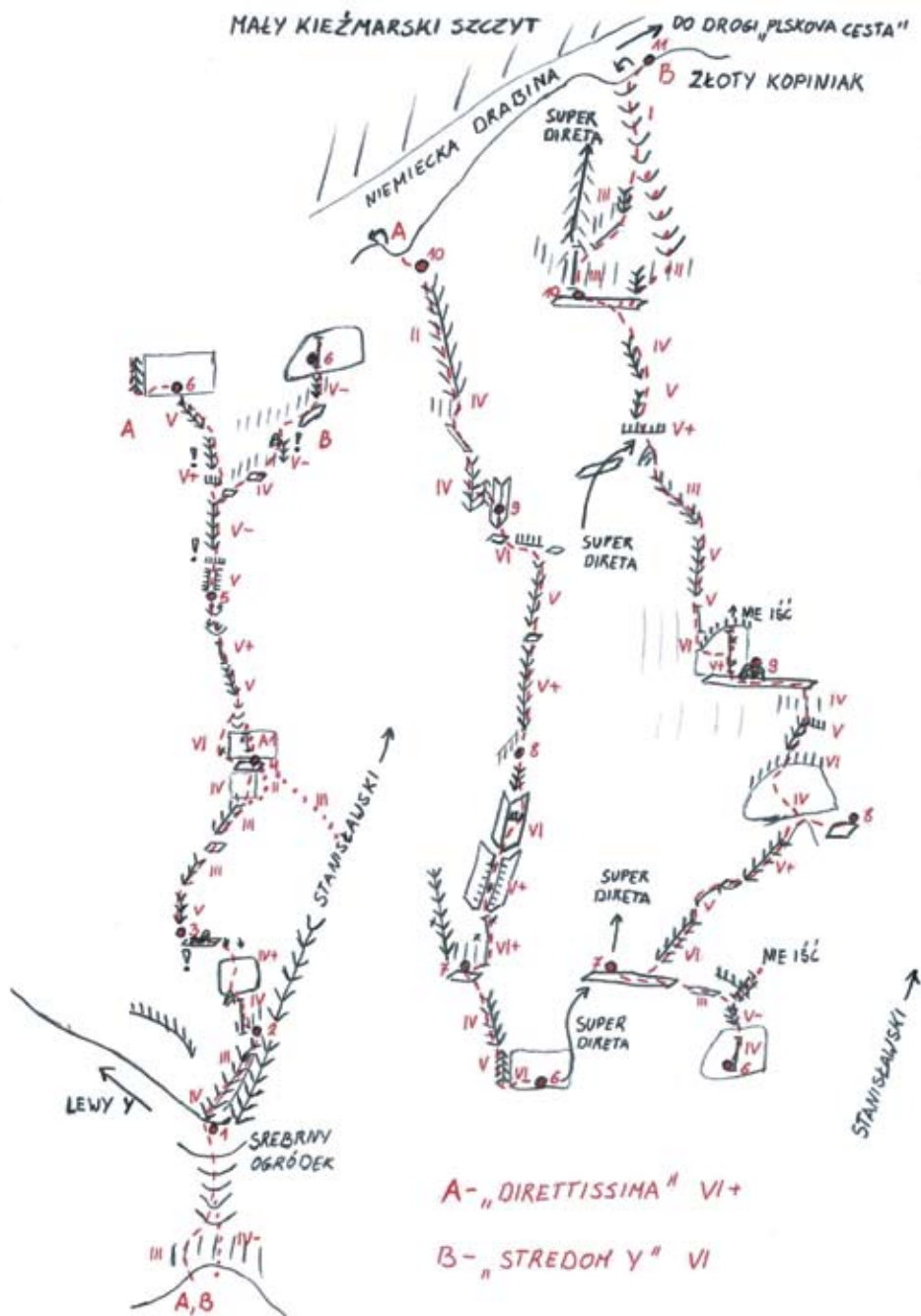
Poranek na podejściu pod ścianę przypominał piękno Tatr latem. Po trzech latach od ostatniej letniej wizyty w górach uświadomiłem sobie ogrom utraconych przeżyć. Brak zaznaczonego na schemacie startu (wejścia do srebrnego ogród-

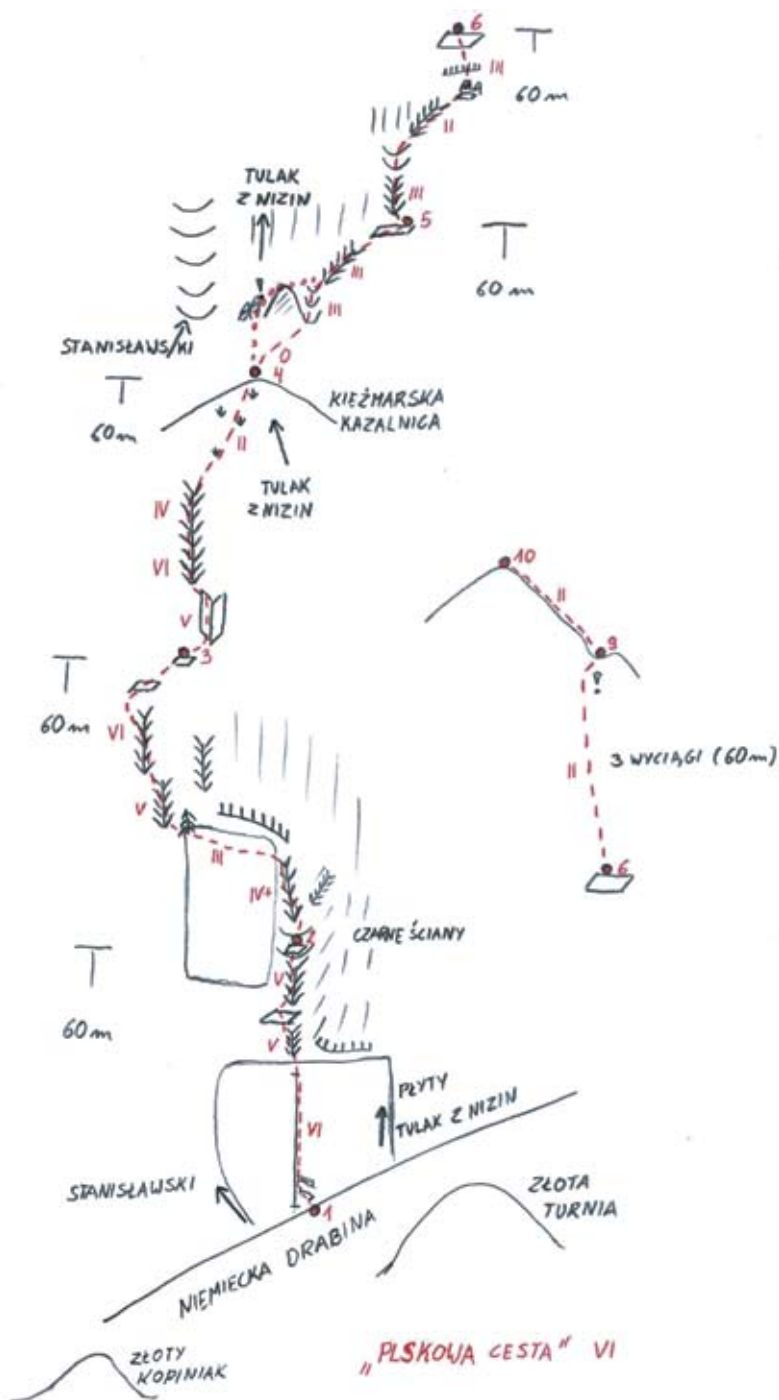


Popołudniowe słońce na przedostatnim wyciągu *Stredom Y*.
Fot.: Marcin Księżak.

Wodospady, w tle Durny szczyt. Fot.: Marcin Księżak.







ka) wprowadził mnie w błąd i przez to zrobiłem jeden wyciąg w złym kierunku.

Wyciąg powyżej Srebrnego Ogródka idzie tuż na lewo od *Stanisławskiego*. Od czwartego stanu wg mojego schematu zaczynają się obite jednym ringiem stanowiska. Tam też dochodzą mnie z boku Węgrzy, wariantem od Stanisławskiego, a od dołu gonią Słowacy. Węgrzy „stylem zachodnim” nie zwracają uwagi na fakt, że byłem pierwszy, tylko ładują mi się nad głowę. Problemy z komunikacją nie ułatwiają sprawy. Mój angielski na poziomie „Kali chceć banana” nie wystarcza. Nie odpuszczam, idziemy równolegle, ale na kolejnym wyciągu zaczynam przegrywać. Asekuracja podczas solówki zajmuje trochę czasu i nie ma czasu na odpoczynek. Odpoczynek równa się brakowi postępu. Plusem tej sytuacji było to, że nie musiałem się zastanawiać nad przebiegiem drogi, tylko nadążyć za prowadzącymi. Na szczęście nie pędzi-

li za bardzo. Jak się okazało był to instruktor z dwoma klientami.

Na kluczowym wyciągu urwałem chwyt w kominie. Na szczęście nie skończyło się to lotem. Na drodze jest sporo delikatnie kruchych miejsc.

Okolo godz. 16 byłem na Niemieckiej Drabinie. Zmęczenie nie nastrajało mnie do dalszej wspinaczki, a do tego zespół słowacki namawiał na piwo. Oczywiście charakter pogromcy strasznych urwisk nie dał za wygraną i po krótkiej przerwie wbiłem się w kopułę szczytową.

Wszystkie wyciągi robiłem w niej na pełną długość liny (60 m), co może być trudne dla zespołów z powodu przesztynnień. Szczególnie drugi wyciąg na *Plsku* trzeba będzie podzielić. Pierwsze trzy wyciągi są bardzo ładne i ciągowe, dalsza natomiast część drogi powyżej Kieżmarskiej Kazalnicy to spadające trudności i rosnąca kruszyna. Myślę, że lepszym wyjściem byłoby powyżej Kieżmarskiej Kazalnicy wrócić z po-

Kopiniaki i Jastrzębia. Fot.: Marcin Księżak.



wrotem na Diretę, ponieważ teren tam wyglądał bardziej wspinaczkowo.

Okolo pierwszej wylądowałem na szczycie. O zejściu nawet nie myślałem. Po zjedzeniu liofa poszedłem spać. Biwak tylko w dodatkowym primalocie był ciężki. W dygotach dotrwałem do świtu.

Miesiąc później znowu stanąłem pod Kieżmarem. Cele były ambitne. Ale już od początku jakoś nie szło. Do schronu dotarłem za późno, skończyło się to spaniem na ławce na werandzie. Gdy wstałem, nie wiedziałem, czy nam poczekać aż wstanie obsługa i pójść spać do łóżka, czy też iść się wspiąć. Powinienem zrobić to pierwsze...

Wbiłem się w *Maraton*, ale po kilku metrach zdecydowałem się zjechać, siadła psycha.

Dzień jednak nie może być zmarnowany, więc wszedłem w drogę *Stredom Y VI*, a znając początek zrobiłem go na żywca. Po trzecim wyciągu zacząłem się asekurować.

Tym razem w ścianie byłem zupełnie sam. Po około 5 m od rozdzielania od Direty polecam zespołom zrobić stan pośredni, ze względu na przesztynwienie. Taka sama sytuacja występuje na przedostatnim wyciągu.



Za plecami Hrana Weberovki. Fot.: Marcin Książak.

Droga ta jest mało chodzona. Stare haki są już mocno zardzewiałe, oraz występuje troszkę kruchości wielkoformatowej. Choćby odpeknięta turniczka, na którą wchodzi się zacięciem, gdzie jedna jego strona jest częścią tejże turniczki. Gdy wbijałem haka to całość dudniła.

Drogę skończyłem dość późno. Wspomniana wcześniej niedyspozycja wpłynęła na decyzję o zakończeniu wspinaczki w tym miejscu.

A dalej myślałem zrobić 400m drogę *Direkt – pilier VI+*. Gdy patrzy się na nią z dołu, wygląda pięknie.

Moga wystąpić problemy z prowadzeniem liny na niektórych wyciągach – mianowicie na *Stredom Y*, 6 wyc. Zespoły raczej powinny dzielić na pół, stanowisko na półce 4–5 m od rozdzielania z *Diretą*, oraz na 10 wyciągu może powstać taka konieczność to wtedy stanowisko w miejscu połączenia z *Super Direktą*.

Taka sama sytuacja na drodze Pska 2. wyciąg może być trudny do uciągnięcia.

Podsumowując, na północnej ścianie Małego Kieżmara jest kilka dróg o umiarkowanych trudnościach, które warto zrobić latem. Polecam następujące kombinacje:

- dół *Diretissima VI+* *Złotego Kopiniaka*, góra *Direkt – pilier VI+*,
- dół *Stredom Y VI*, góra *Plskowa cesta VI* do Kieżmarskiej Kazalnicy dalej *Diretissimą V* wg zdjęcia, a nie schematu (Jackovic), lub *Staniśławskim IV*.

📷 Zdjęcie z przejścia *Direty*. Fot.: Marcin Książak.



Gadanie do ściany

Tekst: **Jan Gondowicz**

Taternicy: skuci łańcuchem górskim.

Góry – objaw megalomanii Ziemi.

Trzeba dobrego pionu, by wykazać poziom.

Czuł się w górach wolny jak ptak.
Dlatego zniósł jajo.

Wciąż mam górskie ambicje:
zdobyć się na szczyt wszystkiego.

Wspinacze,
w trudnościach nie opuszczajcie rąk!

Kufel dnem do góry obrócisz tylko u jej stóp.

Nodze dalej do ręki niż ręce do nogi.

Wspinam się nową techniką,
a odpadam tradycyjną.

Z podsłuchanego dialogu:
„Jakby co, utrzymam cię, ale nie licz,
że będę cię utrzymywał”.

W Patagonii, na antypodach,
grawitacja powinna być w górę!

Górskie marzenie: kokosodrzewina.

Gdy ktoś mówi: „Wiem to z góry!”,
spytaj z jakiej, bo może z Baraniej.

Zabij haka w martwym punkcie!

„Góry na biegunach” – coś dla dzieci?

Dobrze obita ściana: żelazny repertuar.

Zjazd we mgle to nie bujanie w obłokach.

Śniła mi się przewieszka. Co na to freudyści?

Mróz ściska fachowo.

Fot.: Łukasz Supergan.



To był przełomowy rok dla polskiego wspinania sportowego. Pierwsze polskie 9a było wydarzeniem, o którym nie sposób było nie usłyszeć. Przejścia naszych klubowych koleżanek i kolegów, choć jeszcze nie spod znaku francuskiej dziewiątki, to jednak niewątpliwie w wielu przypadkach na tyle wartościowe, że ich autorzy zasłużyli, żeby o nich wspomnieć. Przede wszystkim na uwagę zasługuje przejście Kuby Ziółkowskiego, który pokonał na Kalymnos *O'Draconian Devil*, według najnowszych wycen prezentujące poziom 8c. Trzeba także wspomnieć o przejściu Stanisława Kieniewicza, który po raz kolejny przywiózł z Rodellar doskonałe przejście, tym razem na poziomie 8a+ na drodze *Familia Manson*. Aleksander Romanowski natomiast może pochwalić się pokonaniem w Fontainebleau problemu boulderowego Neverland 8a. Poza tym Olek ze swojego wyjazdu do tego rejonu przywiózł także dwie 7c+ i aż sześć 7c. Osemką-a mogą się także poszczycić Rafał Pawiński (Kalymnos, *Daniboy*, *Neska Polita*, *Orion*) oraz Rafał „Dzidek” Stefanowski (*Misja Pec*, *Samsara*). Wśród pań prym wie dzie Marysia Maciszewska, która na podczas pobytu na Kalymnos pokonała 7c+, na drodze *Arena*, a w międzyczasie z powodzeniem zmierzyła się z dwiema siódmkami-be (*Daphne*, *Gladiator*).

W minionym sezonie niemal nie było miejsca na wspinaczkowej mapie Europy, którego nie odwiedziliby członkowie KW. Rafał Pawiński poza swoimi pierwszymi 8a z Kalymnos przywiózł także dwie 7c+ oraz doskonały OS na drodze *Dolonas 7c*. Wspomniany wcześniej Dzidek podzielał trochę także w Rodellar i przywiózł z niego 7c+ i trzy 7c pokonane w stylu RP, a także dwie 7b założone bez znajomości drogi. Dużą popularnością cieszył się Margalef. W hiszpańskim zlepieńcu zasmakował Mariusz Bartosiewicz, który poprowadził flashem dwie 7b, ale przede wszystkim pokonał w oesie *Jam Session 7b+*. Poza tym w tym samym rejonie Radosław „Mały” Urbańczyk udowodnił, że poziom 7c nie jest mu straszny i pokonał dwie drogi o takiej wycenie. Na tym

Agneszka Cudna-Ryczer. Fot.: Wojtek Ryczer.

jednak nie poprzestał, bo swoją moc udowodnił także we włoskim Arco i słoweńskim Ospie, gdzie poprowadził dwie siódemki-ce. Ciekawe osiągnięcia w wykazie ma również Jan Kogut, który jak twierdzi nie miał szansy za dużo się powspinać w tym roku, ale mimo tego jeszcze w marcu udało mu się załoić w Albarracin boulder *Zombie* za 7c+. Latem w czeskich piaskowcach pokonał natomiast w drugiej próbie, w stylu PP, drogę *Vyšší Princip* o wycenie Xa (VI.3+). Dla osób nieświadomych specyfiki tamtejszego wspinania dodam, że to nie lada osiągnięcie.

Nie można zapomnieć o paniach. Świetnym wykazem może się pochwalić Ola Stańczak. Ola odwiedziła w tym roku Sardinie, Zillertal, Briancon, Ceuce oraz turecki rejon Geyikbayiri, z których przywiozła liczne 7a i 7a+ pokonane OS-em, a także 7b w stylu flash. Poza tym Ola ma w swoim wykazie wartościowe przejścia RP, między innymi *Legoland 7b* (Zillertal) oraz dwie 7b+ (*Pusht Bush*, *Black Moon* – Geyikbayiri). Agnieszka

Cudna-Ryczer, czołowa przedstawicielka pięknej klubowej pakerni, może pochwalić się natomiast swoją życiówką w stylu OS na poziomie 7a+/7b (*Coco Loco*, Rodellar) i jak sama twierdzi, uważa to za największe swoje życiowe osiągnięcie, choć ma na koncie już kilka jurajskich dróg na poziomie VI.4. Gratulacje należą się Agnieszce również za to, że mimo złamanego w czerwcu palca i przymusowego ponad miesięcznego restu, uzbierała na koncie również kilka siódemek-a.

Nie są to jednak jedyne sukcesy sportowe minionego sezonu. Już od jakiegoś czasu mówi się, że polskie wspinanie przeniosło się za granicę i brakuje spektakularnych przejść w naszym jurajskim mateczniku, to jednak o kilku należałoby wspomnieć. Żelaznym szponem może się pochwalić wspomniany wcześniej Rafał Pawiński, który poprowadził *Kurara* z *Lamanczy* VI.5+, *Murarza* 3 VI.5 i chyba najpopularniejszą drogę w tym sezonie – *Taniec Pająka* VI.5. Rafał wykazał się także mocnym OS-em na dro-

Kalymnos Odysey. Rafał Pawiński na *Lucky Strike* 7b OS. Fot.: Michał Łodziński.



dze *Bezdech na wydechu* VI.4. Kolejne sześć-piątki pojawiły się w wykazie Dzidka i Patryka Białokozowicza, którzy zmierzali się z *Montokwasem* 212 i *Świniami w kosmosie*. W jurajskiej glazurze zdecydowanie najczęściej zdziałał Janek Sokołowski, który poza *Czerwonymi światłami na Monte Cassino* VI.5+, wciągnął aż pięć VI.5, a całość okraślił *Trzema Łykami Nekrobiotyki* VI.4+/VI.5. Zaraz za Jankiem uplasował się Staszek Kieniewicz. Jemu również udało się zbierać aż pięć sześć-piątkowych pozycji, a także *Znikający Biceps* w stylu flash. *Znikający Biceps* ma VI.4+, ale Staszek po pokonaniu tej drogi odważył się zaproponować wycenę VI.3+. Olek Romanowski rozsmakował się natomiast w drogach autorstwa Kuby Rozbickiego, w jego wykazie padły *Tytanowe Implanty* i *Desant Gdański*. Olek poprowadził



El subnormal y su manager, 7c+. Wspina się Staszek Kieniewicz. Fot.: Bartek Sabela.



we flashu *Niemyte Dusze* VI.4+ i popularny, już wymieniany, *Taniec pająka*. Ta droga to również pierwsza VI.5 w wykazie Alka Barszczewskiego. Z kolei na drugą w swojej wspinaczkowej karierze VI.5 zapracował Mariusz Bartosiewicz, który „sieknął” *Greką Korbę*. Szlifowanie szpona na klubowej boulderowni zaowocowało też dobrym, jurajskim przejściem Radka „Małego” Urbańczyka, który pokonał *Omadown Direct* VI.5. Oczywiście panie również trochę podziały w wapiennym mydle. Na uwagę zasługuje przejście *Prostowania Powrotu Henia* VI.4 przez Dorotę Kopek. Marysia Maciszewska zmierzyła się z *Strzałem w Dziesiątkę* VI.4, a niecałe dwa miesiące później udowodniła swoją moc, prowadząc kolejne VI.4.

Grzechem byłoby nie wspomnieć o świetnych startach w zawodach wspinaczkowych członków KW. Przede wszystkim po raz kolej-

📷 Karolina Gurba na *Henio* VI.4 RP. Fot: Wojtek Ryczer.

ny swoją sportową klasę pokazał Olek Romanowski, który zajął drugie miejsce w III edycji Pucharu Polski w boulderingu oraz drugie miejsce w ogólnopolskich zawodach boulderyowych, odbywającym się w Katowicach Trafo Boulder Szpil. Olek otarł się o podium w mistrzostwach Polski w boulderingu oraz podczas lublińskich zawodów BoulderFest, zajął w obu przypadkach czwarte miejsce. Dużym sukcesem Olka było także zajęcie trzeciego miejsca w czwartej edycji warszawskiego BUW Balder. Świetne starty odnotował także Kuba Ziółkowski, który uplasował się na pierwszej pozycji w zawodach BUW Balder, na szóstą w mistrzostwach Polski w boulderingu, a także na siódmym, finałowym miejscu w Trafo Boulder Szpil. Należałoby również wspomnieć o Grzegorzu Naporze, który był szósty na BUW Balder. Na zawodach świetnie wypadła Agnieszka Cudna-Ryczer, dostając się do finału BoulderFestu, a także Ewa Załuska, która uplasowała się na piątym miejscu zawodów BUW Balder. Wiele innych członków naszego klubu, w tym kadry sportowej KWW, także

wielokrotnie zajmowało miejsca w pierwszej dwudziestce.

Nie chciałabym kończyć gorzkim stwierdzeniem, że mimo licznych sukcesów, w dalszym ciągu daleko nam do ogólnopolskiego poziomu wspinaczki sportowej, nie wspominając już nawet o poziomie europejskim. Nie popadałabym jednak w przesadny pesymizm, niewątpliwie pozytywnym jest to, że stara kadra najlepszych łojantów prawie nie stopniała, a pojawiło się kilka nowych nazwisk, które mają za sobą wartościowe przejścia. Co ważne, temat wspinaczki sportowej odżył na nowo w klubie, głównie za sprawą Kuby Ziółkowskiego, który wyszedł z inicjatywą utworzenia kadry sportowej KWW, której istnienie z pewnością ułatwiło start w zawodach naszych czołowych reprezentantów.

Na koniec chciałabym zachęcić wszystkich do przysyłania informacji o swoich najciekawszych przejściach do redakcji A/Zero. Chcielibyśmy napisać o Waszych najistotniejszych osiągnięciach, a nie zawsze do możemy dorzeć do wszystkich.

Łukasz Wolf na *Comando Cono 7b*. Fot.:



Wykazy, którym warto się dokładnie przyjrzeć:

Ola Stańczak

Sardynia:

- *Il guru* 7a OS
- *Power trio* 7a OS

Zillertal:

- *Legoland* 7b w drugiej próbie

Briancon:

- *Princesse moulinette* 7a OS
- *La seconde chance* 7a OS
- *Super balls* 7a+ OS

Ceuse:

- *La javanaise* 7a OS

Geyikbayiri, Turcja:

- *Black Moon* 7b+ RP
- *Pusht Bush* 7b+ w drugiej próbie
- *Kara yılan* 7b RP
- *Toros* 7b Flash
- *Nagelstudio Stereo* 7a+ OS
- *Fire Spire* 7a OS
- *Hortum* 7a OS
- *Sun express* 7a OS
- *Fight the butcher* 7a Flash

Marysia Maciszewska

Kalymnos:

- *Arena* 7c+ RP
- *Daphne* 7b RP
- *Gladiator* 7b RP
- *Kerveros* 7a Flash

Misja Pec:

- *Pleskavica* 7a RP
- *Svejk* 7a RP
- *Krvavica* 7a RP
- *Frenkova* 7a RP

Jura:

- *Strzał w dziesiątkę* VI.4 RP
- *Domator* VI.4 RP

Agnieszka Cudna-Ryczer

Rodellar:

- *Eliminator* 7a FL
- *Coco Loco* 7a+/7b OS

Dorota Kopce

- *Prostowanie Powrotu Henia* VI.4 RP

Kuba Ziółkowski

Kalymnos:

- *O'Draconian Devil* 8c RP

Mariusz Bartosiewicz na *którejo* z 7a na boulder de jon. Fot.:



Jan Kogut

Albarracin:

- *Zombie 7c+*

Labak:

- *Vyssu Princip Xa PP*

Rafał Pawiński

Kalymnos:

- *Daniboy 8a RP*
- *Neska Polita 8a RP*
- *Orion 8a RP*
- *Sirene 7c RP*
- *Dolonas 7c OS*
- *Alfredo-Alfredo 7b+ FL*
- *Spartacus 7b+ RP*
- *Alexis Zorbas 7b FL*
- *Daphne 7b OS*
- *Lucky Strike 7b OS*

Jura:

- *Kuchar z Lamanczy VI.5+ RP*
- *Taniec Pająka VI.5 RP*
- *Murarz 3 VI.5 RP*
- *Ekspres VI.4+ RP*
- *Bezdech na wydechu VI.4 OS*

Rafał „Dzidek” Stefanowski

Misja Pec:

- *Samsara 8a RP*

Rodellar:

- *Egocentrismo 7c RP*

Jura:

- *Montokwas 212 VI.5 RP*
- *Świnie w kosmosie VI.5 RP*

Stanisław Antoni Kieniewicz

Rodellar:

- *Familia Manson 8a+ RP*

Jura:

- *Taniec Pająka VI.5 RP*
- *Grek Korba VI.5 RP*
- *Kant Finansowy VI.5 RP*
- *Murarz 3 VI.5 RP*
- *Messer VI.5 RP*
- *Znikający Biceps VI.4+ (VI.3+) FL*

Alek Barszczewski

Jura:

- *Taniec Pająka VI.5 RP*
- *Ballada Pięknej Drogi VI.3+/VI.4 RP*

Sokoliki, Rafał Pawiński na *Nosie żubra* VI.4 RP. 

Fot.: Łukasz Gajewski.

- *Spotkanie z Mistrzem VI.4*
- *Taniec Pająka Wprost VI.4/VI.4+ RP*, druga próba
- *Kubanka VI.4 RP*

Mariusz Bartosiewicz

Margalef:

- *Jam Session 7b+ OS*
- *Gresca 7b+ RP*
- *Pitus i flautes 7b OS*
- *Crucigrama 7b FL*
- *Mar de Fons 7b FL*
- *Tropicana 7b RP*
- *Califato Coach 7b RP*

Jura:

- *Grek Korba VI.5 RP*
- *Młode Strzelby VI.4/VI.4+ RP*

Aleksander Romanowski

Fontainebleau:

- *Neverland 8a*
- *La Balance 7c+*
- *Fourmis Rouges 7c+*
- *Berezina 7c*



- *Alta 7c*
- *Coup de Lune 7c*
- *Vache Folle 7c*
- *Le Monono Exacerbe 7c*
- *Eclipse 7c*

Jura:

- *Niemyte Dusze VI.4+ FL*
- *Taniec Pająka VI.5 FL*
- *Desant Gdański VI.5 RP*
- *Tytanowe Implanty VI.5 RP*

Jan Sokołowski

- *Czerwone światła na Monte Cassino VI.5+ RP*
- *Golumek Konfucjusz Kurt VI.5 RP*
- *Mandala Życia VI.5 RP*
- *Kochanek z Czeremchowej Wprost VI.5 RP*
- *Jądra Ciemności VI.5 RP*
- *Kant Finansowy VI.5 RP*
- *Trzy Łyki Nekrobiotyki VI.4+/5 RP*

Patryk Białokozowicz

- *San Quentin VI.4 RP*
- *Lonstar VI.4 RP*
- *Solaris VI.4+ RP*
- *Świnie w kosmosie VI.5 RP*
- *Montokwas 212 VI.5 RP*



Rafat „Dzidek” Stefanowski na *Samsara 8a*.
Fot. Wojtek Ryczer.

Radostław „Mały” Urbańczyk

Margalef:

- *Fiesta Forte 7c RP*
- *Transilvania LI 7c RP*

Arco:

- *Disneyland 7c RP*

Osp:

- *Hobbit 7c RP*
- *Runo 7b+ RP*
- *Durango 7b+ RP*

Jura:

- *Omardown Direct VI.5 RP*
- *Solaris VI.4+ RP*
- *Supernova VI.4+ RP*
- *Flash Dance VI.4+ RP*



Aleksander Romanowski w trakcie przystawki.
Fot.: Wojtek Ryczer.

www.npm.pl



MAGAZYN
TURYSTYKI
GÓRSKIEJ



nowy poziom możliwości

A full-page photograph of a woman rock climbing a steep, textured cliff face. She is positioned in the upper-middle section of the frame, facing right and looking up. She is wearing a light-colored tank top, dark pants, and a climbing harness. A red rope is visible extending from her down towards the bottom of the frame. The cliff face is composed of light-colored, layered rock with some darker patches and small green plants growing in crevices. The background is a blurred view of the cliff's edge and some greenery.

Wspinaczkowa perta Stowenii

Tekst i zdjęcia: **Magdalena Nowak i Paweł Strzelecki**

Słoweński Osp to rejon znany na całym świecie. Przyjeżdżają tam ludzie z najbardziej odległych zakątków naszego globu po to, aby powspinać się w przepięknym wapieniu i zmierzyć z tamtejszymi klasykami. Jeśli jest w Polsce osoba, która jeszcze nie słyszała o słoweńskim wspinaczkowym raj, to albo dopiero rozpoczyna swoją przygodę ze wspinaniem, albo gardzi wszelkimi mediami zajmującymi się tematyką górską. Skąd taki wniosek? Gdyż to właśnie tam padło w tym roku pierwsze polskie 9a, poprowadzone przez Łukasza Dudka. Ciężko stwierdzić, czy jest to najpopularniejszy obecnie rejon, ale z pewnością ten, o którym najwięcej się mówiło w minionym roku.

Osp to niewielka wioska znajdująca się na słoweńskim wybrzeżu, nad którą króluje imponujący mur skalny. Stał się on kolebką słoweńskiej wspinaczki sportowej. Niecałe pół kilometra od wioski znajduje się drugi wapienny eden, niemniej znana Misja Peč. W odległości natomiast około pięciu kilometrów od Ospu znajduje się Črni Kal, który również słynie z fantastycznych skał. Bardzo dużym plusem jest fakt, że wszędzie jest blisko. Mieszkając na kempingu w Ospie, pod skały znajdujące się bezpośrednio nad wioską nie podchodzi się dłużej niż 10 minut. Maksymalnie 20 minut zajmuje spacer pod ścianę Misji Peč. Natomiast dojeżdżając autem do Črni Kalu, dojście pod najbliższe skały zajmie nam dosłownie parę minut.

W rejonie Ospu możemy wybierać między dwoma rodzajami wapienia. Pierwszy, to typowo westowy, żółty, charakteryzujący się długimi kaloryferami, pięknymi przewieszkami i przede wszystkim całkiem przyjemną w dotyku strukturą skały. Drugi, szary, znajdujący się w niższych partiach Ospu i Misji Peč oraz w wyżej położonym Črni Kalu, tworzy formacje przypominające naszą Jurę, jednak jest zdecydowanie bardziej szorstki, a co za tym idzie strasznie „wampirzasty” dla skóry.



Dzień restowy na kamienistej plaży w Piranie.
Fot.: Magdalena Nowak.

W Ospie znajdziemy piony oraz mniejsze i większe przewieszenia. Przeważają długie drogi jednowyciągowe, ale miłośnicy trudnych wielowyciągówek też znajdą tam coś dla siebie. W sumie te trzy rejony oferują nam ponad 600 różnorodnych pod względem wspinania dróg. Chcąc skorzystać z tego, co w Ospie najciekawsze, trzeba wspiąć się po drogach od 6c wzwyż. Można zaryzykować stwierdzenie, że to wymarzone miejsce dla osób na poziomie 7a, gdyż właśnie dróg o takiej trudności jest tam najwięcej. Nie oznacza to jednak, że osoby wspinające się po łatwiejszych drogach nie znajdą tam nic dla siebie. Sektory nad wioską oferują duży wybór pięknych

propozycji w przedziale od 6a do 6c, a w Črni Kalu znajdziemy też wiele dróg poniżej 6a.

Osp jest rejonem całorocznym, jednak z uwagi na przeważającą południową i południowo-zachodnią wystawę skał, w miesiącach letnich może tam być za gorąco. Warto wspomnieć, że zarówno Misja Peč, jak skały nad Ospem tworzą półkolisty cyrk, umożliwiający ucieczkę przed słońcem w trakcie dnia. Zdecydowanie najodpowiedniejsze do wspinania wydają się jednak wiosna i jesień.

Wybierając się do Ospu, należy pamiętać, że duża część dróg jest przygotowana pod siedemdziesięciometrową linę. Drogi są obite w bardzo komfortowy sposób, a ich wyceny adekwatne do trudności. Większość najbardziej wywieszonych dróg posiada zamontowane na stałe ekspresy, na wielu pozostałych niezbędne może okazać się posiadanie co najmniej dwunastu własnych.

Osp to fantastyczny rejon. Gwarantuje nam genialne wspinanie, świetne wino, zapierające dech w piersiach widoki, a usytuowanie także liczne atrakcje na dzień restowy. Jest to swoiste „must-see” na wspinaczkowej mapie Europy.

Położenie i Dojazd

Osp leży w południowo-zachodniej części Słowenii, blisko wybrzeża i granicy z Chorwacją. Miejscowość jest znakomicie skomunikowana, znajduje się bowiem w niewielkiej odległości od autostrady A1 Lublana-Koper w dolinie Ospy, nad którą góruje największy w Słowenii, otwarty w 2004 roku, wiadukt Črni Kal. Istnieje kilka wariantów dojazdu różniących się od siebie przede wszystkim sposobem przejazdu przez Czechy i/lub Słowację. My wybraliśmy popularną trasę przez przejście graniczne w Cieszynie, Brno, Wiedeń, Maribor i Lublana. Z warszawskich Kąbat :) jest to około 1175 km. Podróżując tym wariantem omijamy Słowację, co pozwala nam ograniczyć wydatki o jedną winietkę.

Noclegi

Okolice Ospu nie oferują niestety rozbudowanej bazy noclegowej. W samym centrum miejscowości znajduje się jednak dogodnie położony kemping Vovk, na którym rezydują głównie wspinacze. W deszczowe dni można tam nawet ładować na niedużej bulderowni. Podczas naszego pobytu, który przypadł na okres Wielkanocy, na kempingu ciężko było znaleźć choćby najmniejsze nawet wolne miejsce. Jako alternatywa istnieje również możliwość wynajęcia kwatery w jednej z pobliskich miejscowości. Są jeszcze inne, popularne wśród polskich wspinaczy możliwości noclegu, o których nie wypada jednak wspominać.

Zakupy

Po zakupy najlepiej udać się do Kopru (ok. 15 km), gdzie blisko głównej drogi znajdziemy typowo wielkomiejskie centrum handlowe. Po takiej wycieczce na pewno znów zatęsknicie za leniwą atmosferą Ospu. W samej miejscowości warto odwiedzić lokalną winnicę, gdzie za niewielkie

☞ Osp, wspinanie bezpośrednio nad dachami domów wioski. Fot.: Magdalena Nowak.



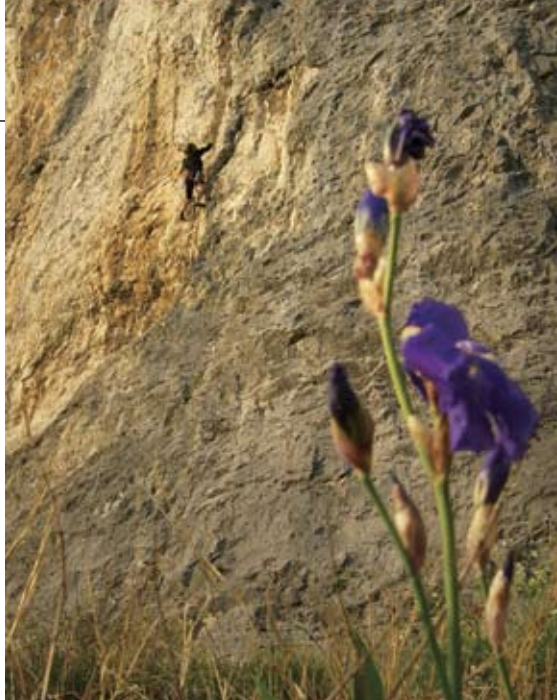
pieniądze można kupić znakomite młode wino. W kempingowym barze udało nam się również nabyć wypiekany na miejscu chleb. W poszukiwaniu sprzętu wspinaczkowego warto natomiast wybrać się do nieodległego Triestu.

Przewodniki

Na stronach coronn.com dostępne jest do ściągnięcia za opłatą topo opisywanego rejonu. W wersji papierowej do kupienia jest natomiast wielojęzyczny przewodnik wydawnictwa Sidarta – „Slovenija – Športnoplezalni vodnik”.

Jeśli nie wspinanie, to co?

Z atrakcji pozawspinaczkowych należy w szczególności polecić wycieczkę do Piranu, malowniczo położonego na wąskim półwyspie miasta, porównywanego nieraz, ze względu na swoją architekturę, do włoskiej Wenecji. Dzień restowy można również poświęcić na zwiedzanie Triestu, w którym to jednak starożytność przeplata się z nowoczesnością.



Vielka Stena, środkowa, najwyższa część skał nad Ospem. Fot.: Magdalena Nowak.

SZKOŁA ALPINIZMU W PIONIE



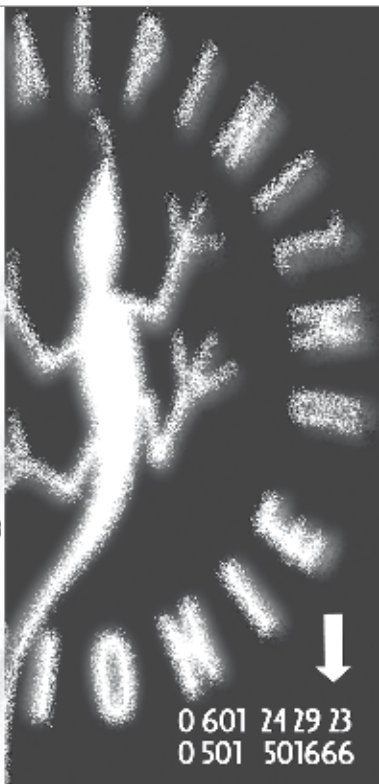
ZAPRASZA NA

➔ **NAJWIĘKSZĄ ŚCIANĘ WSPINACZKOWĄ
W CENTRUM WARSZAWY** UL. NOWOWIEJSKA 37B

➔ **KURSY WSPINACZKI NA SZTUCZNEJ ŚCIANIE,
W SKAŁKACH I W TATRACH**

WWW.WPIONIE.PL

Dla członków KW Warszawa 10% zniżki na kursy



0 601 24 29 23
0 501 501666



Jeśli nie miury to co?

Tekst: **Magda Nowak i Adam Latusek**

Fot.: Adam Latusek.

Czyli wszystko, co chcieliście wiedzieć o butach wspinaczkowych, ale baliście się zapytać

Ponad dwa lata temu kupiłem sobie buty Rock Pillars model Pearl. Były to wówczas jedne z tańszych butów z tych tzw. lepszych. Wtedy ci, co chcieli mieć przyzwoite buty za rozsądną cenę, wybierali między pearlami a rapami firmy Triop i mogli patrzeć z zazdrością na tych, co mają model Miura La Sportiva lub Anasazi 5.10. Moje nowe pearle były dość precyzyjne i dobrze stały w jurajskich dziurkach, ale ponieważ kupiłem je o rozmiar mniejsze niż ostatnio, były też ciasne i okropnie niewygodne. Dwa tygodnie później miałem jechać w Tatry. Dobrze pamiętam, jak stałem w nich w misce pełnej ciepłej wody, by rozciągnęły się choć na milimetr. Bez rezultatu. Wtedy zrozumiałem, że nie można mieć wszystkiego i co więcej szerokie spektrum funkcjonalności sprzętu musi wiązać się z szerokim spektrum tolerancji na frustracje i ból jego użytkownika.

Punkt 1.

By dokonać dobrego wyboru butów, należy zatem zadać sobie pytanie: do czego chce ich używać? Można tu wprowadzić kilka uogólnień w rodzaju: im dłuższe drogi chcemy prowadzić, tym wygodniejsze buty powinniśmy kupić oraz im trudniejsze i bardziej techniczne drogi czy nawet buldery, tym buty powinny być bardziej precyzyjne i dopasowane (czytaj ciasne). Warto zauważyć, że czołowi producenci prześcigają się w wymyślaniu coraz bardziej wyspecjalizowanego obuwia. Wystarczy porównać Vmlse 5.10 i Solution La Sportiva.

Punkt 2.

Problem pojawia się oczywiście gdy chcemy wspinąć się na drogach długich i trudnych albo będąc w Val di Mello nie możemy się zdecydować

czy buldering jest dość fascynujący by zrezygnować z dwu godzinnego podejścia pod drogę. (Oczywiście że jest :) Ale jeżeli mamy takie dylematy to znak, że czas kupić drugą parę butów. Jeśli natomiast nie mamy wciąż pierwszej patrz punkt pierwszy.

Punkt 3.

Jeżeli dotarliście tak daleko, to znaczy, że wiecie już do czego chcecie używać swoich butów i prawdopodobnie chcecie dowiedzieć się więcej, ale boicie się zapytać. O co?

- Czy trzeba się wspinać na wysokim sportowym poziomie, by kupić sobie buty za pięć stów?
- Czy na początek wystarczy najtańszy model, który po miesiacu trafi na dół szafki jako buty awaryjne?
- Czy wybór wiązania ma rzeczywiście takie znaczenie?

Jak się już pewnie domyślacie, sami musicie sobie odpowiedzieć na te pytania.

Wróćmy na chwilę do trudności. Wraz z trudnością pojawia się też zagadnienie precyzji i ta jako czynnik znalazła odzwierciedlenie w budowie buta, a konkretnie w jego symetrii. Znow, but bardziej asymetryczny jest zwykle precyzyjniejszy, oczywiście przy tym samym rozmiarze, ale niestety także mniej wygodny.

Inną ważną sprawą jest podeszwa, czyli właściwie guma podklejająca but. Tu również można zastosować pewne uogólnienie: im guma bardziej miękka, tym większe tarcie generuje i szybciej się zużywa, zatem buty na twardej podeszwie zostawcie sobie na panel, jeśli nie startujecie w zawodach.

Punkt 4 (ostatni).

Zakup. Ten zawsze jest poprzedzony przymiarką, przymiarką i jeszcze raz przymiarką. Jeśli są to wasze pierwsze buty kupcie but, w którym chcielibyście chodzić na co dzień, a następnie odejmijcie od 1 do 3 numerów w rozmiarze w porównaniu do zwykłych butów w zależności od tego, na jak trudnych drogach chcecie się wspinać. Nie jest to może najlepsza rada, ale pozwoli przełamać niektóre dogmaty i stereotypy na temat butów wspinaczkowych. Warto też wspomnieć, że magazyny o tematyce górskiej, co roku prezentują testy butów.

Niewątpliwie jest to dobry punkt wyjścia, żeby zorientować się, co jest dostępne na rynku. W żadnym wypadku jednak nie można tego traktować jako kompendium wiedzy na temat obuwia wspinaczkowego, bo póki samemu się butów nie sprawdzi, póty i tak nic na ich temat nie będziemy wiedzieli. Warto natomiast wysłuchać kilku opinii na temat różnych rodzajów butów. Na koniec pamiętajcie o dwóch rzeczach. Po pierwsze: wiele dróg nawet tych bardzo trudnych jak np. Wariant R na Mnichu czy jurajskich klasyków zostało poprowadzonych i to wielokrotnie w trampkokorkach.

A po drugie: Nie sprawiajcie sobie bólu, wspinanie ma być przyjemne.

Zapytaliśmy kilku czołowych przedstawicieli różnych dziedzin wspinaczki o ich doświadczenia z butami, więc jeśli nadal nie wiecie, jakie kupić buty...



Agnieszka Cudna-Ryczer

Wspina się od 10 lat, a od dwóch lat uwielbia powiedzenie Grzesia Sokołowskiego ...potężna dawka emocji.

Aga, jaki rodzaj wspinaczki odpowiada Ci najbardziej?

Najbardziej odpowiada mi wspinaczka sportowa w wersji letniej :) Niestety mam kiepską odporność na zimno i strasznie trudno jest mi się przebrać do zimowego wspinania.

Z jakiego osiągnięcia jesteś najbardziej zadowolona?

Pokonania pierwszej drogi o trudności VI.4. Z tego co sobie teraz przypominam, to rzeczywiście był niezapomniany przypływ euforii (jakby to Grześ Sokołowski powiedział potężna dawka emocji), aczkolwiek drugim ważnym osiągnięciem jest odblokowanie się na prowadzenie trudnych dla mnie dróg w stylu on-sight. Jest coś niesamowitego, kiedy każdy ruch na takiej drodze trzyma cię w napięciu.

W jakich butach do tej pory się wspinasz?

Na początku były korkery :) potem jakiś model saltików, następnie Five Ten – Anasazi Lace-Up, ale od kilku lat jestem wierna firmie La Sportiva. Modele takie jak Miura, Testarossa czy Solution są po prostu dla mnie wymarzone.

Móglabyś przyporządkować im od jednej do pięciu gwiazdek? 5 – świetne buty, 3 – dobre, ale lepiej być w szczytowej formie, mając je na nogach, 1 – doskonałe usprawiedliwienie każdej porażki, 0 – lepiej wspinąć się na bosaka.

Hmm, właściwie wszystkie modele La Sportivy przy takich kryteriach mogą spokojnie ocenić na 5. Jeśli nałożylibyśmy rodzaj wspinania, mam na myśli na przykład krótkie drogi sportowe, czy też wspinanie wielowyciągowe, to ocena troszkę by się różniła. Innych modeli nie jestem w stanie ocenić, ponieważ na nogach nie miałam ich od latnych kilku lat.

Powiedz, w takim razie dlaczego zasługują na 5? Wszystkie modele La Sportivy są niesamowicie precyzyjne. Super stoją zarówno na jurajskich dziurkach, jak i wstowych krawądkach, a wykorzystana guma Vibram XS Grip daje bardzo dobry komfort w stawaniu na tarcie. W modelu Solution świetna jest pięta, a wylana guma z przodu buta daje większą pewność przy podhaczaniu także wierzchnią częścią butka. Z kolei na drogi wielowyciągowe wzięłabym tylko miury, oczywiście ze względu na komfort :)

Teraz, hipotetycznie usuńmy element ceny ... jakie byś wybrała buty na chwilę obecną?

W ostatnim sezonie dużo wspinalam się w modelu Solution i sądzę, że na tę chwilę wybrałabym właśnie ten model.

A teraz z powrotem wprowadźmy element ceny: Niestety wszystkie modele są drogie, to wydatek pewnie w przedziale 450–500 zł, jednak najmniej wydamy na miury, które są najbardziej uniwersalne z rekomendowanych przeze mnie modeli. Pamiętam jak w Arco (Włochy) w 2008 w wakacje miury kosztowały 99 EUR, a kurs walutowy oscylował w okolicy 3,3 – to były piękne czasy.

Masz buty, które podklejałaś więcej niż raz? Jeśli tak to jakie?

Więcej niż raz, póki co podklejałam tylko miury. Przysnam, że z każdym podklejeniem but traci na precyzyjności i niestety wraz z użytkowaniem defasonuje się jego pierwowzór. Teraz będę się przymierzać do podklejenia Testarossów. Zobaczmy co z tego będzie.

Gdyby były odpowiednio większe i może na grubszej podeszwie, w których mógłbyś chodzić na co dzień, gdybyś musiała?

Będę konsekwentna – Solution.

Czy to znaczy że byłyby wygodne czy, że są po prostu są ładne?

Prześliczne!



Czy myślałaś kiedyś o zakupie wersji damskich? Co o nich myślisz?

Pamiętam, jak pojawiła się damska Miura, ale ja wtedy zaczęłam marzyć o Testarossach, więc wybór był jednoznaczny.

Czy w Twojej opinii są buty, które bardziej pasują na kobiecą stopę?

Damska Miura. Ciekawe, czy znalazł się mężczyzna, który zagustował w tym właśnie modelu :) Tak na poważnie w przypadku modelu Miura, to rzeczywiście mniejsza piętka uzupełnia komfort w poruszaniu się w tych butkach przez płec piękną. Oczywiście najważniejsze jest dobranie właściwego modelu do swojego rozmiaru i typu stopy.

Gdybyś teraz miała kupować swoje pierwsze buty, to jakie byś kupiła i dlaczego?

Z myślą, że na pewno się będę wspinać, to miury, a w przypadku, że jeszcze nie jestem pewna tej pasji, to korkery.



Artur „Paszczu” Paszczak

Wspina się od 23 lat. Ulubione powiedzenie wspinaczkowe: Jest robota do zrobienia.

Paszczu, jaki rodzaj wspinaczki odpowiada ci najbardziej?

Raczej techniczny niż siłowy, lubię rysy.

Z jakiego osiągnięcia jesteś najbardziej zadowolony?

Z tego, że przeżyłem niefrasobliwe początki i nawet za bardzo się nie połamałem.

W jakich butach do tej pory się wspinałeś?

W korkerach polskich, korkerach słowackich (potem podklejonych gumą Boreala), wreszcie w 5.10 Encore (rok 1990), potem pozostawałem tej marce wierny, choć używałem też Boreali i Mythosów, a ostatnio Mad Rocków i Evolvów.

Mógłbyś przyporządkować im od jednej do pięciu gwiazdek? 5 – świetne buty, 3 – dobre, ale lepiej być w szczytowej formie, mając je na nogach, 1 – doskonale usprawiedliwienie każdej porażki, 0 – lepiej wspinać się na bosaka.

5.10 to buty na 5, co do pozostałych to mogę jedynie powiedzieć, że choć nie dorównują pięćdziesiątkom, to jednak nie są na tyle złe, aby móc je winić za moje porażki.

Dlaczego oceniasz 5.10 na 5?

Anasazi to buty wygodne i uniwersalne, a – na moim poziomie wspinania – te cechy cenię najbardziej.

Teraz, hipotetycznie usuńmy element ceny. Jakiego byś wybrał buty na chwilę obecną?

Anasazi Lace Up.

A teraz z powrotem wprowadźmy element ceny.

Nadal Anasazi.

Masz buty, które podklejałeś więcej niż raz? Jeśli tak to jakie?

Podklejałem wszystko jak leci.

Gdyby były odpowiednio większe i może na grubszej podeszwie, w których, mógłbyś chodzić na co dzień, gdybyś musiał?

W Anasazi Velcro.

Czy to znaczy że byłyby wygodne czy po prostu są ładne :)?

Rzecz jasna ze względu na wygodę, nie przesadzajmy z tą urodą...

Czy mimo to zdejmujesz je na stanowiskach?

Nie.

Na pewno czasami wspinasz się w skarpetkach, gdy jest zimno, myślisz o tym przy doborze buta? Przede wszystkim jego rozmiaru?

Generalnie dziele buty na skalowe i górskie, te drugie mają być wygodne i umożliwić noszenie skarpetek.

Gdybyś teraz miał kupować swoje pierwsze buty, to jakie byś kupił i dlaczego?

Anasazi Lace Up – to dla mnie but bliski ideału, używam ich najdłużej ze wszystkich.



Rafał „Dzidek” Stefanowski

Wspina się od 13 lat, ulubione powiedzenie wspinaczkowe: Tak stoisz jak się trzymasz.

Dzidku, jaki rodzaj wspinaczki odpowiada ci najbardziej?

Trudne, ładne, wymagająco-poniżające drogi sportowe w skałach i górach.

Z jakiego osiągnięcia jesteś najbardziej zadowolony?

Z tego, że załadunek (red. czytaj trening) w KWW tak mnie wyzwał z techniki, że jestem w stanie nawet IV-kowy, zamasywały komin przerobić na wywieszony pasaż po dwójkach. A jak nie muszę się wspinać w kominach, to jestem w stanie zrobić takie drogi jak Powitanie Wiosny VI.5+/6, Udręka i Ekstaza VI.5+ albo Pandemonium VIII+ , 250



m (Hollentall). Tam był raz komin IV+/V- bardzo trudny, dwójka ledwo co siadała :)

W jakich butach do tej pory się wspinasz?

One sport, Mammut – jakaś baletka, La Sportiva Mistral, La Sportiva Miura.

Mógłbyś przyporządkować im od jednej do pięciu gwiazdek? 5 – świetne buty, 3 – dobre, ale lepiej być w szczytowej formie, mając je na nogach, 1 – doskonale usprawiedliwienie każdej porażki, 0 – lepiej wspinąć się na bosaka.

One sport, Mammut**, Mistale**, Miura*****.*

Dlaczego Miura zasługuje na pięć gwiazdek?

Precyzyjne (w Polsce super stoją w dziurkach), z dobrym tarcie, wygodne (można wytrzymać kilka godzin na wielowyciągówkach bez ściągania), są z naturalnych materiałów, więc nie śmierdzą tak jak saltiki, mają bardzo dobre wiązanie, no i są całkiem szpanerskie. Oczywiście jest to całkowicie subiektywna ocena.

Teraz, hipotetycznie usuńmy element ceny. Jakiego byś wybrał buty na chwilę obecną?

La Sportiva Miura z cholewami, w których mógłbym schować na przykład miniaturowy tomik poezji albo nunchako.

Grubo! :) A teraz z powrotem go wprowadźmy.

La Sportiva Miura oddaje oryginalne sznurówki, które się przecierają. Żądam zwrotu 20% ceny butów, bo kupuje repik 2 mm, długości 1,m i jestem na luzie jak Zorro:)

Gdybyś musiał wspinąć się tylko w jednym bucie np. w takim Ospie, to jaki jeden but byś zabrał?

Szpilki Christiana Laboutina. Lubię na leście zadawać szyku, czyli w tym przypadku szpilka. Masz buty, które podklejałeś więcej niż raz?

Tak, kazałem sobie podkleić Miury pięć razy, tak żeby dłużej wytrzymały, ale przy 20 mm gumy to już nie czułem na czym stałem, więc teraz uważam, że raz podklejone są ok, chociaż krócej wytrzymują.

Gdyby były odpowiednio większe i może na grubszej podeszwie, w których mógłbyś chodzić na co dzień gdybyś musiał?

Nie rozumiem... Ja nie mam innych butów! :)

Ok, raz mi mama na komunię kupiła pantofle.

Dalem je od razu do podklejenia – Vibram® XS Grip 4 mm.

Masz je nadal, używasz?

Oczywiście, że nie, są bardzo użyteczne można je przyłożyć do ucha i szumią jak muszla z Morza Tyrreńskiego. Można też zrobić z nich naszyjnik albo kolczyki, ewentualnie używać jako paleczek do chłiszczyny.

Gdybyś teraz miał kupować swoje pierwsze buty to jakie byś kupił?

Trampokorki, bo robi się fajne dziury korkami na pięcie. Czujaw!

Dawno się tak nie uśmieiałem, dzięki :)



Aleksander Romanowski

Nie pamięta już jak długo się wspina, ulubione powiedzenie wspinaczkowe: Tonący brzydko się chwyta.

Olku, jaki rodzaj wspinaczki odpowiada ci najbardziej?

Najbardziej lubię ładne wspinanie.

Z jakiego osiągnięcia jesteś najbardziej zadowolony?

Urodziłem się we wrześniu i to jest moje największe osiągnięcie.

Szacun! W jakich butach do tej pory się wspinasz? *Jocker Saltic. Ninja i Indo Boreala. Cobra, Miura, Katana, Testarossa La Sportiva. Anasazi na rzepy i sznurowane 5.10. Coś tam Tenaya. Flash Mad Rocka.*

Mógłbyś przyporządkować im od jednej do pięciu gwiazdek? 5 – świetne buty, 3 – dobre, ale lepiej być w szczytowej formie, mając je na nogach,

1 – doskonale usprawiedliwienie każdej porażki, 0 – lepiej wspinąć się na bosaka.

*Saltic Jocker***, *Boreal ninja*** i *indo***, *Cobra*****, *Miura******, *Katana******, *Testarossa****** *La Sportivy*. *Anasazi na rzepy***(*)* i *sznurowane***(*)* – na jurajskie mydło cztery gwiazdki. Coś tam *Tenaya*****, *Flash Mad Rocka**.

Dlaczego Miura i Testarossa otrzymały pięć gwiazdek?

Lepsze dostałyby zero gwiazdek, bo ich używanie byłoby nieetyczne! Gorsze? Prosta sprawa, dostały cztery gwiazdki. Jak widzisz nie miałem wyboru.

Teraz, hipotetycznie usuńmy element ceny. Jakie byś wybrał buty na chwilę obecną?

Testarossa.

A teraz z powrotem wprowadźmy element ceny.

I tak La Sportivę, ale może tańsze Katany albo Cobry.

Kiedyś słyszałem, że pojechałeś na bulderownię i zabrałeś tylko jeden but, mimo to robiłeś większość bulderów. To prawda?

Nie pamiętam tej historii, ale mogę opowiedzieć fajniejszą.

Gdybyś jednak miał wspinąć się na przykład w Albarracín w jednym bucie, to jaki byś zabrał?

Tam bym się z jednym w ogóle nie wybierał.

Masz buty, które podklejałeś więcej niż raz? Jeśli tak to jakie?

Podklejałem zawsze jeden raz, ale o ile mi wiadomo, do wielokrotnego nadają się na przykład miury.

Gdyby były odpowiednio większe i może na grubszej podeszwie, w których mógłbyś chodzić na co dzień, oczywiście gdybyś musiał?

Zawsze marzyłem o trampkach na rzepy, więc wybrałbym Bambę Boreala.

Czy to znaczy, że są Twoim zdaniem wygodne czy po prostu są ładne :)?

Ani jedno, ani drugie, jeśli je widziałeś, to wiesz o co chodzi.

Gdybyś teraz miał kupować swoje pierwsze buty to jakie byś kupił i dlaczego?

Chętnie wymienię ci konkretny model czy markę. Sądzę, że na początku nie ma to bardzo dużego znaczenia, więc lepiej kupić tanie buty. Raczej nie powinny być bardzo asymetryczne ani też za miękkie lub za twarde. Dobry sprzedawca na pewno pomoże w wyborze.

ONSIGHT

Centrum Wspinaczkowe

Hala Sportowa Kero
Warszawa, ul. Obózowa 60

zapraszamy codziennie od 10⁰⁰ do 22⁰⁰

dojazd z Centrum tramwajami: 1, 12, 13, 20, 23, 24
przystanek: Magiacka



Tekst: **Grzegorz „Gelo” Mróz**

Obóz letni KWW w Dolomitach

Na przełomie lipca i sierpnia, w oparciu o zaplecze Cortiny, działał obóz KW Warszawa.

Dołomity jak zwykle zagwarantowały świetną pogodę z dwoma dniami restowymi na przełomie turnusów.

O ilości wypitej kawy, doskonałego wina, czy też kilogramach spożytej pizzy nie będę się rozpisywał, bo to nie czas i pora.

Celem działalności były zarówno odległe szczyty, jak i wierzchołki dostępne z przełęczy Falzarego i Giau.

Z wiadomości praktycznych trzeba wspomnieć, że samochód jest tu raczej koniecznością, która zapewnia pierwszeństwo na popularnych drogach. A trzeba przypomnieć, że Dołomity lubią postraszyć kruszyną i to nawet na popularnych klasykach. Tym razem jednak latające kamienie były łaskawe dla klubowiczów, choć może z małymi wyjątkami :-)

Idealnym terenem do zapoznania się ze strukturą specyficznej odmiany wapienia jest rejon Cinque Torri.

Wiele zespołów atakowało z pozytywnym skutkiem takie drogi jak: *Olga*, *Armida*, *Miriam*, *Zaciecie Północne* na Torre Romana, *Rysa Dimałów*.

Równie popularne drogi w innych rejonach to:

- *Niewinne ucieczki w lewo* V, Monte Popena Basso
- *Pierwszy raz Martiny* VI+, M. Popena
- *Zaciecie Mazzorany* IV, M. Popena
- Filar Południowy Comicio na Torre Piccola di Falzarego, V w Grupie Fanis;
- Filar Południowy Punta Alpini wprost, V grupa Fanis;
- Masyw Lastoi di Formin, Torriente Marcella ściana zach. Paolo Amedeo Dibony V+;
- *Sas Di Stria* IV+

Piotr Napieraj i Wojtek Nowicki uporali się z klasykiem Cima Piccolissima di Lavaredo Preuss V 230 m.

Jacek Kierzkowski i Ryś Kuzdrowski naparli na Grupę Tofany di Rozes, Filar Południowy Bonattiego *Della Tridentina* VI.

Dosyć aktywnie działali uczestnicy obozu „obciążeni” rodzinami. Michael De La Rue zaliczył *Filar Joriego V/ Punta Fiamas*, a z Markiem Błaszczykiem i Pawłem Majkutem: *Qui-zi VI-*, *Ultimo Spirito*; z Maćkiem Malickim (UKA): *Demuth VII*, *Cima Ovest di Lavaredo*

i kombinację *Potel* oraz *Bernardi-Kuhlbacher VI+* oraz *Lagazuoi Piccolo*.

Marcin Chmieleński jak zwykle w ekspresowym tempie pokonał: *Constatini - Gedhina* na Tofanie Di Roses, *Kasnafop* na odległej Selli i *Spitagorasa*, którego również przeszli Ludomir Zalewski i Łukasz Lewandowski.

Paweł Przybysz z Markiem Czyżewskim tak delektowali się pięknem wspinania, że postanowili spędzić biwak pod gwiazdami po przejściu Trzeciego filara Tofany.

Zaciecie sportowe na miarę Dołomitów wykazali Andrzej Szypowski i Mateusz Zabłocki, którzy zrobili w dwa dni *Schwalbenschwanz* 6a na Marmoladzie oraz wraz z Wojciechem Muszyńskim *La Grande Guerra* na Castalato VII+.

Dla uzupełnienia monografii filarów Tofany dodam, że i pierwszy filar został zaliczony, chociażby przez zespół Albert Niedźwiecki i Marcin Osipiak.

Nie sposób wymienić wszystkich przejść podczas tych dwóch tygodni, ale na pewno trzeba przyznać, że Dołomity to bardzo gościnny rejon, gdzie każdy znajdzie swój kawałek skały począwszy od doskonale obitych skałek, po ogromną i dziką południową zerwę Marmolady. Wspinania jest tam tyle, że wystarczy na kilka wcieleń według religii hinduskiej.

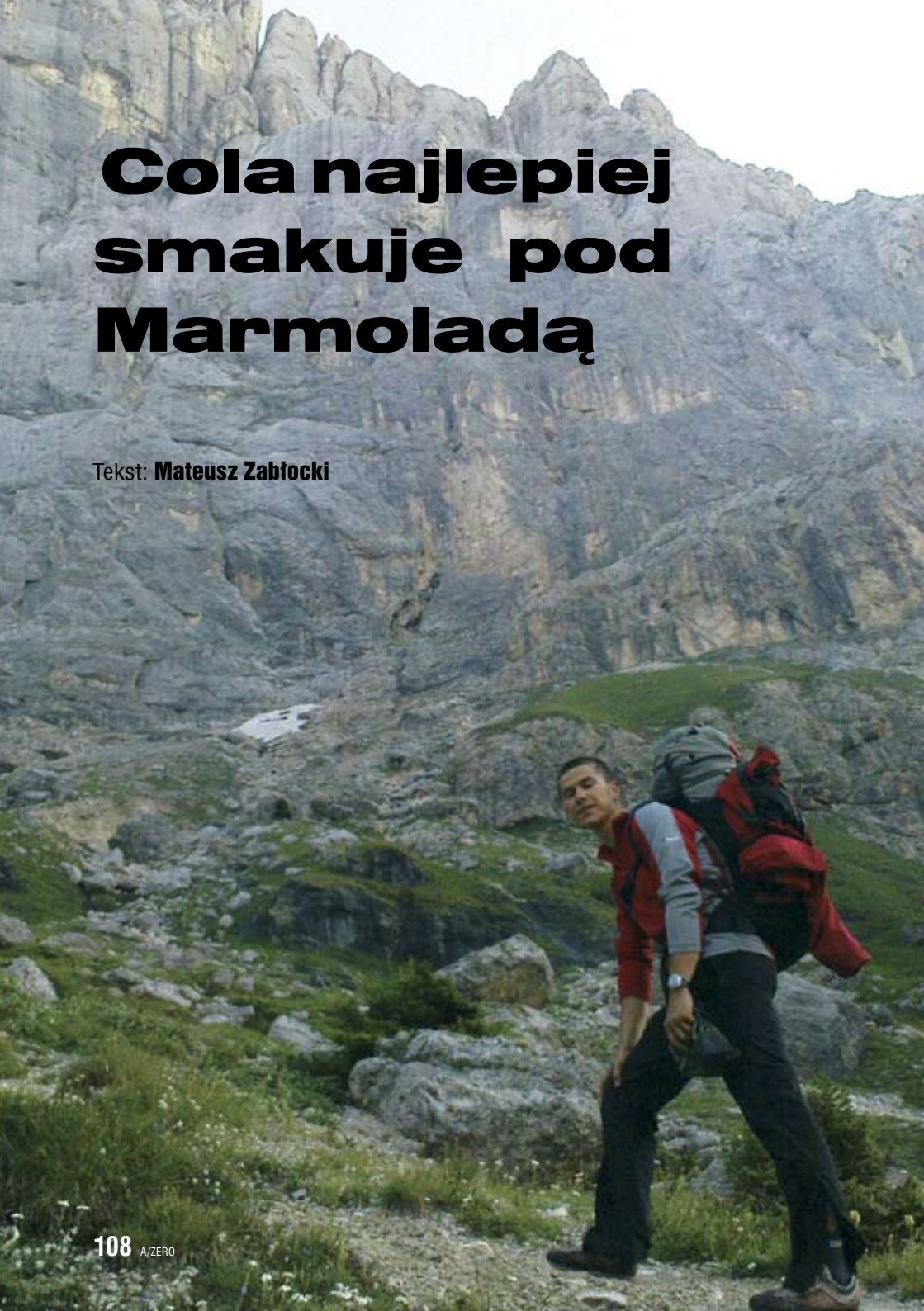
Dla tych, którzy nie mieli szansy zapoznać się ze specyfiką rejonu, przypomnę o konieczności posiadania i używania kasku nawet w skałkowym rejonie, jakim jest Cinque Torri.



Fot.: Wojciech Nowicki.

Cola najlepiej smakuje pod Marmoladą

Tekst: **Mateusz Zabłocki**



Obóz w Dolomitach był dla Andrzeja i mnie pierwszą okazją do górskiego wspinania poza Tatrami. Właściwie nie mieliśmy zbyt dużo czasu na przygotowania, choć wyjazd planowaliśmy od dawna. Z różnych relacji wiedzieliśmy, że góry to kruche, zejścia często nieoczywiste, a trickamy siadają doskonale. No, ale przecież nie wiedzieliśmy co nas czeka...

Do Cortiny dojeżdżamy w nocy. Ponieważ jest ciemno i nic nie widać, idziemy spać. Dopiero rano wychodzi na jaw cała prawda: dookoła są duże ściany, niebo jest błękitne, powietrze ciepłe – wszystko zgodnie z planem. Z namiotów powoli zaczynają wyglądać klubowicze, ledwie słyszalnym pomrukiem witając nas na obozie. My zaś po raz pierwszy przeglądamy przewodnik.

Na pierwszy cel wybieramy drogę Comicio-go na Punta di Frida. Osiem wyciągów, wycena VI-, wygląda ok. Przy tym nazwisko autora pobudza wyobraźnię. Pod ścianą zjawiamy się koło godz. 14. Wszystko jakieś takie duże, pomarańczowe, nowe. Jeszcze nie zdążyliśmy się oszpeić, a już trzeba było zrobić unik przed spadającymi kamieniami. Zaczy, że trzeba uważać. Wspinanie jest niby ok, ale jakoś krucho, mało pewnie. Ruchy łatwe, ale ciągle mamy wrażenie, że góra się osypuje. Zejście też jakieś takie dziwne – wycenionym na III opadającym trawersem, a potem zjazd. Trochę to eksponowane, kurczę blade...

Następnego dnia przymusowy rest – z włoskiego nieba leje się woda. Część warszawskiej ekipy wspina się sportowo, a my próbujemy zaplanować kolejny cel. Jeszcze przed wyjazdem myśleliśmy o Marmoladzie. Nieśmiało pytamy doświadczonych klubowiczów o ich opinie. No i okazuje się, że jutro to lepiej nie, bo będzie mokro, że to poważne, że wysoko, że lot, noga, helikopter, problem. Myślimy, dumamy, roztrzaskamy. „Skoro po tej ścianie goście młodszy od nas zrywają, to nie może być aż tak trudna”, staramy się szukać argumentów. Kupujemy przewodnik – i tak się przyda. Na zdjęciach ściana wygląda niesamowicie... Zachodzimy do informacji turystycznej po prognozę pogody. Okazuje się, że jutro ma być ładnie, potem coraz słabiej. A zatem albo jutro, albo wcale. „Będzie pan zadowolony”, mówi Andrzej i wszystko staje się jasne. Jeszcze tylko szybka pizza i w drogę.

W strugach deszczu mijamy kolejne przełęcze. Pada i pada, beznadziejnie... Wierzyć się nie chce, że ściana może być sucha, ale przecież teraz nie zawrócimy, no bo jak to tak, tak nagle... Jedziemy więc dalej, licząc na coś, na co w obliczu nienadających wycieraczek liczyć nie wypada. No ale liczymy i się doliczamy, a w każdym razie się nie przeliczamy. O 23 jesteśmy na campie, dwie i pół godziny od ściany, a spotkani koledzy Andrzeja twierdzą, że tam nie padało. Niesamowite... Na niebie gwiazdy, wygląda na to, że będziemy się wspinać! Szybkie rozstawianie namiotu, pakowanie, jedzenie. Jeszcze trzeba wybrać drogę! Decydujemy się na *Schwalbenschwanz*, bo to tylko 6a, za to aż 25 wyciągów i dość blisko popularnego *Don Kichota*. Zostaje przerysowanie schematu i można iść spać. Byle szybciej, bo już po północy.

Nowy dzień witamy o trzeciej dwadzieścia. Jemy śniadanie i próbujemy uwierzyć, że to naprawdę. To Marmolada, 900 metrów wspinania, kawał góry! To coś zupełnie innego niż Mních czy Kościelec. Zaczyna się przysyga!

Jest ósma, gdy jesteśmy gotowi pod ścianą. Trochę późno, ale cóż... Nad nami nasz cel – wygląda uroczo, nie powiem. Kilka zespołów robi nieopodal *Don Kichota*, jeszcze dalej ktoś coś innego. Wbijamy się i jest ok. Spieszymy się jak umiemy, ale to nie takie proste. W lewo czy w prawo? A może w górę? Nie, w górę to nie... Zabłądziłem? Dlaczego to jest takie wielkie? Kilka pierwszych wyciągów biorę ja, a Andrzejowi przypada plecak. Potem zmiana. Pogoda jest ładna, widoki też, ekspozycja robi wrażenie. Zanim dochodzimy do wielkiego tarasu w połowie ściany, przechodzimy przez dziurę w okapie. No to już jest coś niesamowitego, kto wymyślał te formacje? Na tarasie pięć minut odpoczynku. Coś nam się wydaje, że nie zdążymy na ostatnią kolejkę. Droga opisana jest na osiem-dziesięć godzin, ale dla nas to jakiś ponury żart. Cóż, najważniejsze, że do mierzczy jest jeszcze sporo czasu, na pewno damy radę.

Kolejne wyciągi to moja walka. „To ma być IV?”, powtarzam co chwilę, próbując pokonać niewygodną ryś. „Ta formacja jest jakaś dziwna, nic nie siada, dlaczego mamy tylko dwa trickamy?”. Potem V+, no nie, to już przesada, miało być komfortowo i przyjemnie. Albo

ja robię coś dziwnego, albo autor wyceny zrobił coś dziwnego, albo to wspinanie jest jakieś dziwne. W każdym razie trochę się dziwię. O, a jacy zdziwieni jesteście po kolejnym wyciągu, kiedy zupełnie nie mamy pojęcia którędy dalej! Andrzej próbuje tędy, potem owędy, to na wprost, to trawersem. W końcu udaje mu się przejść trudny odcinek. Tylko że ja z plecakiem nie jestem w stanie tego powtórzyć. Nie dam rady i tyle. I tak już się ściemnia, trzeba szykować biwak. A więc jednak, zostajemy tu do rana. Andrzej zjeżdża, zakładamy pancerne stanowisko i idziemy spać. A, jeszcze po łyku wody – na dnie butelki już prawie nic nie ma. Jemy żelki i zasypiamy. Trochę zimno i niewygodnie, ale ogrzewacze spisują się świetnie i na dobre budzimy się dopiero koło siódmej. Trzeba się zbierać! Andrzej próbuje nowego wariantu, ale nie puszcza. Zostaje nam jeszcze jeden pomysł, albo zjazd do połowy ściany i kontynuowanie *Don Kichotem*. Jednak tym razem

mamy szczęście – znaleźliśmy drogę! O, jak się cieszymy. Nie jest łatwo, choć to tylko V. Potem długie zastanawianie się nad dalszym ciągiem. Żeby tylko znowu nic nie pomylić... W końcu udaje się przejść trudny odcinek, choć asekuracja nie jest komfortowa. Dlaczego wzięliśmy tylko dwa małe trickamy? Idiotyczne... Potem ja z plecakiem, oby szybciej, ruch za ruchem, bez zastanowienia. Nagle wyjazd nogi i wiszę. Trudno, trzeba wspiąć się dalej. Jeszcze dwa wyciągi Andrzeja, a końcówka już moja – 150 metrów kominami. Miejscami szeroko, kiedy indziej ledwo się mieszczę. Nic mnie nie obchodzi podarta bluza, chcę już skończyć. Od kilku godzin nie mamy picia, a w głębi komina błyszczy lód, którego nie jestem w stanie sięgnąć. Pijemy wodę z kałuży, wszystkim w pośpiechu. Już słysząc zapowiadaną na dzisiaj burzę. Biegniemy jak najszybciej, żeby tylko zdążyć przed deszczem. Jest krucho, nieprzyjemnie byłoby tu tkwić, kiedy droga zmieni się w wodospad.

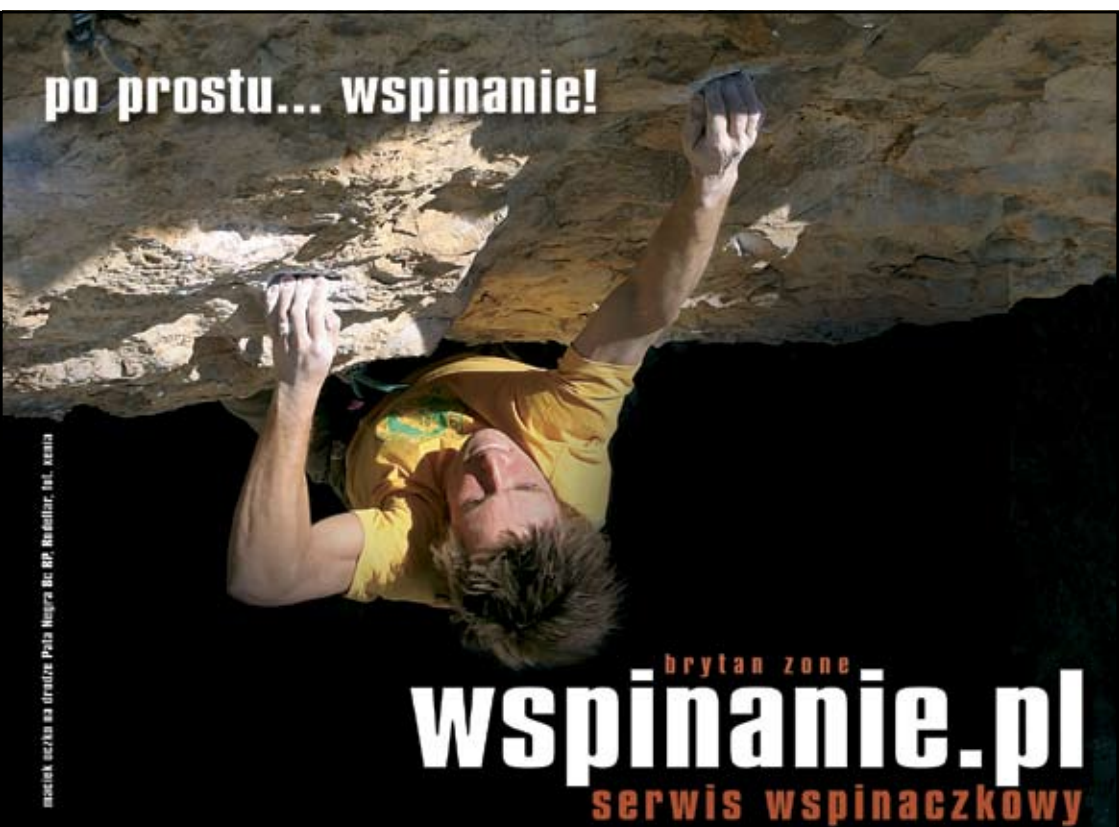
Mateo na tle Marmolady. Fot.: Andrzej Szypowski.



W końcu wychodzę na grań. Widzę jak odjeżdża ostatnia kolejka. A więc będziemy schodzić, rewelacja... Zaczyna padać śnieg, ale jasne jest, że już nam to nie przeszkodzi. Andrzej dochodzi po chwili. Potem tylko zjazd na lodowiec, zaklinowana lina, jeszcze jeden zjazd, potem następny i jeszcze jeden – jak najdalej przez śniegi, bo jednak jest trochę szczelin, a po lodowcu to my chodzić nie umiemy. Decydujemy się na zejście w kierunku widocznego schroniska. Po drodze pijemy wodę spływającą po kamieniach – przyjemnie się robi. Siadamy na werandzie, jemy resztki zapasów, znowu pijemy. Orientujemy się, że niżej jest jeszcze jeden budynek, a w nim ludzie. Wchodzimy do środka – to normalne schronisko, z zrywnym bufetem! Zamawiamy po coli (w jakiś tajemniczy sposób zamieniła się w cudownie aksamitny nektar) i zbiegamy na dół. Potem jeszcze godzinę szosą, kawałek stopem i jesteśmy przy samochodzie. Zwijamy namiot, jedziemy na pizzę. Oczywiście

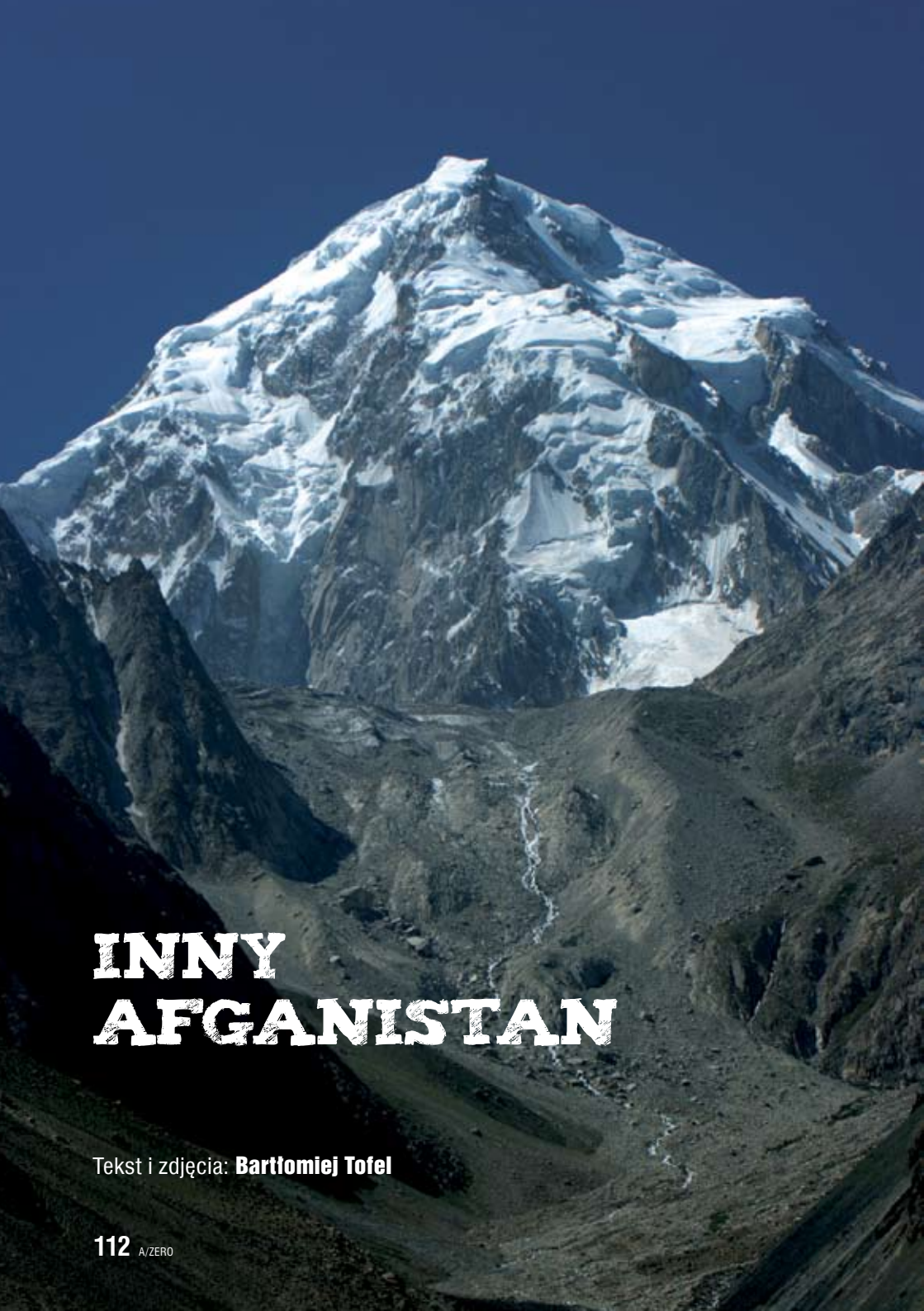
wszystko jest zamknięte, zrobiła się 23... W końcu udaje się coś zjeść i jak najszybciej wracamy w kierunku Cortiny. Planowaliśmy świętowanie, ale chyba nie mamy siły – w rozbitym na dziko namiocie zasypiamy w sekundę i śpimy do 11. A potem czas na rest, spacer, oglądanie skał i życie towarzyskie. Został nam jeden dzień wspinania. We trzech, z Wojtkiem, idziemy na sportowo obitą *La Grande Guerra* na Il Castelletto. Właściwie mieliśmy zrobić dwie drogi, ale jakoś strasznie zabłądziliśmy. Pół dnia szukaliśmy ściany, która jest wielka jak słoń. Drogę w każdym razie zrobiliśmy, zjazdy były w nocy i wszystko dobrze się skończyło.

A potem już powrót do domu – długi i męczący. Dolomity zostały za nami, choć w ciągu tygodnia ledwo zdołaliśmy je musnąć. Wszystkich celów nie udało się zrealizować, ale to pewnie zwykle tak bywa. Za to była przygoda, pierwszy kibel, wspinanie dotąd nieznane. Byliśmy zadowoleni. To pyszna sprawa, taki wyjazd w Dolomity!

A photograph of a man with dark hair, wearing a yellow t-shirt, climbing a light-colored rock face. He is looking up and smiling, with his hands firmly gripping the rock. The background is a dark, shadowed area, possibly a cave or a deep crevice. The text 'po prostu... wspinanie!' is overlaid on the top left of the image.

po prostu... wspinanie!

bryan zone
wspinanie.pl
serwis wspinaczkowy



INNY AFGANISTAN

Tekst i zdjęcia: **Bartłomiej Tofel**

„Bomba ukryta w samochodzie wybuchła w pobliżu lotniska we wschodniej części Kabulu. Dwie osoby nie żyją, sześć jest rannych. Do zamachu przyznali się talibowie”.

„Nad ranem talibowie dokonali zuchwałego ataku raketowego na Kabul. Pociąski zostały wystrzelone ze wzgórz okalających miasto. Są zabici i ranni”.

„W przeprowadzonym przez pomyłkę nalocie sił NATO w afgańskiej prowincji Ghazni zginęło czterech policjantów – poinformował gubernator prowincji Mohammad Osman Osmani”.

Tak brzmią z reguły zwrotki pieśni wydobywającej się codziennie z gardeł agencji prasowych. Afganistan. Kraj całkowicie pogrążony w odmętach wojny i chaosu. Miejsce, gdzie rysztoki spływają krwią, a po chodnikach toczą się głowy ofiar zamachów bombowych. Labirynt glinianych uliczek, w którym za każdym rogiem czai się talib z bronią gotową do strzału. Obraz o tyle przejmujący i tragiczny, co niekompletny i prze-rysowany.

Istnieją obszary, gdzie życie wciąż toczy się swoim niezmiennym, spokojnym, tradycyjnym rytmem. Gdzie nikt w XX wieku nie widział wojny, a odgłosy wystrzałów towarzyszą jedynie sporadycznym polowaniom. Gdzie talibowie są co najwyżej obiektem żartów. To nie raj. To Inny Afganistan, a ja właśnie stamtąd wróciłem.

Gdzie się podziały tamte przyratki?

Siedzieliśmy po turecku w przeznaczonej dla gości jurtcie. Zbliżał się wieczór. Zachodzące słońce podpalało majaczące w oddali szczyty tadżyckiego Pamiru. Niebo coraz bardziej przypominało ciemny badachszański lazuryt. Od ostatniego miasta dzieliło mnie ponad 200 kilometrów pokonanych samochodem terenowym, pięć dni pieszej wędrówki z osłem oraz dwa dni jazdy konnej. Mężczyźni – mój przewodnik oraz kilku mieszkańców wioski Uezdżilga, w której spędzaliśmy noc – chętnie dzielili się wspomnieniami.

O Rosjanach mówili z tęsknotą, choć pierwsze reakcje na inwazję dalekie były od euforii. Sowieci wkroczyli do Małego Pamiru w grudniu 1979 roku z marszu, miażdżąc małą grupkę rezydujących tam bojowników. Później nie padł tu ani jeden strzał. Większość Kirgizów, pamiętająca poprzednich kontaktów z Sowietami, uciekła przez góry do Pakistanu. Ci, którzy zostali, nie kwapili się do podróży na tamten świat. Nie bronili się także ismailiicy Wachowie – ich duchowy przywódca, mieszkający w Europie, Aga Chan, zabronił im walczyć. Jak zwykle posłuchali jego rady i wyszli na tym zadziwiająco dobrze.

Rosjanie utrzymywali dobre stosunki z lokalną ludnością. Nie próbowali wykorzenić zastanej religii, nie propagowali ateizmu. Szanowali kobiety. Rozbudowali wiodącą z zachodu drogę (co prawda z myślą o własnych czołgach i transporterach) do ostatniej większej wioski w Korytarzu – Sarhad-e Broghil. Tam też i dziś kończy się trakt samochodowy. Wzniesli dwie bazy wojskowe i lotnisko polowe. Wspomagali ludność materialnie – za darmo rozdawali ryż, mąkę, cukier, herbatę, leki oraz ubrania. Dobra, które dzisiaj w wyższych partiach Korytarza są trudno dostępne i trzeba je transportować przez wiele dni z odległych wsi na grzbietach jaków.

Obecnie Rosjan zastąpili Amerykanie, ale tu w Pamirze nikt ich nigdy nie widział. Nie wspomagali nikogo materialnie, nie strzegli dziurawej



Kirgizi z osady Sajotuk.

granicy. Byli bytami równie abstrakcyjnymi jak talibowie – o ich istnieniu wiedzano dzięki radiu lub opowieściom kupców czy wędrowców. Nic dziwiło mnie więc, że Sowieców wspominało z nostalgią, a żołnierzy wojsk koalicyjnych z pewnym wyrzutem i zawodem...

Gdy mężczyźni skończyli opowiadać, zjedliśmy skromną kolację składającą z gotowanego w zwierzęcym tłuszczu ryżu oraz herbaty z mlekiem i poszliśmy spać. Nazajutrz pogalopowaliśmy dalej na wschód.

Talibowie kontratakują

Paštuni deptali nam po piętach już od kilku dni. Robiło się naprawdę nieciekawie. Mimo wielu prób i błyskotliwych pomysłów, nie mogliśmy ich zgubić. Nasze marszrutę przecinały się w zbyt

wielu miejscach. Do pierwszej potyczki doszło już w drodze do Małego Pamiru, w osadzie Urumdi. Potem nastąpiły kolejne – Akbelis, Jagdżilga i Uczdżilga. Tym razem dopadli nas w Irghail. Słońce stało w zenicie, a wiejący z Tadżykistanu wiatr wzbijał tumany pyłu. Brakowało tylko westernowej muzyki Ennio Morricone.

Leżałem właśnie w przeznaczonej dla podróżnych jurcie i przeglądałem zdjęcia zapisane w pamięci aparatu, kiedy drzwi otworzyły się z hukiem i nagle pojawiły się w nich dwie postacie. Zmierzwione brody i poszarpane huraganem ubrania upodabniały je do bogów pustynnej burzy. Oczekiwałem ich przybycia od dobrych kilku minut, gdyż szczekanie psów ostrzegło mnie o przybyciu obcych wędrowców. Byłem przygotowany walczyć do końca. Albo oni albo ja. Ostateczne starcie.

– Bardek! Co tu robisz, ty zawszony polski talibie, he?! – zagrmiał Dżanwali.

– Poluję. Poluję na ciebie, Usama – wycodziłem przez zaciśnięte zęby, wskazując nieznacznie na drzwi, w których majaczył cień Gul Omara.

– Ciebie i tego twojego kumpla, mułę Omara.

Wielkolud zaniósł się śmiechem.

– Kasy się zachciało, co?

– Wiesz jak jest... – mruknąłem. – 25 milionów dolców za głowę to kupa szmalu. A ci cholerni Kirgizi liczą sobie za konie jak za zboże...

– Taaak, co ty nie powiesz?! Lepiej spojrz kogo jeszcze przyprowadziliśmy!

W drzwiach jurty, jakby na życzenie, zmateriałizował się stary Iralliboj (boj to zwyczajowy tytuł nadawany osobom majątnym) – najbogatszy człowiek w osadzie.

– Oto mułła Dudolla!

– Co?! Ja ci zaraz pokażę mułłę Dudolla! – starzec zaniósł się śmiechem i z udawanym gniewem zaatakował łaską Dżanwaliego. – Odwołaj to!

– Mułła Dudolla! Mułła Du...

Zaprzyjaźniliśmy się szybko. W zasadzie od pierwszego spotkania. Dżanwali i Gul Omar byli 30-letnimi wędrownymi pusztuńskimi kupcami z oazy Parwan w pobliżu Kabulu. Już ósmy raz przemierzali trudny szlak z okolic stolicy aż na sam koniec afgańskiego Pamiru. Wyruszyli z końcem wiosny, by powrócić do domów przed nadejściem pierwszych śniegów. Cała wędrowka

Historia i geografia

Korytarz Wachański to wąski (miejscami liczący mniej niż 16 km szerokości) równoleżnikowy pas terytorium całkowicie odgradzający terytorium Tadżykistanu od Pakistanu. Liczy około 350 kilometrów długości na wschodzie dochodząc do granicy chińskiej. Dawniej biegł tędy jeden z jedwabnych szlaków. W XIX wieku była to jedna ze scen „wielkiej gry”, na której toczyła się rosyjsko-brytyjska rywalizacja o drogi dostępne do Indii. Problem Korytarza został rozwiązany poprzez przyłączenie spornych ziem do buforowego Afganistanu. Obecny kształt uzyskał po wytyczeniu granicy rosyjsko-afgańskiej (w 1895 roku) i indyjsko-afgańskiej, tak zwanej linii Duranda (w 1896 roku).

Jest to teren wybitnie wysokogórski leżący u zbiegu trzech potężnych grup górskich – Karakorum, Hindukuszu oraz Pamiru. Znajduje się tu ponad 30 szczytów, których wysokość przekraczająca 7000 m n.p.m., oraz kilkadziesiąt dziesięciu tysięcy i pięćdziesiąt tysięcy.

Najbardziej wysuniętą na wschód część Korytarza stanowi Mały Pamir – górskie plateau liczące około 120 km długości oraz około 12 km szerokości. Znajduje się tutaj wysokogórskie jezioro Czackmaktin – jedno ze źródeł Amu Darii.

1. Chodziło prawdopodobnie o mułłę Dadullaha Akhunda – dowódcę wojsk talibów zabitego 12 maja 2007 roku przez wojska kolicji (źródło: <http://pl.wikipedia.org/wiki/Dadullah>).

zajmowała im około pięciu miesięcy. Byli głównym źródłem dóbr materialnych w Małym Pamirze – butów, ubrań, sztućców, złotych zegarków czy zestawów satelitarnych. Nosili się tradycyjnie, jak to Pasztuni – przydługie koszule nocne i workowate spodnie, kamizelki i ciepłe wełniane chapany. Gdyby nie brak broni i jeden przemysłnie dobrany szczegół, spokojnie można by ich wziąć za talibów. Było to pakuli – wełniane „naleśnikowate” nakrycie głowy, które na każdym zdjęciu zdobi czerep Ahmada Szacha Masuda. Wodza Tadżyków darzyli często okazywanym uznaniem...

Echa dawnej wojny

Dwa tygodnie później.

7 sierpnia 2009 roku.

Sezonowa osada Langar nad Amu Daria.

Znad zbudowanego z luźnych kamieni domu unosiły się kłęby słodkawego dymu. Wejście było otwarte. Kucali przed nim trzy postaci. W pobliżu, na soczystym pastwisku, spokojnie pasły się konie. Postronny obserwator na podstawie tych pozorów miałby prawo uznać scenę za niemalże sielankową. Nie pomyliłby się. Wciąż byliśmy

w Korytarzu Wachańskim.

Tym razem towarzyszyli mi dwaj ludzie. Afgańskie wojsko zabrało ich wraz ze zwierzętami z wioski Sarhad-e Broghil. Pomagali w transporcie zapasów jedzenia dla ośmioosobowego oddziału, który miał pilnować porządku w Małym Pamirze w czasie wyborów. Nie zapłacono im za tę pracę ani grosza, więc wieśniacy bardzo palili się do szybkiego powrotu w rodzinne strony – by jak najszybciej odrobić straty. Wtedy pojawiłem się ja, szukając sposobu na dostanie się na dół, więc łatwo dobiliśmy targu. Wyruszyliśmy od razu, to jest poprzedniego dnia, z osady Kashch Goz – wrót Małego Pamiru – z powrotem do cywilizacji. Mój czas w Afganistanie powoli dobiegał końca.

Abdul Boki i Szanbi, mimo jakichś 40 lat na karku, tylko raz opuścili Korytarz. Było to na przełomie lat 80. i 90. XX wieku. Abdul spędził trzy i pół roku w Kandaharze. Szanbi stacjonował dwa lata w Heracie. Służyli w armii nieodżałowanego doktora Nadżiba (Mohammada Nadżibullaha), ostatniego komunistycznego prezydenta Afganistanu i sekretarza partii, i nie widzieli żadnego powodu, by zatajać ten fakt lub

Kirgiska osada w Małym Pamirze.



się go wstydzić. Wojenne waśnie i ich reperkusje w postaci rozdarcia społecznego i „krwawych długów” nigdy ich nie dotknęły – tkanka społeczna Wachanu wciąż była zdrowa.

Raj na ziemi?

Może podsumujmy sobie to wszystko.

Ośnieżone górskie szczyty. Odcięta od świata wysokogórska dolina. Soczyste pastwiska. Kamieniste pola. Rozległe płaskowyże. Źródła Amu Darii. Stada jaków i wielbłądów. Tradycyjne wojłokowe jurty z talerzami satelitarnymi i panelami słonecznymi. Ismailici praktycznie uznający Aga Chana za wcielenie Boga. Zagubiony na krańcach Afganistanu świat...

Z Sowiecami nie walczył tu nikt. Rozległych pól minowych nie założono. Miejscowych mudżahe-dinów nie było, a zamiejscowi jakoś nie przyszli, by zabijać się w bratobójczych walkach o władzę. Nikt nie pamiętał świstu samolotu zwiastującego bombardowanie. Talibowie nie zbliżyli się nawet na odległość kilkuset kilometrów. Huk ostrzału artyleryjskiego, gdyby było dane komukolwiek go usłyszeć, wzbudziłby raczej zainteresowanie

niż tragiczne wspomnienia. Owszem, czasem słyszano strzały – polowań na kozice górskie. Istniały konflikty etniczne, ale sprowadzały się do umiarkowanej podejrzliwości niekiedy cechującej mieszkających zbyt blisko siebie sąsiadów. Czego można by więcej chcieć?

Czy był to w takim razie raj na ziemi? I tak, i nie. W warunkach afgańskich, mimo dojmującej biedy, bardzo utrudnionego dostępu do edukacji i pomocy medycznej, prymitywnej lub nieistniejącej infrastruktury komunikacyjnej, było to tak blisko raju, jak to tylko możliwe. Korytarz Wachañski zamiast 30 lat nieustannej wojny doświadczył 30 lat pokoju. Był to Afganistan w takim stanie jak za „starych dobrych czasów” – biedny, zacofany i odizolowany, ale wolny od koszmarów nowoczesnych konfliktów zbrojnych. Był to po prostu Inny Afganistan.

Polacy w Hindukuszu

Przez lata była to swoista kuźnia talentów wysokogórskich, które w późniejszych latach w pełni rozkwitły w Himalajach. Swoją karierę zaczęli tutaj m.in. Wanda Rutkiewicz, Anna

Buzkaszi – narodowy sport Afganczyków.



Ludność

Korytarz Wachański jest obszarem słabo zaludnionym. Żyje tu około 13 500 osób – 12 000 Wachów i 1 500 Kirgizów. Wachowie zamieszkują niżej położoną część Korytarza i trudnią się przede wszystkim prymitywnym rolnictwem. To muzułmanie wyznający ismailityzm – odłam szyizmu, którego przedstawiciele są uważani za jednych z najbardziej postępowych i umiarkowanych członków świata islamu.

Kirgizi zamieszkują tereny Małego i Dużego Pamiru – wysokogórskich płaskowyżów leżących na wysokości ponad 4000 m. Zajmują się pasterstwem i wiodą półkoczowniczy tryb życia. Wyznają sunnizm. Przybyli na te uprzednio niezamieszkane tereny na początku XX-wieku, kiedy obszar dzisiejszego Kirgistanu „wyzwolili” Sowieci.

Cały rejon Korytarza cechuje bardzo niski poziom rozwoju ekonomicznego. Wiele wyżej leżących obszarów – zamieszkiwanych głównie przez Kirgizów – jest całkowicie pozbawiona dróg, jakiegokolwiek opieki medycznej oraz szkół. Głównym środkiem transportu pozostają konie i osły. Poziom analfabetyzmu wśród mężczyzn wynosi 86%, a wśród kobiet dochodzi do 98%. Współczynnik śmiertelności niemowląt należy do jednych z najwyższych na świecie.

Czerwińska, Krzysztof Wielicki, Jerzy Kukuczka, Wojtek Kurtyka czy Andrzej Zawada. Tu też dzięki śmiałości planowi tego ostatniego zdobyto zimą pierwszy siedmiotysięcznik w historii. Miało to miejsce w 1973 roku, a szczytem tym był Noszak (7942 m).

Także od zdobycia tego wierzchołka rozpoczęła pierwsza polska wyprawa w afgański Hindukusz w 1960 roku. Przewodził jej Bolesław Chwaściński, który dzięki znajomościom sprzed wojny (w Afganistanie budował drogi) zdołał zorganizować niezbędne pozwolenia. W tym czasie były to góry zupełnie nieznane i niedostępne. Mapy Hindukuszu pełne były białych plam, a to co na nich widniało, często było wytworem wyobraźni, a nie pomiarów. Technika

tworzenia map za pomocą zdjęć satelitarnych jeszcze wówczas nie istniała. Odkrywanie Hindukuszu było jedną z ostatnich prawdziwych eksploracji. Dodatkowo Hindukusz stanowił jedyny góry wysokie, na jakie przez wiele lat mogliśmy sobie w wymiarze finansowym pozwolić. Do granicy afgańsko-radzieckiej można było wówczas dotrzeć koleją za około 20 dolarów czy 2000 złotych (równowartość średniej nauczycielskiej pensji). Z czasem wyprawy zaczęły drożeć, ale i na to znalazł się sposób – Polacy zapewniali logistykę i organizację, a zachodni wspinacze dewizy. Tak powstawały pierwsze łączone wyprawy. Drugim ze sposobów zdobywania środków były legendarne akcje handlowo-przemysłowe.

Ogólnie w latach 1960–1984 (od 1978 już od strony pakistańskiej) Polacy zorganizowali 76 wypraw w Hindukusz. Wzięło w nich udział ponad 500 uczestników, którzy zdobyli kilkadziesiąt szczytów, z których co najmniej 141 było dziewiczych.

Dokładna historia eksploracji gór Afganistanu znacznie wykracza poza tę krótką wspominkę,



Autor w kirgiskiej czapce.

dlatego zainteresowanych tematem odsyłam do literatury, a tutaj wspomnę tylko o kilkunastu najciekawszych przejściach:

- 1962 rok – pierwsze wejście na Kohe Tez (7015 m) w składzie Krajski, Olech, Pąchalski, Bała.
- 1972 rok – pierwsze przejście lodowo-skalnej 1800 m ściany Akher Čaq (7020 m) w składzie Kurtyka, Jasiński, Kowalczyk, Rusiecki.
- 1975 rok – pierwszy trawers grani Kohe Škhawr (7116 m) – Kohe Nadir Šah (6814 m) w składzie Bała, Chrobak, Mączka, Liszka.
- 1976 rok – pierwsze przejście 1650 m ściany Kohe Kešnikhān (6755 m) w składzie Fiut, Szafirski i Żurek;
- 1976 rok – pierwsze na świecie wejście z bazy (ok. 4500 m) na Noszak (7492 m) w ciągu jednego dnia dokonane przez Żurka.
- 1977 rok – pierwsze przejście (do tego od razu w stylu alpejskim!) liczącego 3000 m centralnego filara Kohe Škhawr (7116 m) w składzie Lwow, Pietkiewicz, Wielicki.
- 1977 rok – pierwsze przejście liczącej 1600 m północnej ściany Kohe Mandaras (6628 m) w składzie Jasiński, King, Kowalczyk i Zawada.
- 1977 rok – pierwsze przejście liczącej 2240 m północno-wschodniej ściany Kohe Bandaka (6843 m) w składzie Kurtyka, McIntyre i Porter.

Logistyka

Wbrew pozorom do Korytarza Wachañskiego można dosyć łatwo i szybko dojechać. Przy odrobinie szczęścia po czterech dniach od wyjazdu z Warszawy można znaleźć się w Iszkaszim – miasteczku stanowiącym bramę do Korytarza. Poleca się przelot ze stolicy do Duszanbe (AirBaltic lub Turkish Airlines) w Tadżykistanie, a następnie przejazd wynajętym dżipem lub transportem lokalnym do granicznego Iszkaszim. Jest to droga szybka i bezpieczna – na żadnym odcinku nie istnieje zagrożenie działaniami wojennymi.

Z Iszkaszim najszybciej dostaniemy się do Hindukuszu Zebak – w ciągu jednego dnia. Podobny czas zajmie nam dotarcie do najbardziej na zachód wysuniętych fragmentów Kohe Wakhan i Hindukuszu Lupsuk. Bardziej odległe zakątki tych gór, a także masywy Kohe Ak Su i Pamir-i Wakhan wymagają podróży z karawaną. Może ona zająć od dwóch do siedmiu dni.

Szczegółowe informacje dostępne u autora artykułu oraz na stronie <http://www.mountainunity.org>. Mapy, zdjęcia i historia eksploracji tych zakątków to natomiast domena Jerzego Wali z KW Kraków.



- 1978 rok – pierwsze wejście wschodnią granią na Tirich Mir East (7692 m) w składzie Piotrowski, Kukuczka i Wroczyński.

Perspektywy eksploracyjne

Góry Afganistanu mimo przeszło 18-letniej działalności alpinistycznej wciąż prezentują spory potencjał eksploracyjny. Wiele dolin lub wręcz całych masywów górskich nigdy nie widziało żadnej wyprawy. Zdecydowały o tym zarówno wojna afgańsko-radziecka i późniejsze konflikty zbrojne, jak i otwarcie dla wspinaczy rozległych masywów górskich Pakistanu i Indii. W Korytarzu Wachańskim i jego najbliższym otoczeniu czeka na zdobycie kilkaset pięciotysięczników i kilkanaście (może nawet kilkadziesiąt) sześciotysięczników. Wysokości szczytów może nie są rekordowe, ale wierzchołki dziewicze. Z interesujących grup warto wymienić:

- Hindukusz Zebak – kilkadziesiąt dziewiczych pięciotysięczników.
- Kohe Wakhan – kilkaset niezdojanych pięciotysięczników.
- Hindukusz Lupsuk – ponad 50 niezdojanych pięciotysięczników. Najwyższy niezdojany wierzchołek – Kalandar Zom (5909 m).
- Kohe Ak Su – ponad 200 niezdojanych pięciotysięczników. Najwyższy niezdojany wierzchołek – około 5821 m.
- Pamir-i Wakhan – około 159 niezdojanych szczytów, z czego sześć to szczyty sześciotysięczne. Najwyższy niezdojany wierzchołek – Kara Dżilga I (6094 m).

Najciekawszym celem eksploracyjnym wydaje się szczególnie ta ostatnia grupa. Znajduje się tam kilka dziewiczych północnych ścian o wysokości przekraczającej 1000 m. Wszystkie pozostałe grupy, a także większość szczytów, na których w przeszłości działały rozmaite wyprawy pozostawia wciąż ogrom możliwości poprowadzenia nowych dróg. Również zima przedstawia duże pole do popisu. Wydaje się, że poza Noszakiem (7492 m) praktycznie żaden inny szczyt, nie mówiąc już o konkretnych drogach, nie doczekał się zimowej wejścia.



Uniwersalny lek przeciwbólowy – opium.

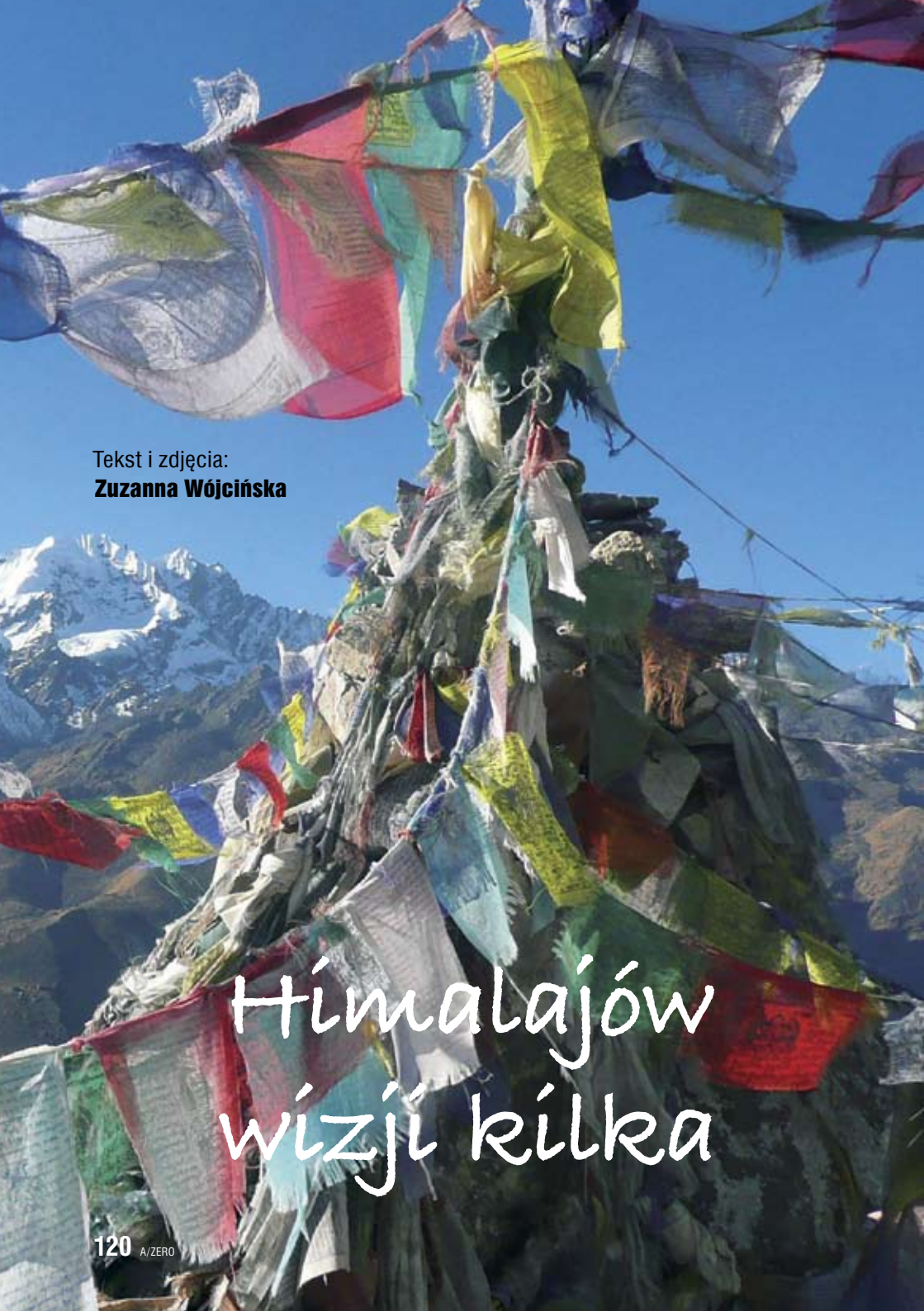
Sowieci w Małym Pamirze

Korytarz Wachański to wąski (miejscami liczący mniej niż 16 km szerokości) równoleżnikowy pas całkowicie odgradzający terytorium Tadżykistanu od Pakistanu. Liczy około 350 kilometrów długości na wschodzie, dochodzi do granicy chińskiej. Dawniej biegł tędy jeden z jedwabnych szlaków. W XIX wieku była to jedna ze scen „wielkiej gry”, na której toczyła się rosyjsko-brytyjska rywalizacja o drogi dostępne do Indii. Problem Korytarza został rozwiązany poprzez przyłączenie spornych ziem do buforowego Afganistanu. Obecny kształt uzyskał po wytyczeniu granicy rosyjsko-afgańskiej (w 1895 roku) i indyjsko-afgańskiej, tak zwanej linii Duranda (w 1896 roku).

Jest to teren wybitnie wysokogórski leżący u zbiegu trzech potężnych grup górskich – Karakorum, Hindukuszu oraz Pamiru. Znajduje się tu ponad 30 szczytów, których wysokość przekracza 7000 m n.p.m., oraz kilkadziesiąt sześć- i pięciotysięczników.

Najbardziej wysuniętą na wschód część Korytarza stanowi Mały Pamir – górskie plateau liczące około 120 km długości oraz około 12 km szerokości. Znajduje się tutaj wysokogórskie jezioro Czakmaktin – jedno ze źródeł Amu Darii.

☞ Powrót z wodą w wykonaniu kirgiskiej kobiety.



Tekst i zdjęcia:
Zuzanna Wójcińska

Himalajów wizji kilka

10 października 1995, mój dom

Kończąc odrabiać ostatnie zadanie z matematyki. Dobrze, że pani od polskiego nie za dała nic na jutro. Patrzę na regał, który stoi obok. „Karawana do marzeń”, „Na szczytach Tatr”, „Komin pokutników”. Dziś będzie fajny wieczór, już się nie mogę doczekać. W telewizji będzie „K2”. Zaczyna się dopiero o 22, ale wiem, że mama nie każe mi dziś wcześniej iść spać. Filmy o górach zawsze oglądamy razem.

8 lutego 2008, Tineghir, Maroko

– Mam plan.

Wojtek patrzy na mnie z zaciekawieniem, zastanawiając się, co tym razem. Niejednokrotnie już z tak rozpoczętej rozmowy narodził się jakiś wyjazd.

– Początek przyszłego roku. Stopem do Nepalu. Potem Himalaje, trekking.

Wojtek zastanawia się tylko chwilę, po czym słyszę:

– Super, wchodzę w to.

16 sierpnia 2008, 6:10 rano, droga między Tomellila i Ystad, Szwecja

Deszcz zacina w twarz. Najgorsza górka do podjechania przede mną. Tylne koło całkowicie siadło, jadę już tylko na obręczy. Dojechać muszę, żeby gościom hotelowym zrobić śniadanie, autobus nie jeździ o tej porze, nie mam wyboru. Jeszcze z 8 km, prawie połowa drogi. „Przecież nie dam rady, już nie mam siły”, głos z wnętrza wydaje się być nieubłagany. Daję głośniejszą muzykę, aby go zagłuszyć. „Indie, Himalaje, Indie, Himalaje”, zaczynam powtarzać w myślach swoistą mantrę. Obraz w końcu się pojawia. Kolejny pagórek na szosie pokonany.

1 września 2008, biblioteka w Ystad, Szwecja

Stęskniona za Polską i ludźmi, otwieram skrzynkę mailową.

„Cześć, Zu, mam plan, żeby rzucić robotę, bo już mam dosyć. Co powiesz na trzy miesiace autostopem po Afryce, jakoś koło stycznia? :)”.

Odpisuję.

„Fajny pomysł, Mich, ale Afryka może innym razem. Mamy już z Wojtkiem inny plan. Co Ty na to?”.

Od tej pory jest nas trójka.

13 stycznia 2009, droga do granicy rumuńsko-bułgarskiej

Ulica całkiem pusta, mróz wszystkich wygonił do domów. Księżyc w pełni zdaje się próbuje dodać nam otuchy, oświetlając drogę. Do granicy z Bułgarią jeszcze sporo kilometrów, ale nie poddajemy się rumuńskim monopolistom, proponującym nam przewiezienie przez granicę za 10 euro od osoby, idziemy na piechotę.

Na horyzoncie pojawia się postać. Jakiś pogranicznik schodzi pewnie z warty. Po kilku minutach, zaskoczony obecnością kogoś innego niż on sam, żołnierz podchodzi i pyta skąd jesteśmy. Dowiedziawszy się, że z Polski i że mówimy po rosyjsku, wydaje się być uszczęśliwiony, mogąc choć przez chwilę użyć tego języka. Sam pochodzi z Kazachstanu.

– Idziecie do Bułgarii?

– Nie, dalej.

– Dalej?! Do Turcji?! – podnosi brwi ze zdziwienia.

– Nie, do Indii, w Himalaje.

Twarz żołnierza tężeje, w końcu udaje mu się wydobyć głos:

– O shit! India, Himalaya! O fuck! Himalaya! O shit!

Po kilku wiązankach, wyuczonych prawdopodobnie z amerykańskich filmów wojennych, ścisła nam ręce i, życząc powodzenia, odchodzi.

W tamtym momencie wizja naszego celu wydawała nam się chyba nie mniej abstrakcyjna niż jemu...

26 stycznia 2009, Celine i Mathias

Poznali się, kiedy byli jeszcze dziećmi. Mieszkali w jednym miasteczku, chodzili do jednej szkoły, nigdy się szczególnie nie przyjaźnili. Łączyło ich wspólne marzenie. Zobaczyć Himalaje.

Kiedy mieli po 16 lat, obiecali sobie, że jeśli spotkają się następnym razem i oboje do tego momentu nie pojedą w najwyższe góry świata, wybiorą się tam razem.

Potem on wyjechał, nie mieli kontaktu przez osiem lat.

Pewnego dnia Celine dostała sms. „Przyjedź na moje urodziny”. Pojechała.

Zakochali się w sobie i postanowili spełnić marzenie z dzieciństwa. Wyruszyli razem w Himalaje. Ze Szwajcarii na piechotę.

Spotykamy ich na granicy pakistańsko-indyjskiej. Są w drodze od dwóch lat. Bagaże niosą dwa osiołki, które zakupili w Albanii i Turcji. Przy nodze Mathiasa dumnie kroczy, wymachując ogonem Willie – retriever, który przybłąkał się do nich w górach i obronił przed sforą dzikich psów. Od tej pory nazywają swoją rodzinę „podróżującym z dwoma osłami, psem i żoną”.

Dolina Langtang i Langtang Lirung (7227 m) z Tsergo Ri (4894 m).

17 lutego 2009, Dolina Langtang

Po całym dniu w kurzu i pyle na dachu autobusu relacji Kathmandu–Syabrubensi (1415 m) i nocy spędzonej w wiosce pod namiotem, ruszamy wzdłuż potoku doliną Langtang.

Gęsty las liściasty, w którym liany zwisają aż do samej ziemi, a małpy hasają wesoło w koronach drzew, powoli zamienia się w rzadki bambusowy zagajnik, aby z czasem całkowicie zaniknąć. Wówczas naszym oczom ukazują się góry w całej okazałości. Idziemy środkiem doliny, po lewej stronie mając łańcuch o wysokości 5–6 tysięcy, pomiędzy którymi od czasu do czasu wylania się jakiś siedmiotysięcznik. Po prawej – porośnięte jeszcze częściowo drzewami zbocza.

Do naszej bazy wypadowej, czyli Kyanjin Gompa (3750 m) docieramy w trzy dni, po



drodze zatrzymując się przy hotelikach, których w dolinie jest bardzo dużo. W Kyanjin spędzamy 10 dni, robiąc jednodniowe wypadki na okoliczne szczyty i przełęcze.

14 kwietnia, Fatehpur, Indie. Inna perspektywa

Po kolacji część uczniów zostaje jeszcze przy stole. Siedzę wraz z nimi. To mój trzeci tydzień w szkole dla dorosłych uchodźców z Tybetu, gdzie dostałam etat nauczycielki angielskiego. Lubię ten moment, kiedy wszyscy mają wolne od nauki, wówczas zawsze można dowiedzieć się czegoś więcej o uczniach, czy po prostu wspólnie pośmiać się z czegoś (Tybetańczycy wykazują się dużym poczuciem humoru, nawet w nie zawsze wesołych sytuacjach).

Tym razem temat schodzi na fizykę i różne zjawiska. Chłopaki lubią dywagować na różne filozoficzne tematy, ale i dzielić się wiedzą ze sobą nawzajem. Czasem dopowiadam coś do dyskusji, czasem po prostu siedzę i słucham.

Jeden z uczniów, Gyatso, zaciekawiony zawsze zjawiskami przyrodniczymi, zastanawia się „jak to jest, że śnieg, który pada, u podnó-



Na dachu autobusu, kiedy nie ma dużo ludzi, siedzi się całkiem wygodnie.

ża góry topnieje, a na zboczu zostaje? Czy to jakieś zjawisko spowodowane słońcem czy odbiciem?”. I stwierdza: „Zawsze, kiedy patrzyłem z okna mojego domu rodzinnego na Mount Everest, tak się właśnie działo”.

„Zawsze, kiedy patrzyłem z okna mojego domu rodzinnego na Mount Everest...”. A ja tu tyle tysięcy kilometrów przejechałam... ech...

Widok na Langtang Lirung (7227 m) z Kyanjin Ri (4773 m).



P O - S Ł O W I E P O - P R E Z E S A

DLACZEGO SIĘ WSPINAMY

Pytanie zawarte w tytule pojawia się odkąd sięgam pamięcią, a dokładniej – od kiedy zacząłem się wspinać. Stawiane było przez dziennikarzy, ludzi nauki i kultury, przez ludzi zafascynowanych tym sportem oraz przez tych, którzy wspinaczkę kompletnie nie rozumieli. Pytali nie tylko, po co się wspinamy, ale czy ma to w ogóle jakikolwiek sens. Na temat przyczyn swojego wspinania wypowiadali się wybitni przedstawiciele taternictwa, alpinizmu i himalaizmu, jak również stawiający w tej dziedzinie pierwsze kroki. Odpowiedzi na ogół podkreślały piękno gór, satysfakcję z pokonywania samego siebie w obliczu groźnej i dzikiej przyrody, odreagowanie stresu, kontakt z drugim człowiekiem, czyli partnerstwo, a wreszcie sam fakt istnienia gór. Słynna jest wypowiedź George'a Mallory'ego, który zapytany o sens zdobywania Everestu odparł: „Po prostu dlatego, że istnieje, jest tu – przede mną...” (więcej na ten temat można znaleźć w pierwszym tomie *Polskich Himalajów* autorstwa Janusza Kurczaba, s. 28).

Pamiętam jak omawialiśmy ten temat przy piwie w schronisku przy Morskim Oku i uzgodniliśmy ostatecznie, aby uniknąć komplikacji, a zarazem uciąć w zarodku kolejne, trudne pytania indagującego, że wspinamy się, bo nam płacą z metra (dokładnie cztery pięćdziesiąt). To całkowicie załatwiało sprawę sensu. Na ewentualne dodatkowe pytanie, kto nam płaci – odpowiedź brzmiała: ONI. Tej wersji się trzymaliśmy i to działało. To tajemnicze ONI oznaczało bowiem w domyśle władzę komunistyczną, „czerwonych” lub jakiegokolwiek inne struktury oficjalne, kryjące się po tzw. drugiej stronie. Na ogół pytający w tym momencie wycofywał się i zbył z tropu rezygnował z dalszych dociekań. Gdy jednak robi się coś przez bardzo długi czas, to raz na kilka lat człowiek sam sobie zadaje pytanie o sens tego działania.

Ponieważ teoria, że płacą nam z metra, i dzisiaj nie wytrzymuje konfrontacji z rzeczywistością, wspinacz często dochodzi do wniosku, że to jednak rzeczywiście nie ma sensu i zaprzestaje wspinania. Buduje różne teorie dla uzasadnienia owego przestania. Po pewnym czasie jednak przestaje się zastanawiać i – prędzej czy później do wspinania powraca. Takie cykle zwątpień z wiekiem wygasają. I wtedy, jakby zza jakiejś zasłony, objawia się wspinaczowi p r a w d z i a o d p o w i e d z na wyżej postawione pytanie. Tą odpowiedzią jest doświadczenie towarzyszące często ludziom żyjącym blisko przyrody, które działa jak narkotyk i pozwala odbierać otaczającą rzeczywistość w jej pierwotnej, nieskażonej umysłem, postaci. Doświadczenie to nazywane jest iluminacją, olśnieniem lub głębokim wglądem w rzeczywistość.

„Niektórzy amatorzy niebezpiecznych sportów – wspinaczki wysokogórskiej, wyścigów samochodowych itp. – uwielbiają je właśnie dlatego, że przemocą wpędzają ich one w teraźniejszość – tętniącą życiem sferę, w której wychynowcowi nie ciąży czas, problemy, myślenie, czy brzemień osobowości. Jeśli choć na sekundę wyszłgną się obecnej chwili, grozi im śmierć... Gdy zagrożone jest samo życie, skok świadomości z przestrzeni czasu w obecność *tu i teraz* może się zdarzyć całkowicie spontanicznie. Osobowość, która miała do tej pory przeszłość i przyszłość, ustępuje na chwilę miejsca intensywnej, świadomej obecności – zupełnie nieruchomej, a jednocześnie bardzo uważnej. Odtąd wszelkimi posunięciami, jakich wymaga sytuacja, kieruje właśnie ta świadomość”¹.

Jak widać, stan zagrożenia życia powoduje znieruchomienie umysłu i koncentrację na chwili obecnej. Nieważne stają się nasze codzienne problemy, nasza praca, a nawet to, kim jesteśmy i jak się nazywamy. Przeżywając czas jakiś w tym stanie doznajemy swobodnego oczyszczenia i doznania głębi życia, poczucia jego wartości. Stan ten był i jest postrzegany przez wielu myślicieli i mistyków wschodu i zachodu, jako podstawa do głębszego rozwoju duchowego, a w ostateczności do oświecenia. Jest również opisywany przez rozmaitych eksperymentatorów, ale jako efekt zażywania narkotyków (np. LSD). W tym ostatnim przypadku oczywiście wartość takich



¹ Eckhart Tolle, *Potęga teraźniejszości*, Wydawnictwo A, Kraków 2006.

Poza TYM nie ma NIC.

„Trzeciego dnia poczuł jakby wpadł w trans. Głowa nie emitowała żadnej myśli, dzięki czemu przemieszczał się płynnie do góry, nie wykonując żadnego zbędnego ruchu. Osobowość znikła i ego cofnęło się do tyłu, przyjmując rolę obojętnego obserwatora. Jednocześnie doznawał niewystawionej swobody i radości płynącej z głębokich pokładów czystego istnienia przejawiającego się na zewnątrz w doskonałych sekwencjach ruchu. Ciało bezbłędnie pokonywało trudne pasaże, wynajdując odpowiednie chwyt i stopnie. Przeszywał go na wskroś potężny nurt spokoju, pozwalając błogo balansować na krawędzi fizycznej zagłady. Wtedy pojawiła się ta myśl – odczuć, graniczące z absolutną pewnością,

Bezwiednie odrzucił czekan i mknął do góry, unosząc za sobą dwójkę zdumionych przyjaciół...²

SIEKIERA

² Fragment nieistniejącego opisu z zimowego przejścia jednej z dróg na Kazalnicy Miegoszowieckiej.

Everest 8,850
K2 8,611
Kanchenjunga 8,586
Lhotse I 8,516
Makalu 8,463
Cho Oyu 8,201

Największy polski magazyn outdoorowy • Doskonały serwis internetowy • Przewodnik po outdoorowym rynku
Mamy do zaoferowania najwięcej możliwości i gwarantujemy najlepsze warunki współpracy
Trad Sport climbing Big-Wall Bouldering Alpinism DWS Indoor Trekking Hiking

GÓRY
www.GORYonline.com
górski magazyn sportowy

Jak przystąpić do Klubu:

Nie stawiamy żadnych barier formalnych – każdy może wstąpić do naszego klubu, uczestniczyć w wyprawach, wyjazdach, wycieczkach, w naszych regularnych imprezach i spotkaniach. Jako organizacja prawdziwie społeczna istniejemy dzięki aktywności i zaangażowaniu naszych członków – jeśli więc uważasz, że i Ty możesz wnieść wkład w nasz rozwój – serdecznie zapraszamy! Jeżeli uprawiasz sporty wspinaczkowe i możesz to udokumentować przedstawiając posiadane uprawnienia (karty, zaświadczenie o ukończonym kursie) lub wykaz przejść (może być skałkowych lub bulderowych) – to otrzymujesz status **członka zwyczajnego** (nie musisz nam przysłać kopii dokumentów czy wykazu, ale możesz zostać o to poproszony, jeżeli pojawią się wątpliwości). Jeżeli natomiast nie uprawiasz wspinaczki (bo np. uprawiasz trekking, turystykę górską itp.) – to możesz wstąpić do klubu otrzymując status **członka uczestnika**, którego jedynym ograniczeniem jest limitowana możliwość kandydowania do władz klubu.

Zapisać się do Klubu można:

Osobiście: We wtorki w godzinach ścianki klubowej (Nowowiejska 37B, w godz. 20–22) lub w lokalu klubowym (Noakowskiego 10/12) w czasie slajdów bądź innego spotkania (aktualne info na stronie, można też mailować klub@kw.warszawa.pl).

Korespondencyjnie przez Internet: opłacając wpisowe i składkę przelewem na konto Klubu i przysyłając swoje dane do Klubu za pośrednictwem formularza zamieszczonego na stronie internetowej Klubu (www.kw.warszawa.pl). Gdy przystępujesz korespondencyjnie – legitymację wysłamy Ci pocztą do domu (zdjęcie wkleisz sam).

Składki:

- uczący się do lat 26 – opłata roczna 50 PLN + 50 PLN wpisowe. Gdy wstępujesz w drugiej połowie roku (po 1 lipca): składka wynosi 30 PLN + wpisowe 50 PLN,
- osoby powyżej 26 lat - opłata roczna 70 PLN + 70 PLN wpisowe. Gdy wstępujesz w drugiej połowie roku (po 1 lipca): składka wynosi 50 PLN + wpisowe 70 PLN,
- instruktorzy – 50% zniżki w składce i wpisowym,
- dzieci i młodzież do 26 roku życia, jeżeli oboje rodzice są członkami KW – 50% zniżki w składce i wpisowym,
- dzieci i młodzież do 26 roku życia, posiadające jednego rodzica – 50% zniżki w składce i wpisowym,
- członkowie innych klubów zrzeszonych w PZA – bez wpisowego (po okazaniu legitymacji z opłaconymi bieżącymi składkami),
- Emeryci i renciści bezpłatnie.

Ścianki klubowe:

Klub wynajmuje obecnie jeden obiekt – ściankę wspinaczkową w Centrum Wspinania „W Pionie” na ul. Nowowiejskiej 37b. Godziny dla klubowiczów przewidziane są we wtorki od godz. 20 do 22.15 – opłata 10 zł. Członkowie Klubu mogą też nabywać w klubie tańsze karnety (na 10 wejść w dowolnym terminie) na ściankę w Centrum Wspinaczkowym „On Sight” na ul. Obozowej 60 – cena 140 zł.

Bulderownia:

Bulderownia znajduje się w lokalu klubowym ul. Noakowskiego 10/12.

Bulderownia jest dostępna dla wszystkich członków KW Warszawa we środy i soboty w godz. 16–22 (opłata 5 PLN za wejście).

Dla osób należących do sekcji bulderowej – bulderownia jest dostępna codziennie w godz. 8–22, poza zajęciami treningowymi.

Obozy:

Co roku KW Warszawa organizuje wyjazdy dla członków klubu, mające na celu podniesienie umiejętności wspinaczkowych oraz wymianę doświadczeń między bardziej i mniej doświadczonymi kolegami oraz koleżankami. Są one bardzo popularne i bierze w nich udział nawet do 60 osób, które świetnie się na nich bawią, ale także – dzięki prowadzonym wykładom – dowiadują wielu ważnych rzeczy z dziedziny topografii, bezpieczeństwa i taktyki działania w górach.

W obozie może wziąć udział każdy członek klubu bez względu na doświadczenie. Jednak z powodu ograniczonej ilości miejsc każda osoba zainteresowana wyjazdem zobowiązana jest wypełnić formularz zapisu na obóz, który jest umieszczony na stronie klubowej z odpowiednim wyprzedzeniem.

Osoby nieposiadające doświadczenia (szczególnie dotyczy to obozów zimowych) powinny rozważyć opcję wspinania pod opieką instruktora, za symboliczną opłatą ok. 350 zł/tydzień. Wszyscy uczestnicy obozu muszą także mieć świadomość, że wyjeżdżają na własną odpowiedzialność i samodzielnie podejmują swoje wspinaczkowe decyzje – klub zapewnia jedynie rezerwację miejsc, pomoc w zakresie wyboru celów, literaturę, schematy i dobrą poradę starszych kolegów, na których zawsze można liczyć.

Warunkiem uczestnictwa w obozie jest także posiadanie aktualnego ubezpieczenia, obejmującego uprawianie alpinizmu i koszty akcji ratunkowej z użyciem helikoptera. Polecane przez nas jest ubezpieczenie związane z wykupieniem członkostwa w OeAV.

Lokal klubowy ul. Noakowskiego 10/12 Warszawa	NIP 526 16 90 727
Korespondencja ul. Jankowska 5/12 02-129 Warszawa	REGON 000987911
Sekretariat Wtorki, godz. 19.30–22.30 ul. Nowowiejska 37B	KRS 0000122453
Internet http://kw.warszawa.pl	Konto Millennium Big Bank SA 87 1160 2202 0000 0000 1850 2085 ul. Jankowska 5/12 02-129 Warszawa

BCA

bcaccess.com
Dystrybutor BCA (Back Country Access) oferuje po specjalnych cenach sprzęt lawinowy przy zamówieniach realizowanych przez klub – kontakt marekcy@orange.pl.

**Kayland (MountX)**

www.mountx.pl www.kayland.com
Dystrybutor obuwia Kayland – MountX oferuje po specjalnych cenach dla członków klubu wybrane modele – szczegóły w aktualnościach.

**YETI** do 30%

www.yeti.com.pl
sales@yeti.com.pl
Producent kurtek i śpiworów puchowych.
Zakupy można realizować:
03-710 Warszawa, ul. Okrzei 18
tel. 022 670 12 53 w.14; fax. 022 618 33 01
Osoba kontaktowa jest Pani Anna Bielicka. Specjalny 30% rabat dla członków KWW na bieżącą termoaletywną Native Planet. Na produkty YETI do ceny internetowej jest 25% rabatu, na pozostałe produkty 20% rabatu. Warunkiem jest posiadanie ważnej legitymacji członkowskiej z opłaconymi składkami.

**MAŁACHOWSKI** do 20%

www.malachowski.com.pl
info@malachowski.com.pl
Pracownia Sprzętu Alpinistycznego.
43-426 Dębówiec, ul. Skoczowska 49
tel. 033 856 22 61
Dla członków klubu 20% zniżki na wszystkie produkty (nie dotyczy szycia na miarę).

**MARABUT** do 20%

www.namioty.pl biuro@marabut.pl
Namioty ekspedycyjne, wyprawowe, turystyczne.
32-070 Czernichów 451
tel.: 012 270 24 24
Dla członków klubu 15% zniżki przy zakupie do 5 szt. i 20% przy zakupie powyżej 5 szt.

**MONTANO** do 20%

www.montano.pl www.sklep.montano.pl
sklep@montano.pl
Firma MONTANO zajmuje się produkcją odzieży dla ludzi aktywnych. Tworzymy odzież dla wspinaczy, ponieważ sami z niej korzystamy.
tel. 018 266 56 32, 0 888 862 397
Od 20 do 30% zniżki na odzież, sprzęt i akcesoria wspinaczkowe.
UWAGA: wyroby MONTANO dostępne są z klubowym logo – podaj proszę przy zamówieniu.

**PLUS Mountain Bike Shop** do 20%

www.rowery.com.pl plus@rowery.com.pl
Rowery górskie, części, akcesoria.
Warszawa, Ursynów, ul. Zamiany 12,
tel. 022 644 29 02
Godziny otwarcia: pn.–pt. w godz. 11–19, sob. 10–14

**SUMMIT (ASOLO)** do 20%

www.summit-asolo.pl summit.asolo@op.pl
Zniżka na sprzęt alpinistyczny, w tym obuwie marki ASOLO. Indywidualnie zniżka 10–20% w zależności od zamawianego towaru. Na grupowe zamówienia zniżka nawet powyżej 20% w zależności od rodzaju i ilości.
Sklep: Katowice, ul. Kościuszki 10
tel. 0 32 251 36 57

**SALEWA** do 30%

www.salewa.com kolo@adventureshop.pl
Dla członków KWW z opłaconymi składkami 30% zniżki na produkty firmy SALEWA. Zamówienia należy składać osobiście lub mailem.
Sklep wspinaczkowy Adventure Hala Sportowa KOŁO
01-416 Warszawa, ul. Obozowa 60, tel. 22 877 33 70

**TIYO POINT** do 20%

www.tiypoint.pl
sklep@tiypoint.pl
Internetowy sklep podróżniczy
42-200 Częstochowa
ul. Dekabrystów 82
tel.: 0 603 623 824
Aktualne zniżki dla członków KW: 5–20 % w zależności od produktu.

**e-biwak.pl** do 12%

www.e-biwak.pl
sklep@e-biwak.pl
Internetowy sklep turystyczny.
tel.kom. 0 606-707-102
tel: 055 245 00 32; fax: 055 245 00 33
Dla członków Klubu z opłaconymi składkami 12% zniżki na produkty.
W rubryce uwagi wpisywać „KWW” celem identyfikacji.

**ADVENTURE/CAMPUS** do 10%

Warszawa, C.H. Auchan
ul. Puławska 96
tel. 022 716 94 25
Warszawa, C.H. Targówek
ul. Głębocka 15
tel. 022 313 12 03
Warszawa, Hala Sportowa KOŁO
ul. Obozowa 60
tel. 022 877 33 70

ALPIN SPORT/HIMOUNTAIN Zakopane do 10%

www.stpl.pl
alpl@ealp.pl
Outdoor, ski tour, alpinizm, wspinaczka.
34-500 Zakopane, ul. Krupówki 11
tel. 0 18 201 70 95, alpl@ealp.pl
34-500 Zakopane, ul. Krupówki 28
tel. 0 18 201 44 41, alp16@ealp.pl
34-500 Zakopane, ul. Krupówki 65
tel. 0 18 201 72 84, alp2@ealp.pl
34-500 Zakopane, ul. Krupówki 43
tel. 0 18 201 42 18, alp5@ealp.pl
34-500 Zakopane, ul. Krupówki 48
tel. 018 201 30 08, alp4@ealp.pl
34-500 Zakopane, Droga na Bystrę 2A
tel. 0 18 201 27 36, alp3@ealp.pl
Kasprowy Wierch
tel. 0 18 201 42 18, alp19@ealp.pl
Sklepy czynne:
pn.–cz. w godz. 11–18, pt. i sb. 11–19, nd. 11–16.

**ALPINSKLEP** do 10%

www.alpinskiel.pl
bomar@alpinskiel.pl
Turystyka, wspinaczka, trekking.
Sklep firmowy HIMOUNTAIN
02-591 Warszawa, Metro Pole Mokotowskie
ul. Batorego 39
tel. 0 22 825 81 61
Sklep otwarty: pn.–pt. w godz. 11–19, sob. w godz. 10–16, od listopada do marca w niedz. w godz. 11–15

**AZYMUT** do 10%

www.sklepazymut.pl
biuro@sklepazymut.pl
Sprzęt wspinaczkowy, turystyczny, rowery, akcesoria rowerowe, narty, snowboardy.
Przemysł, ul. 3-go Maja 12
tel.: 016 679 02 10
Godziny otwarcia: pn.–pt. 10–18, sob. 10–14
Ustrzyki Dolne, ul. 29-go listopada 26
tel. 0 13 461 34 74
Godziny otwarcia: pn.–pt. 9–17, sob. 9–14
Jarosław, Pl. Mickiewicza 11
tel. 0 16 621 67 68
Godziny otwarcia: pn.–pt. 9–17, sob. 9–14



BERGSON do 10%
www.bergson.pl www.rgsport.pl
biuro@rgsport.pl
Warszawa, ul. KEN 36 lok 33, Galeria Ursynów,
tel.: 022 649 13 54



CERRO TORRE SPORT do 15%
www.cerrotorre.pl
Sieć sklepów Jacka Fludera – CERRO TORRE SPORT
Warszawa, C.H. Klif, ul. Okopowa 58-72
Kraków, C.H. M1, Aleje Pokoju 67
tel. 0 12 296 59 00
Kraków, ul. Sienna 14
tel. 0 12 429 68 12
Wrocław, C.H. Auchan, ul. Francuska 6
tel. 0 71 780 66 47
Wrocław, C.H. Marino, ul. Paprotna 7
Katowice, C.H. Supersam, ul. Piotra Skargi 6
tel. 0 32 781 03 77
Zabrze, C.H. M1, ul. Plut.R.Szkubacza 1
tel. 0 32 777 04 10
Legnica, Galeria Plastów, ul. Najśw. Marii Panny 9
tel. 0 76 727 74 55
Radom, C.H. M1, ul. Grzeczmarowskiego 21
tel. 0 509 819 985



EXPEDITION do 10%
www.expedition.com.pl
expedition.sklep@gmail.com
Sklep turystyczny
Warszawa, Al.Solidarności 129/131 (obok Sądów)
tel.: 0 22 652 20 35



HIMMOUNTAIN do 10%
www.himountain.pl
Warszawa, C. H. Reduta, Al. Jerozolimskie 148
Warszawa, ul. Królewska 2 (wejście od Krakowskiego Przedmieścia)
Warszawa, C.H. Arkadia, Al. Jana Pawła II 82
Warszawa, Janki, C.H. Geant, ul. Mszczonowska 3



MULTAN EXTREME do 10%
www.multanex.com.pl
mail@multanex.com.pl
Warszawa, Al. Jana Pawła II 32
tel. 0 22 620 36 76, 0 22 652 31 56
Godziny otwarcia: pn.–pt. 10–20, sob. 10–16



QUIKSILVER-ROSSIGNOL do 10%
www.pmsport.pl
Dla członków klubu za okazaniem legitymacji
klubowej z opłaconymi składkami
10% zniżki na wszystkie produkty w sklepach:
QUIKSILVER-ROSSIGNOL Fashion House Outlet
Gdańsk, al. Przywidzka 8
QUIKSILVER-ROSSIGNOL CH KLIF
Gdynia, al. Zwycięstwa 256
ROSSIGNOL PRO SHOP Pasaż Handlowy RYNEK 13
Kraków, ul. Rynek Główny 12
QUIKSILVER-ROSSIGNOL GALERIA KAZIMIERZ
Kraków, ul. Podgórska 34
QUIKSILVER-ROSSIGNOL GALERIA KRAKOWSKA
Kraków, ul. Pawia 5
QUIKSILVER-ROSSIGNOL STARY BROWAR
Poznań, ul. Półwiejska 42
QUIKSILVER-ROSSIGNOL Fashion House Outlet
Sosnowiec, ul. Orłąt Lwowskich 138
QUIKSILVER-ROSSIGNOL GALERIA MOKOTÓW
Warszawa, ul. Wołoska 12
QUIKSILVER-ROSSIGNOL ZŁOTE TARASY
Warszawa, ul. Złota 59,
QUIKSILVER-ROSSIGNOL SADYBA BEST MALL
Warszawa, ul. Powsińska 31
ROXY-ROSSIGNOL CH ARKADIA
Warszawa, ul. Jana Pawła II 82
QUIKSILVER-ROSSIGNOL Fasion House Outlet
Warszawa, ul. Puławska 42E
QUIKSILVER-ROSSIGNOL ARKADY WROCLAWSKIE



ROBERT'S OUTDOOR EQUIPMENT do 10%
www.roberts.pl
roberts@roberts.pl
Specjalizuje się w produkcji odzieży i śpiworów
ocieplanych puchem.
Gdynia, ul. Nowodworcowa 15
tel.: 058 629 42 98, 0 58 352 08 97



SHERPA do 10%
www.sherpa.pl
sklep@sherpa.pl
Sklep górski
Warszawa, ul. Żelazna 59
tel. 022 455 85 35
Dla członków KW z ważną legitymacją i opłaconą składką 10% zniżki na
wszelki asortyment nieobjęty promocją.



SKLEP PODRÓŻNIKA do 10%
www.sp.com.pl
sklep@traveler.com.pl
Sprzęt wspinaczkowy, turystyczny, narty, przewodniki,
mapy i literatura.
Warszawa, ul. Grójcka 46/50
tel. 022 668 66 08
Warszawa – K1, ul. Kaliska 8/10
tel. 022 822 64 81
Warszawa – K2, ul. Kaliska 8/10
tel. 022 822 54 87



EXTREME SPORT – Zakopane do 7%
www.extreme.z-ne.pl
604451660@eranet.pl
Zakopane, ul. Krupówki 36
tel.: 018 206 29 99



MARIENSZTAT SPORT do 7%
www.mariensztat.pl
poczta@mariensztat.pl
Warszawa, ul. Mariensztat 19A – Centrum Sportów Górskich
Warszawa, ul. Garbarska 5 – sklep firmowy THE NORTH FACE
tel. 0 22 827 19 58
Czynne: pn.–pt. w godz. 11–19, sb. 10–15



POLAR SPORT do 7%
www.polarsport.pl
Sklep górski POLAR SPORT oferuje duży wybór odzieży i sprzętu do turystyki,
wspinaczki, alpinizmu, skitingu. Najlepsze marki, konkurencyjne ceny,
częste promocje. Zapraszamy na www.polarsport.pl i do naszego sklepu przy
ul. Siennej 15 w Krakowie.
tel. 0 12 422 42 49, 0 801 000 362

www.polarsport.pl

Sklep Turystyczny "Horyzont" do 5%
www.e-horyzont.pl
Sklepy Turystyczne i sklep internetowy oferują członkom KWW zniżkę 5%.
Centrum Handlowe TARGÓWEK, lokal nr 120
ul. Głębocka 15, 03-287 Warszawa
tel. 0 22 674 15 77, targowek@e-horyzont.pl
ul. Mariensztat 8, 00-302 Warszawa
tel. 0 22 538 92 05, mariensztat@e-horyzont.pl
Plac Konstytucji 5, 00-657 Warszawa
tel. 0 22 628 36 73, mdm@e-horyzont.pl



TANIEWSPINANIE.PL do 5%
www.taniewspinanie.pl
sklep@taniewspinanie.pl
Jakub Jasiński
tel. 0 607 568 590, kuba@taniewspinanie.pl
Bartłomiej Kierpiec
tel. 0 661 916 642, bartek@taniewspinanie.pl
Khumbu S.C.
ul. Gutowa 1, 34-531 Murzasichle
tel. 0 12 294 13 08



Wszystkie zniżki za okazaniem legitymacji
z opłaconymi składkami za bieżący rok.

A photograph of a rugged, light-colored rock face with vertical fissures and some green moss or lichen growing in the crevices. The text is overlaid on the upper portion of the image.

Wstęp do KW Warszawa
Zapisz się przez internet

www.kw.warszawa.pl